



RAYMOND CHANDLER

WYSOKIE OKNO

CZYTELNIK

RAYMOND CHANDLER

WYSOKIE OKNO



CZYTELNIK . WARSZAWA 1974

Dom stał przy Dresden Avenue, na Oak Noll, w Pasadenie — wielki, solidny, nęcący chłodem, o ścianach z ciemnoczerwonej cegły, z ozdóbkami z białego kamienia i dachem krytym terakotową dachówką. Frontowe okna parteru miały oprawne w olów szyby. Na piętrze były typu wiejskiego, z rokokowymi kamiennymi ozdóbkami. Od frontowej ściany i kwitnących przy niej krzewów spływał ku ulicy łagodną pochyłością mniej więcej półakrowy trawnik, który, jak chłodna szmaragdowa woda skałę, opływał po drodze ogromny cedr himalajski. Podjazd i ścieżka były szerokie, a przy podjeździe rosły trzy białe przepięknie rozrośnięte akacje. Ranek tchnął mocnym zapachem lata i roślinność trwała nieruchomo w zastygłym powietrzu tego, co tu uchodzi za przyjemny chłodny dzionek.

O pani Elizabeth Bright Murdock wiedziałem tyle, że chce zaangażować przyzwoitego prywatnego detektywa, który nie strąca popiołu z cygara na podłogę i ma przy sobie jeden tylko rewolwer. Wiedziałem też, że jest wdową po starym bałwanie z baczkami, który nazywał się Jasper Murdock i zrobił niezłą fortunę służąc społeczeństwu, a w każdą rocznicę śmierci w gazecie pasadeńskiej zamieszczano jego fotografię z podpisem: „Poświęcił życie pracy dla społeczeństwa”.

Zostawiłem samochód na ulicy i przeszedłszy po kilkudziesięciu kamiennych płytach wkopanych w trawnik zadzwoniłem do drzwi pod portykiem z cegły, osłoniętym spiczastym daszkiem. Od portyku do podjazdu biegł niski, ceglany murek. Przy końcu wyłożonej płytami ścieżki stała na betonowym bloku kolorowa figurka Murzynka w białych bryczesach do konnej jazdy, zielonym zakiecie i czerwonej czapce. Trzymał w ręku szpicrutę, a u jego stóp było wmurowane żelazne kółko do przywiązywania koni. Murzynek

miał trochę smutną minę, jakby zniechęconą wyczekiwaniem. Podszedłem i pogłaskałem go po głowce czekając, aż mi ktoś otworzy. Po pewnym czasie drzwi uchyliły się lekko i wyjrzała zza nich służąca w fartuszkach, ponuraczka w średnim wieku, łypiąc na mnie paciorkowatym okiem.

- Philip Marlowe — powiedziałem. — Do pani Murdock. Jestem umówiony.

Ponuraczka zgrzytnęła zębami, łypnęła okiem i twardym, kanciastym głosem dawnych

mieszkańek pogranicza zapytała;

- Której?

- Hę?

- Której pani Murdock? — niemal wrzasnęła.

- Pani Elizabeth Bright Murdock — odparłem. — Nie wiedziałem, że są dwie.

- A są — warknęła. — Ma pan wizytówkę?

Drzwi były nadal lekko uchylone. Wysunęła zza nich koniec nosa i chudą muskularną rękę. Wyjąłem z portfela wizytówkę z samym tylko imieniem i nazwiskiem i wsunąłem babie w garść. Nos i ręka zniknęły i drzwi zatrzasnęły się. Pomyślałem, że może powinienem był zapukać do kuchennych. Podszedłem i jeszcze raz pogłaskałem Murzynka po głowie.

- Taki nasz los, bracie — powiedziałem.

Mijały minuty, długie minuty. Włożyłem do ust papierosa, ale go nie zapalałem. Przejechał lodziarz niebiesko - białym wozem z piosenką „Indyk w słomie” płynącą z głośnika. Wielki czarno-złoty motyl przyhamował w locie i usiadł na krzaku hortensji niemal tuż przy moim łokciu, kilka razy poruszył wolno skrzydełkami, a potem wzbil się ociężale i poszybował przez nieruchome, dyszące żarem powietrze. Drzwi otworzyły się znowu. Ponuraczka powiedziała:

- Tędy.

Wszedłem. Znalazłem się w dużym, kwadratowym, chłodnym pokoju, w którym panowała kojąca atmosfera kaplicy cmentarnej i podobny zapach. Na ścianach tkaniny dekoracyjne, za wysokimi bocznymi oknami żelazne kraty imitujące balkony, ciężkie rzeźbione krzesła z pluszowymi

siedzeniami, wyścielanymi oparciami i zmatowiałymi złożonymi frędzla mi po bokach. W głębi witraż wielkości kortu tenisowego. Pod nim oszklone drzwi za kotarami. Stary, zatechły, tracący myszką, po mieszczańsku urządzony, czysty i nieprzyjemny pokój. Nie wyglądało na to, aby ktoś tu kiedykolwiek przesiadywał lub chciał przesiadywać. Stoliki na wygiętych nóżkach, z marmurowymi blatami, złożone zegary, drobne rzeźby z marmuru w dwóch kolorach. Mnóstwo rupieci, które trzeba by chyba z tydzień odkurzać. Mnóstwo wyrzuconych w błoto pieniędzy. Przed trzydziestu laty, w zamożnym, cichym prowincjonalnym miasteczku, jakim była wówczas Pasadena, pokój ten mógł uchodzić za wcale elegancki.

Wyszliśmy z niego i ruszyliśmy dalej korytarzem, a po chwili ponuraczka otworzyła jakieś drzwi i skinęła na mnie, żebym wszedł.

- Pan Marlowe — rzuciła przez drzwi zgrzytliwym głosem.

2

Pokój był niewielki, z oknem wychodzącym na ogród i urządzony jak biuro. Na podłodze leżał brzydki rdzawo brązowy dywan. Za biurkiem siedziała szczupła, wątła, jasnowłosa panienska w okularach w szylkretowej oprawie. Ręce trzymała na klawiaturze maszyny do pisania stojącej na wysuniętym blacie z lewej strony biurka, ale na wałku nie było papieru. Kiedy wchodziłem, patrzyła na mnie z drewnianym, nieco głupkowatym wyrazem twarzy osoby nieśmiałej, która pozuje do zdjęcia. Gdy poprosiła, żebym usiadł, głos jej zabrzmiał miękko, wyraźnie.

- Nazywam się Davis. Jestem sekretarką pani Murdock. Pani Murdock kazała mi poprosić pana o referencje.

- Referencje?

- Właśnie. Referencje. Czy to pana dziwi?

Położyłem kapelusz na biurku, a nie zapalonego papierosa na rondzie kapelusza.

- Nie wzywa się chyba kogoś, jeżeli się o nim nic nie wie?

Usta dziewczyny zadrżały i zagryzła dolną wargę. Nie wiem, czy się bała, czy była zirytowana, czy też po prostu z trudem zdobywała się na ten chłodny, oficjalny ton. Ale nie wyglądała na szczęśliwą.

- Wzięła pana nazwisko od dyrektora filii Kalifornijskiego Banku Ubezpieczeniowego. Ale on nie zna pana osobiście — wyjaśniła.

- Proszę przygotować ołówek — powiedziałem. Podniosła go i pokazała, że jest świeżo zatemperowany. — Najpierw jeden z wiceprezesów tegoż banku, George S. Leake. Jest w biurze centralnym. Następnie senator Huston Oglethorpe. Może być w Sacramento w swoim prywatnym biurze albo w biurach Urzędu Stanowego w Los Angeles. Dalej, Sidney Preyfus, junior, z biura adwokackiego Dreyfus, Turner i Swayne w Title--Insurance Building. Zapisła pani?

Kiwnęła głową nie podnosząc wzroku. Na jej blond włosach tańczyła plamka słońca.

- Oliver Fry z Fry Krantz Corporation, Wytwórnia Narzędzi Wiertniczych. Ze Wschodniej Dziewiątej, w dzielnicy przemysłowej. Następnie, gdyby pani chciała paru policjantów, Bernard Ohls z wydziału Prokuratury Okręgowej i detektyw porucznik Carl Randall z Centralnego Biura Kryminalistyki. Nie sądzi pani, że może już dość?

- Niech się pan ze mnie nie śmieje — odparła. — Robię, co mi każą.

- Do tych dwóch ostatnich niech pani lepiej nie dzwoni, jeżeli pani nie wie, o co w tym wypadku chodzi — powiedziałem. — Ja wcale się z pani nie śmieję. Ale upał, co?

- Jak na Pasadenę to wcale jeszcze nie taki upał — rzekła i rozłożywszy książkę telefoniczną na biurku zabrała się do pracy.

Kiedy zajęła się wyszukiwaniem numerów i wydzwanianiem na wszystkie strony, przyjrzałem się jej dokładnie. Była blada, ale bladością naturalną, i nie wyglądała na słabowitą. Miała wcale niebrzydkie miedziano-blond włosy, ale zbyt gładko szesane w tył wąskiej głowy. Brwi cienkie, niezwykle proste i ciemniejsze niż włosy, prawie kasztanowate. Nozdrza

alabastrowe. Broda nieco za mała, za ostra, o niezdecydowanym zarysie. Oprócz pomarańczowej szminki, a i to użytej bardzo oszczędnie, na jej twarzy nie było śladu makijażu. Oczy za okularami bardzo duże, kobaltowe błękitne, o wielkich tęczęwkach i nieokreślonym wyrazie. Twarz miała lekko wschodni wygląd, jakby skóra na policzkach była tak napięta, że rozciągała kąciki jej oczu. Całość miała w sobie coś z nieharmonijnego, neurotycznego uroku, któremu brakło tylko odpowiedniego makijażu, aby się stał uderzający. Ubrana była w płócienną sukienkę z krótkimi rękawami, bez jakichkolwiek ozdób. Na nagich ramionach widniało kilka drobniutkich piegów.

Nie słuchałem, co mówiła do telefonu. Widziałem jednak, że wszystko, co jej mówiono, stenografowała sprawnymi, swobodnymi pociągnięciami ołówka. Kiedy skończyła, odłożyła słuchawkę na widełki, wstała, wygładziła sukienkę na udach i powiedziała:

- Proszę chwileczkę poczekać... — po czym skierowała się ku drzwiom.

W połowie drogi zawróciła i zasunęła górną szufladę biurka. Wyszła. Drzwi się zamknęły. Zapanowała cisza. Za oknem brzęczały pszczoły. Gdzieś w oddali słyszałem wycie odkurzacza. Wziąłem z ronda kapelusza nie zapalonego papierosa, włożyłem go do ust i wstałem. Przeszedłem na drugą stronę biurka i zajrzałem do szuflady, którą wychodząc zasunęła. Nic mnie to nie obchodziło. Po prostu byłem ciekaw. Nic mnie nie obchodziło, że miała w szufladzie małego, samopowtarzalnego Colta. Zamknąłem szufladę i siadłem na swoim miejscu.

Nie było jej około czterech minut. Potem otworzyła drzwi i stojąc w nich powiedziała:

- Pani Murdock pana prosi.

Przeszliśmy niewielki korytarz, po czym otworzyła połówkę oszklonych drzwi i odstąpiła na bok. Wszedłem do środka i drzwi się za mną zamknęły.

W pokoju było tak ciemno, że początkowo nie widziałem nic prócz światła przedzierającego się z zewnątrz przez gęstą

roślinność i zasłony. Następnie spostrzegłem, że jestem na przeszklonej werandzie, której pozwolono niemal całkowicie zarosnąć. Pomieszczenie było wyposażone w plecione dywaniki i trzcinowe meble. Pod oknem stał trzcinowy szezlong. Miał wygięte oparcie i tyle poduszek, że można by nimi wypchać słońca. Na szezlongu leżała kobieta z kieliszkiem wina w dłoni. Nim ją jeszcze spostrzegłem, poczułem w powietrzu ciężki zapach tego wina. Potem oczy mi przywykły do półmroku i przypatrzyłem się jej.

Zobaczyłem wielką twarz i szeroką szczękę, straszliwie ufryzowane ołowianoszare włosy, srogi nochal i duże wilgotne oczy, a w nich tyle życzliwości, co w mokrych kamieniach. Miała koronkowy kołnierzyk przy szyi, która wyglądałaby znacznie lepiej w swetrze futbolisty. Z krótkich rękawów szarej jedwabnej sukni wylewały się grube i nakrapiane piegami ramiona. Obok stał niski stolik ze szklanym blatem, a na nim butelka porto. Kobieta sączyła wino z kieliszka i spoglądając sponad niego na mnie milczała.

Stałem. Pozwoliła mi tak stać, póki nie dopiła wina, a potem postawiła kieliszek na szklanym blacie i napełniła go ponownie. Następnie wytarła usta chusteczką. Dopiero wtedy przemówiła. Jej głos miał w sobie coś z surowego barytonu i brzmiał bardzo rzeczowo.

- Proszę usiąść, panie Marlowe. I niech pan nie zapala tego papierosa. Cierpię na astmę.

Usiadłem w trzcinowym bujaku i wetknąłem papierosa za chusteczkę w małej kieszonce marynarki.

- Nigdy nie miałam do czynienia z prywatnym detektywem, panie Marlowe. Nie wiem nic o ludziach pańskiego zawodu. Pana referencje są zadowalające. Ile pan każe sobie płacić?

- Za co, proszę pani?

- To naturalnie bardzo poufna sprawa. Nie dla policji. W przeciwnym razie wezwałabym policję.

- Biorę dwadzieścia pięć dolarów dziennie. Plus, oczywiście, koszty dodatkowe.

- Cena dość wysoka. Pewnie zarabia pan mnóstwo

pieniędzy? — Pociągnęła trochę z kieliszka.

Osobiście nie lubię porto w upały, ale niechby mi pozwoliła przynajmniej odmówić.

- Nie — zaprzeczyłem. — Nie jest wysoka. Oczywiście można uzyskać usługi detektywistyczne za każdą cenę... tak jak usługi prawne. Albo dentystyczne. Ale ja nie reprezentuję organizacji. Pracuję sam i nigdy nie prowadzę dwóch spraw jednocześnie. Narażam się na ryzyko, czasami dość poważne. Nie, nie sądzę, że dwadzieścia pięć dolarów dziennie to za dużo.

- Rozumiem. A co to są te koszty dodatkowe?

- Niekiedy wynikają jakieś drobiazgi. Nigdy nie wiadomo.

- Wolałabym wiedzieć — powiedziała kwaśno,

- Będzie pani wiedziała. Przedstawię to pani czarno na białym. I będzie się pani mogła sprzeciwić, jeśli uzna pani za stosowne.

- A jakiej oczekuje pan zaliczki?

- Sto dolarów mi wystarczy — oświadczyłem.

- Spodziewam się — powiedziała i dopiła wino, a potem naląła sobie następny kieliszek nie tracąc nawet czasu na otarcie ust.

- Od ludzi pani pozycji nie muszę nawet brać zaliczki.

- Panie Marlowe. Jestem kobietą twardą. Ale niech to pana nie przeraża. Bo w przeciwnym razie nie na wiele mi się pan przyda.

Kiwnąłem głową puszczając ten dowcip mimo uszu.

Zaśmiała się ni stąd, ni zowąd i czknęła. Było to takie sobie leciutkie beknięcie, dyskretne i wykonane z pełną swobody niefrasobliwością.

- To ta astma — rzekła beztrąsko. — Piję wino jako lekarstwo. Dlatego pana nie częstuję.

Założyłem nogę na nogę. Miałem nadzieję, że to nie wpłynie na jej astmę.

- Pieniądze — oświadczyła — nie są takie ważne. Kobieta mojej pozycji powinna być przyzwyczajona, że jest naciągana. Spodziewam się, że pan zasłuży sobie na to honorarium. A oto, jak wygląda sytuacja. Skradziono mi rzecz

przedstawiającą znaczną wartość. Chcę tę rzecz odzyskać, ale chcę też czegoś jeszcze. By nikt nie został aresztowany. Tak się składa, że złodziej należy do mojej rodziny... Poprzez małżeństwo. — Obróciła kieliszek w grubych paluchach i uśmiechnęła się leciutko w przyćmionym świetle cienistej werandy. — Złodziejem jest moja synowa. Uroczą dziewczyną... i kuta na cztery nogi.

Spojrzała na mnie z nagłym błyskiem w oczach. — Mój syn to patentowany osioł — rzekła. — Ale bardzo go kocham. Mniej więcej rok temu zawarł bez mojej zgody idiotyczne małżeństwo. Postąpił bardzo głupio, bo całkiem nie potrafi zarobić na życie, a nie ma pieniędzy prócz tych, które mu daję, ja zaś nie jestem hojna, jeżeli idzie o pieniądze. Dama, którą sobie wziął za towarzyszkę życia, lub raczej, która wzięła sobie jego, była śpiewaczką kabaretową. Nazywa się, nomen omen, Linda Conquest. Mieszkali tu, w tym domu. Nie kłóciliśmy się, bo nigdy bym nie pozwoliła, aby ktoś się ze mną kłócił w moim własnym domu, ale nie żyliśmy na dobrej stopie. Pokrywałam ich wydatki, podarowałam obojgu po samochodzie, wypłacałam owej pani dostateczną acz niezbyt hojną pensyjke na stroje i inne potrzeby. Niewątpliwie uznała tę sytuację za nudną. Niewątpliwie uznała za nudnego mego syna. Ja sama uważam, że jest nudziarzem. W każdym razie tydzień temu, nagle, bez słowa pożegnania, wyprowadziła się nie pozostawiając nowego adresu.

Zakaszła, poszukała chusteczki i wytarła nos.

- Zginęła pewna moneta — ciągnęła dalej. — Niezwykle rzadka moneta, zwana Dublonem Brashera. Była chlubą kolekcji mego męża. Mnie na takich rzeczach nie zależy, ale jemu zależało bardzo. Trzymam tę kolekcję nietkniętą od czterech lat, to jest od daty jego śmierci. Jest na górze, w ognioodpornym pokoju, w ogniotrwałych kasetkach. Ubezpieczona, ale nie meldowałam jeszcze o kradzieży. Chcę w miarę możliwości lego uniknąć. Jestem całkowicie pewna, że to Linda zabrała monetę. Szacuje się ją podobno na dziesięć tysięcy dolarów. Jest to okaz numizmatyczny.

- Ale strasznie trudny do upłynnienia — zauważyłem.

- Możliwe. Nic o tym nie wiem. Dopiero wczoraj zauważyłam jej brak. W ogóle bym tego nie zauważyła, bo dość rzadko zbliżam się do tej kolekcji, gdyby nie telefon z Los Angeles od pewnego pana nazwiskiem Morningstar, który powiedział, że jest antykwariuszem, i zapytał, czy Brasher Murdocka, jak się wyraził, jest na sprzedaż. Telefon odebrał mój syn. Powiedział, że o ile mu wiadomo dublon nie jest na sprzedaż, ale jeżeli pan Morningstar zadzwoni później, będzie się mógł porozumieć bezpośrednio ze mną. Pora była nieodpowiednia, bo właśnie odpoczywałam. Antykwariusz powiedział więc, że zadzwoni później. Syn powiadomił o tej rozmowie pannę Davis, która mi ją zreferowała. Kazałam jej zadzwonić do tego człowieka. Sprawa mnie trochę zaciękała.

Łyknęła nieco porto, strzepnęła parę razy chusteczką i chrząknęła.

- Czemu panią zaciękała? — spytałem ot, tak sobie, żeby coś powiedzieć.

- Bo jeśli ten człowiek jest antykwariuszem z prawdziwego zdarzenia, to musi wiedzieć, że moneta nie może być na sprzedaż. Mój mąż, Jasper Murdock, zastrzegł w testamencie, że żadna moneta ze zbioru nie może być sprzedana, wypożyczona lub zahipotekowana za mego życia. Ani nawet wyniesiona, chyba w wypadku zniszczenia domu w stopniu powodującym konieczność jej przeniesienia, a i to tylko w obecności powierników. Mój mąż — uśmiechnęła się ponuro — uważał, że powinnam była bardziej interesować się tymi blaszkami za jego życia.

Na dworze była wspaniała pogoda, świeciło słońce, kwitły kwiaty, śpiewały ptaki. Ulicą przemykały samochody z odległym beztróskim pomrukiem silników. A w mrocznym pomieszczeniu, w którym siedziała ta kobieta o surowej twarzy i pachniało winem, wszystko wydawało się troszkę nierealne. Bijałem nogą założoną jedna na drugą i czekałem.

- Rozmawiałam z panem Morningstarem. Ma na imię Elisha, a jego biura mieszczą się w gmachu Belfonta na Ulicy Dziewiątej, w śródmieściu Los Angeles. Powiadomiłam go, że

kolekcja Murdocka nie jest, nie była i, o ile chodzi o mnie, nigdy nie będzie na sprzedaż, i dziwi mnie, że on o tym nie wie. Wówczas pan Morningstar zaczął kluczyć i kręcić i wreszcie zapytał, czy mógłby obejrzeć monetę. Odmówiłam stanowczo. Podziękował dość sucho i odłożył słuchawkę. Z brzmienia głosu wyczułam, że to starszy człowiek. Udałam się na górę, żeby sama obejrzeć monetę, czego nie robiłam chyba od roku. Nie znalazłam jej w zamkniętej na klucz ogniotrwałej kasecie.

Nie odzywałam się. Napełniła sobie ponownie kieliszek i zaczęła bębnić grubymi paluchami po poręczy szeszlona.

- Domyśla się pan zapewne, co sobie wówczas pomyślałam.

- O ile chodzi o pana Morningstara, chyba tak — powiedziałem. — Ktoś zaproponował mu kupno monety, a on domyślił się jej pochodzenia. Musi to być ogromnie rzadka moneta.

- Uchodzi za okaz numizmatyczny i jest istotnie bardzo rzadka. Tak, ja też tak sobie właśnie pomyślałam.

- W jaki sposób mogła zostać ukradziona? — zapytałem.

- Jeżeli chodzi o domowników, to bardzo łatwo. Klucze są w mojej torebce, którą kładę raz tu, raz tam. Nietrudno było dostać się do nich, otworzyć kasetkę i włożyć klucze z powrotem na miejsce. Trudno dla kogoś z zewnątrz, ale nie dla domowników.

- Rozumiem. A jak pani ustaliła, że monetę wzięła pani synowa?

- Ja tego nie... to znaczy nie mam niezbitych dowodów. Ale jestem całkowicie pewna, że to zrobiła ona. Mam trzy służące, które są tu od wielu, wielu lat... na długo przedtem nim wyszłam za mąż za pana Jaspera Murdocka, to znaczy przed siedmiu laty. Ogrodnik nigdy nie wchodzi do domu. Szofera nie mam, bo wozi mnie syn albo sekretarka. Syn nie wziął monety, bo po pierwsze, nie jest taki głupi, aby okradać matkę, a po drugie, mógłby z łatwością przeszkodzić mi w porozumieniu się z tym antykwariuszem, Morningstarem. Panna Davis... Nie, to śmieszne. To po prostu nie w jej stylu. Zbyt nieśmiała. Nie, proszę pana, tylko Linda jest typem,

który mógłby to zrobić choćby na złość. A wie pan, jacy są ci ludzie z nocnych klubów.

- Bardzo różni... Jak zresztą my wszyscy — powiedziałem. — Przypuszczam, że nie ma żadnych śladów włamania? Musiał to być niezbyt zachłanny włamywacz, skoro świsnął tylko jedną monetę, więc śladów być nie może. Jednak obejrzałbym sobie ten pokój...

Zadarła brodę i mięśnie na jej karku zbiły się w twarde bryły.

- Przecież powiedziałam panu, że dublon wzięła Linda Murdock, moja synowa.

Spojrzałem jej w oczy, a ona ich nie spuściła. Wzrok miała twardy jak kamienne płyty

przed frontowymi drzwiami jej domu. Wzruszyłem ramionami.

- Jeśli zakładamy, że tak jest, to jaka ma być moja rola?

- W pierwszym rzędzie chcę odzyskać monetę. Następnie chcę bezapelacyjnego rozwodu dla mojego syna. I nie zamierzam za ten rozwód w jakikolwiek sposób płacić. Myślę, że pan wie, jak się załatwia takie sprawy? — Zaaplikowała sobie następną dawkę porto i roześmiała się nieprzyjemnie.

- Ze słyszenia — odparłem. — Mówi pani, że nie zostawiła adresu. Czy to znaczy, że nie ma pani pojęcia, dokąd się udała?

- Najmniejszego.

- A więc mamy do czynienia ze zniknięciem. Może syn pani wie coś, czego pani nie powiedział? Będę się musiał z nim zobaczyć.

Wielka szara twarz stężała w jeszcze surowszym wyrazie.

- Mój syn nic nie wie. Nie wie nawet, że dublon został skradziony. Nie chcę, aby w ogóle się dowiedział. Gdy przyjdzie na to czas, dam sobie z nim radę. Na razie chcę go zostawić w spokoju. Będzie robił, co mu każe.

- Dotychczas nie zawsze tak bywało — zauważyłem.

- Jego małżeństwo — powiedziała paskudnym tonem — było chwilowym impulsem. Potem starał się postępować jak dżentelmen. Ja nie mam takich skrupułów.

- W Kalifornii wystarczy trzy dni na tego rodzaju chwilowy

impuls.,

- Młody człowieku, chce pan się podjąć tej sprawy czy nie?

- Chcę, pod warunkiem, że poda mi pani wszystkie fakty i pozwoli zająć się tą sprawą tak, jak sam uznam za stosowne. Jeśli zaś mam co chwila potykać się o rozmaite zastrzeżenia, które pani wysuwa, to nie podejmę się.

Zaśmiała się odrażająco.

- To bardzo delikatna, rodzinna sprawa, panie Marlowe. I trzeba ją traktować delikatnie.

- Jeżeli zaangażuje mnie pani, będzie pani mogła liczyć na całą moją delikatność. Jeśli zaś zdaniem pani nie posiadam dość delikatności, to może lepiej niech mnie pani nie angażuje. Na przykład, pani nie chce, o ile rozumiem, aby synowa pani została postawiona w stan oskarżenia. Ja nie jestem aż tak delikatny.

Przybrała kolor gotowanego buraka i otworzyła usta, jakby miała wrzasnąć, ale rozmyśliła się, wzięła kieliszek porto i łyknęła nową dawkę swojego lekarstwa.

- Odpowiada mi pan — oświadczyła sucho. — Żałuję, że nie poznałam pana przed ich ślubem.

Nie bardzo zrozumiałem, co by to miało znaczyć, więc puściłem uwagę mimo uszu. Schyliła się, nacisnęła guzik domofonu i warknęła, gdy ktoś się odezwał.

Rozległy się czyjeś kroki i do pokoju weszła drobnym kroczeniem miedziano blond sekretarka, z opuszczoną głową, jakby w obawie, że lada chwila ktoś się zamierzy na nią pięścią.

- Wystaw temu panu czek na dwieście pięćdziesiąt dolarów — warknęło babsko. — I trzymaj o tym język za zębami.

Dziewczyna splełła się aż po szyję.

- Pani dobrze wie, że nigdy nie mówię o pani sprawach — bąknęła. — Pani o tym dobrze wie. Nie przyszłoby mi nawet na myśl, ja... — Odwróciła się i wybiegła z pokoju nie podnosząc głowy.

Spojrzałem na nią, gdy zamykała drzwi. Usta jej drżały, ale oczy miały błyskawice.

- Będzie mi potrzebna fotografia pani synowej i trochę informacji o niej — powiedziałem, kiedy drzwi się zamknęły.

- Niech pan zajrzy do szuflady biurka. — W półmroku zabłysły na jej ręce pierścienie, gdy wskazywała mi szarym paluchem biurko.

Podszedłem i otworzyłem jedyną szufladę trzcinowego biurka, w której leżała też jedyna rzecz — fotografia kobiety spoglądającej na mnie zimnymi, ciemnymi oczyma. Usiadłem z fotografią w ręku i zacząłem się jej przyglądać. Ciemne włosy z przedziałkiem pośrodku, swobodnie szczesane w tył nad szerokim czołem. Pełne, jakby stworzone do całowania usta o chłodnym, wzdorczym wyrazie. Ładny, nie za mały, nie za duży nos. Rysy regularne. W wyrazie twarzy jednakże czegoś brakowało. Dawniej można to było określić ogłądą, dobrym wychowaniem, ale teraz nie wiem, jak to nazwać. Ta twarz sprawiała wrażenie zbyt mądrej i czujnej jak na swój wiek. Musiała mieć się stale na baczności, żeby odpierać zaczepki mężczyzn. A z tym wyrazem sprytu łączył się również wyraz prostoty małej dziewczynki, która jeszcze wierzy w świętego Mikołaja.

Pokiwałem głową i wsunąłem fotografię do kieszeni myśląc, że wyciągam zbyt wiele wniosków na podstawie zwykłej fotografii, w dodatku w tak podłym świetle..

Drzwi się otworzyły i weszła sekretarka niosąc książeczkę czekową i wieczne pióro. Zrobiła pulpit z własnej ręki, aby pani Murdock mogła łatwiej złożyć podpis, po czym wyprostowała się z wymuszonym uśmiechem. Pani Murdock wskazała bez słowa na mnie, a wtedy dziewczyna wydarła czek i mi go wręczyła. Zatrzymała się na chwilę w drzwiach wyczekująco. Nie usłyszawszy żadnego więcej polecenia wyszła po cichu i zamknęła za sobą drzwi.

Pomachałem czekiem, żeby wysechł, złożyłem na pół i siedziałem trzymając go w palcach.

- Co może mi pani powiedzieć o Lindzie?

- Właściwie nic. Zanim wyszła za mojego syna, mieszkała z dziewczyną nazwiskiem Lois Magic — urocze nazwiska wynajdują sobie ci ludzie — która jest jakąś artystką estradową. Pracowały razem w lokalu zwanym Idle Valley Club, koło bulwaru Ventura. Mój syn, Leslie, zna ten lokal aż

za dobrze. Nie wiem nic o rodzinie Lindy ani jej pochodzeniu. Kiedyś wspomniała, że urodziła się w Sioux Falls. Przypuszczam, że miała rodziców. Nie interesowałam się tym aż tak bardzo, żeby chcieć to zbadać.

Diabła tam nie! Wyobrażałem sobie, jak grzebała obiema rękami, póki nie wygrzebała pełnych garści korzystnych dla niej informacji.

- Zna pani adres panny Magic?

- Nie. I nigdy nie znałam.

- A może pani syn... Albo panna Davis?

- Zapytam syna, jak przyjdzie. Ale wątpię. A pan niech spyta pannę Davis. Jestem pewna, że nie.

- Rozumiem. Nie zna pani żadnych innych przyjaciół synowej?

- Nie.

- Możliwe, że pani syn jest z nią nadal w kontakcie...tylko tai to przed panią.

Znowu zaczęła purpurowieć. Uniosłem szybko dłoń i uśmiechnąłem się uspokajająco.

- Ostatecznie żył z nią cały rok — powiedziałem. — Więc musi coś o niej wiedzieć.

- Niech pan wyłączy z tej sprawy mego syna — warknęła.

Wzruszyłem ramionami i cmoknąłem rozczarowany.

- No dobrze. Przypuszczam, że zabrała swój samochód. Ten, który pani jej podarowała.

- Stalowszary Mercury, model 1940, coupe. Panna Davis może panu podać numer rejestracyjny. Nie wiem, czy wzięła samochód.

- A wie pani, jakie wzięła sukienki, ile ma pieniędzy i jaką biżuterię?

- Pieniądzy ma niewiele. Najwyżej kilkaset dolarów. - Linie wokół jej ust i nosa pogłębiły się w wyrazie drwiny. — Jeżeli, oczywiście, nie znalazła sobie nowego przyjaciela.

- To pieniądze — powiedziałem. — A biżuteria?

- Pierścionek ze szmaragdem i brylantem, niezbyt wielkiej wartości, platynowy Longines wysadzany rubinami, bardzo ładny naszyjnik z nieprzezroczystych bursztynów, z którego

sama niemądrze zrobiłam jej prezent. Ma on brylantowe zapięcie utworzone z dwudziestu sześciu brylancików o romboidalnym kształcie jak karo w kartach. Miała poza tym inne rzeczy, oczywiście. Nigdy nie zwracałam na nie specjalnej uwagi. Ubierała się dobrze, ale nie krzykliwie. Dzięki Bogu choć za to.

Nalała sobie nowy kieliszek, wypila i znów kilka razy czknęła na wpół dyskretnie.

- Czy to już wszystko, co może mi pani powiedzieć?

- A co, powiedziałam za mało?

- O wiele za mało, ale na razie będę się musiał tym zadowolić. Jeżeli stwierdzę, że ona nie skradła tej monety, moja rola w śledztwie będzie ukończona. Czy tak?

- Omówimy to potem — powiedziała szorstko. - Na pewno ją ukradła. A ja nie zamierzam puścić jej tego płazem. Niech pan to sobie wybije z głowy, młody człowieku. I mam nadzieję, że pan jest choć w połowie tak sprytny, jak pan udaje, bo te dziewczęta z kabaretów miewają bardzo cwanych przyjaciół.

Ciągle trzymałem złożony na pół czek za różek, machając nim między kolanami. Teraz wyjąłem portfel, schowałem czek i wstałem podnosząc z podłogi kapelusz.

- Lubię cwaniaków — powiedziałem — bo mają bardzo mózdziki. Powiem pani, jak będę coś wiedział. Myślę, że zajmę się najpierw tym antykwariuszem. Wygląda mi na nitkę, po której dojdę do kłębka.

Byłem u drzwi, kiedy ryknęła za moimi plecami:

- Zdaje się, że nie bardzo przypadłam panu do serca, co?

Z ręką na klamce odwróciłem się i uśmiechnąłem do niej.

- A czy w ogóle komukolwiek przypadła pani do serca?

Odrzuciła głowę w tył, otworzyła szeroko usta i ryknęła śmiechem.

Wyszedłem i zamknąłem drzwi odcinając się nimi od tego szorstkiego, niezbyt wdzięcznego głosu. Przeszedłem przez hall i zapukałem do uchylonych drzwi sekretarki, a następnie pchnąłem je i zajrzałem do środka.

Siedziała z rękami złożonymi na biurku i twarzą ukrytą w

ramionach. Płakała. Odwróciła głowę w moją stronę i spojrzała na mnie zażalonymi oczyma. Zamknąłem drzwi, podszedłem do niej i objąłem ją.

- Głowa do góry! — powiedziałem. — Powinna pani raczej litować się nad nią. Ona uważa się za kobietę twardą i wyteża wszystkie siły, żeby zasłużyć na to miano.

Dziewczyna skoczyła jak oparzona.

- Proszę mnie nie dotykać — powiedziała bez tchu. -Nigdy nie pozwalam się dotykać żadnemu mężczyźnie. I niech pan nie mówi takich okropnych rzeczy o pani Murdock. — Twarz miała zaczerwienioną i mokrą od łez. Bez okularów jej oczy były bardzo ładne.

Włożyłem długo oczekującego na to papierosa do ust i zapaliłem.

- Ja... Ja wcale nie chciałam być taka opryskliwa — powiedziała siąpiąc nosem. — Ale ona mnie tak upokarza. A ja chcę dla niej jak najlepiej. — Pociągnęła nosem jeszcze kilka razy, a potem wyjęła z szuflady męską chusteczkę, strzepnęła ją i otarła oczy. Na zwisającym rogu zobaczyłem inicjały L. M. wyhaftowane czerwoną nitką. Patrzyłem na nie i wydmuchnąłem dym w kąt pokoju, w bok od jej włosów.

- Czy pan sobie czegoś życzy? — zapytała.

- Tak, numeru rejestracyjnego samochodu pani Lindy Murdock.

- 2X1111, szary Mercury, kabriolet, model 1940.

- Ona mi mówiła, że to coupe.

- To samochód pana Leskiego Murdocka. Oba są tej samej marki, tego samego roku produkcji i koloru. Linda nie zabrała swego.

- Aha. Co pani wie o panie Lois Magic?

- Widziałam ją zaledwie raz. Kiedyś mieszkały razem z Lindą. Była tu z panem... Panem Vannier.

- Kto to taki?

Spuściła wzrok.

- Ja... Ona po prostu z nim przyszła. Ja nie wiem.

- Dobrze, a jak ta panna Magic wygląda?

- Wysoka, przystojna blondynka. Bardzo... Bardzo ponętna.

- Znaczy z seksem?

- Ale... — zaczerwieniła się gwałtownie — w miłym, spokojnym stylu, jeśli pan wie, o co mi chodzi.

- Wiem, o co pani chodzi — powiedziałem — ale nigdy z czymś takim nie miałem do czynienia.

- Wierzę — powiedziała cierpko.

- Wie pani, gdzie panna Magic mieszka?

Potrząsnęła głową przecząco, złożyła pieczołowicie wielką chustkę i wsunęła do szuflady biurka — tej, w której leżał rewolwer.

- Jak ta się zabrudzi, może pani sobie zabrać drugą.

Wyprostowała się, oparła drobne, wypiełgnowane dłonie na biurku i spojrzała mi prosto w oczy.

- Niech pan nie będzie taki bezczelny, panie Marlowe. Przynajmniej nie w stosunku do mnie.

- Nie?

- Nie. I bez wyraźnych instrukcji nie mogę odpowiadać na jakiegokolwiek dalsze pana pytania. Pełnię tu bardzo poufną funkcję,

- Nie jestem bezczelny — powiedziałem. — Po prostu bardzo męski. .

Wzięła ołówek i zrobiła nim znaczek w notatniku. Uśmiechnęła się leciutko do mnie, już całkowicie opanowana.

- Przypuścimy, że nie lubię bardzo męskich typów.

- Z pani jest straszna dziwaczka — powiedziałem — o ile się na tym wyznaję. Do widzenia.

Wyszedłem z jej pokoju, głośno zamknąłem za sobą drzwi i ruszyłem pustymi korytarzami, potem przez ogromny, cichy i posępny salon do drzwi frontowych. Na ciepłym trawniku migotały promienie słońca. Włożyłem ciemne okulary i podszedłem, żeby pogłaskać Murzynka po głowie. — Jest gorzej, niż przypuszczałem, bracie — powiedziałem.

Rozgrzane płyty kamienne piekły mnie przez podeszwy pantofli. Wsiadłem do samochodu, włączyłem silnik i ruszyłem. Małe coupe piaskowego koloru poderwało się za mną. Nie przywiązywałem do tego specjalnej wagi. Człowiek siedzący za kierownicą miał ciemny, płaski kapelusz

słomkowy z kolorową wstążką i tak jak ja ciemne okulary.

Jechałem z powrotem do śródmieścia. Po przejechaniu kilkunastu bocznic, gdy zatrzymałem się na czerwonym świetle, piaskowe coupe było wciąż za mną. Wzruszyłem ramionami i dla zabawy okrążyłem kilka bloków. Coupe mnie nie odstępowało. Skręciłem w uliczkę wysadzaną ogromnymi pieprzowcami, zrobiłem swoją landarą szybki nawrót i zatrzymałem się przy chodniku.

Coupe wyjechało ostrożnie zza zakrętu. Głowa o blond włosach pod kakaowym kapeluszem ze słomki z pstrą wstążką nawet nie odwróciła się w moją stronę. Coupe pomknęło dalej a ja pojechałem z powrotem do Arroyo Seco, a potem Hollywood. Rozglądałem się bacznie kilka razy, ale już gdzie nie dostrzegłem jasnego auta.

3

Moje biuro, dwa małe pokoiki od tyłu, znajdowało się w gmachu Cahuenga, na szóstym piętrze. Jeden zostawiałem otwarty, żeby jakiś cierpliwy klient mógł sobie posiedzieć, je zeli w ogóle miałem cierpliwego klienta. Przy drzwiach był guzik brzęczyka, który mogłem włączyć lub wyłączyć, od mojej prywatnej świątyni dumania.

Zajrzałem do poczekalni. Nie było w niej nic prócz zapachu kurzu. Otworzyłem drugie okno, odemknąłem drzwi do pokoju w głębi i wszedłem. Trzy twarde krzesła i fotel obrotowy, proste biurko ze szklanym blatem, pięć zielonych segregatorów, z których trzy pełne niepotrzebnych szpargałów kalendarz i oprawione w ramki świadectwo licencyjne n. ścianie, telefon, miednica na drewnianej malowanej umywalce wieszak na kapelusze, byle jaki dywan, żeby tylko zakrywa podłogę, i dwa okna z siatkowymi firankami, które wydymały się i wciągały jak usta śpiącego bezzębnego staruszka. Tak samo miałem tu w zeszłym roku i w poza przeszłym. Niepięknie, i niewesoło, ale lepiej niż na bruku.

Powiesiłem kapelusz i płaszcz na wieszaku, umyłem twarz i ręce w zimnej wodzie, zapaliłem papierosa i wyciągnąłem

książkę telefoniczną. Elisha Morningstar występował w niej pod numerem 824 w gmachu Belfonta, na ulicy Dziewiątej Zachodniej 422. Zapisałem sobie adres i numer telefonu, który był obok, i już trzymałem dłoń na aparacie, gdy przypominałem sobie, że nie podłączyłem brzęczyka z poczekalni. Sięgnąłem do ścianki biurka i podłączyłem go w samą porę, żeby usłyszeć brzęczenie. Ktoś właśnie otworzył drzwi poczekalni.

Odwróciłem notatnik do dołu i poszedłem zobaczyć, kto to. Był to wysoki, szczupły, wyglądający na zadowolonego z siebie, facet w ubraniu z szaro niebieskiego tropiku, czarno - białych półbutach, w koszuli koloru kości słoniowej, z krawatem i chusteczką o rzucającej się w oczy barwie kwiatu jacarandy. W ręce w białej rękawiczce ze świńskiej skóry trzymał długą, czarną cygarniczkę i krzywił nos na odwieczne numery czasopism na stoliku, krzesła i poplamiony chodnik na podłodze, i w ogóle całą atmosferę świadczącą o lichych zarobkach.

Kiedy otworzyłem drzwi do poczekalni, wykonał ćwierć obrotu i spojrzął na mnie marzącymi, bladymi oczyma osadzonymi blisko wąskiego nosa. Cerę miał ogorzałą, rudawe włosy szesane gładko w tył wąskiej czaszki, a cienki wąsik znacznie bardziej rudy od włosów. Przyjrzał mi się niespiesznie i bez wielkiej przyjemności. Wypuścił trochę dymu i powiedział z lekką drwiną:

- Pan Marlowe?

Skinąłem głową.

- Jestem rozczarowany — rzekł. — Oczekiwałem raczej kogoś z brudnymi paznokciami.

- Niech pan wejdzie — powiedziałem — może pan dowcipkować na siedząco.

Przytrzymałem drzwi, a on przeszedł powoli obok mnie strzając na podłogę paznokciem

środkowego palca popiół z papierosa. Usiadł przed biurkiem, zdjął rękawiczkę z prawej dłoni i położył wraz z drugą, już zdjętą, na blacie. Wystukał z długiej, czarnej cygarniczki niedopałek, rozduśił go na popielnicze, włożył

nowego papierosa i zapalił szeroką zapalką, ciemną jakby z mahoniu. Rozparł się w krześle z uśmiechem znudzonego arystokraty.

- Wszystko w porządku? — zapytałem. — Puls i oddech normalne? Może przyłożyć zimny kompres na głowę?

Nie skrzywił się, bo już wchodząc był skrzywiony.

- Prywatny detektyw — rzekł. — Nigdy w życiu nie widziałem prywatnego detektywa. Same ciemne sprawy, jak przypuszczam. Podglądanie przez dziurkę od klucza, rozgrzebywanie skandali i tak dalej.

- Pan tu w interesie — spytałem — czy tylko tak sobie, po drodze?

Na jego twarzy ukazał się omdlewający uśmiech.

- Nazywam się Murdock. Chyba to coś panu mówi?

- Bardzo mi przyjemnie — odparłem i zacząłem nabijać fajkę.

Przyglądał mi się, kiedy to robiłem, a potem powiedział powoli:

- Wiem, że moja matka zaangażowała pana w jakimś celu. Dała panu czek.

Skończyłem nabijać fajkę, przyłożyłem do niej zapalkę i odchyliłem się, żeby wypuścić

dym ku otwartemu oknu. Nie odezwałem się ani słowem.

Pochylił się jeszcze bardziej i rzekł z powagą:

- Wiem, że ostrożność ma w pana zawodzie ogromne znaczenie, ale ja nie mówię w ciemno. Doniósł mi o tym mały, skromny robaczek, który choć bywa często podobnie jak ja deptany, to jeszcze jakoś żyje. Zaraz się dowiedziałem. Czy ten fakt pomaga wyjaśnić sprawę?

- Tak — powiedziałem. — Założmy, że ma dla mnie jakieś znaczenie.

- Przypuszczam, że zaangażowano pana w celu odnalezienia mojej żony?

Chrząknąłem i uśmiechnąłem się do niego znad fajki.

- Marlowe — rzekł z jeszcze poważniejszą miną — czuję, że mimo najszczerzych chęci nie zdołam pana polubić.

- Chyba umrę z rozpacz.

- I jeśli mi pan wybaczy ten nieładny zwrot, śmierdzi od pana cwaniactwem.

- To bardzo przykre, gdy się coś takiego słyszy z pana ust.

Odchylił się znów do tyłu i wpatrywał we mnie bladymi oczyma. Kręcił się na krześle usiłując znaleźć wygodną pozycję. Mnóstwo ludzi szukało na tym krześle wygodnej pozycji. Kiedyś będę musiał sam spróbować. Może odstrasza mi klientów.

- Czemu by mojej matce zależało na odnalezieniu Lindy?— spytał powoli. — Nienawidziła jej do szpiku kości. To znaczy, nie Linda matki, tylko matka Lindy. Linda zachowywała się całkiem przyzwoicie w stosunku do matki. Co pan o niej sądzi?

- O pana matce?

- Oczywiście. Przecież pan nie zna Lindy.

- Posada sekretarki matki pana wisi na włosku. Źle, jeśli sekretarki mówią nie proszone.

Potrząsnął głową.

- Matka się nie dowie. A gdyby nawet, to nie mogłaby się obejść bez Merle. Musi się nad kimś znęcać. Wrzeszczy na nią, czasem nawet bije ją po twarzy, ale nie może się bez niej obejść. Co pan o niej sądzi?

- Dosyć miła... w staromodnym stylu.

Skrzywił się.

- Myślę o matce. Merle to prosta dziewczyna, wiem o tym.

- Zdumiewa mnie pańska zdolność obserwacji — powiedziałem.

Wyglądał na zaskoczonego. O mało nie zapomniał strząsnąć paznokciem popiołu z papierosa. Zadbał jednak, by ani drobinka nie dostała się do popielniczki.

- Mówmy o mojej matce — rzekł cierpliwie.

- Kobieta jak gład — powiedziałem. — Serce ze szczerego złota, ale to złoto głęboko i dobrze ukryte.

- Ale czemu ona chce odnaleźć Linde? Nie rozumiem tego. I jeszcze wydaje na to pieniądze. Ona nie cierpi wydawać pieniędzy. Wolałaby wydrzeć z siebie duszę. Po co chce odnaleźć Linde?

- Bo ja wiem? — odparłem. — Kto panu mówił, że chce ją odnaleźć?

- Domyślam się tego z pana zachowania. Poza tym Merle...

- Merle to romantyczka. Ona to sobie wyimaginowała. Niech to licho, ona wyciera nos w męską chusteczkę. Prawdopodobnie w pańską.

Zaczerwienił się.

- To głupie. Niech pan posłucha, Marlowe. Niechże pan będzie rozsądny i powie mi, o co chodzi. Nie mam pieniędzy, ale gdyby pana urządziło dwieście dolarów...

- Powinienem pana wyrzucić za drzwi — powiedziałem. — Poza tym nie wolno mi z panem rozmawiać. Takie otrzymałem polecenie.

- Ale na miłość boską, czemu?

- Niech pan nie pyta mnie o rzeczy, o których nie wiem, bo nie potrafię odpowiedzieć. I niech mnie pan nie pyta o rzeczy, o których wiem, bo nie mogę odpowiedzieć. Gdzie się pan chował? Czy człowiek mojego zawodu, który otrzymał jakieś zadanie, chodzi i odpowiada na wszystkie pytania, jakie mu zada byle wścibski?

- To musi być bardzo podniecająca sprawa — powiedział niegrzecznie — skoro taki człowiek jak pan odmawia przyjęcia dwustu dolarów.

Nie przejąłem się także i tym. Wziąłem z popielniczki mahoniową zapalną, którą tam wrzucił, i przyjrzałem się jej. Miała wąziutkie żółte paseczki na krawędzi i biały nadruk ROSE-MONT. H. RICHARDS'3... reszta była spalona. Przełamałem zapalną, ścisnąłem obie połówki i rzuciłem do kosza na śmieci.

- Kocham żonę — wyznał ni stąd, ni zowąd ukazując białe krawędzie zębów. — Może to sentymentalne, ale prawdziwe.

- Widać, że lombardy prosperują.

- Ona mnie nie kocha — mówił dalej przez odsłonięte zęby. — Bo też i nie ma specjalnych powodów, aby mnie kochać. Stosunki między nami są napięte. Była przyzwyczajona do raczej ruchliwego życia. No a nasze jest dość nudne. Nie kłóciliśmy się. Linda jest typem kobiety opanowanej. Ale

naprawdę nie miała wielu radości w pożyciu ze mną.

- Pan jest po prostu za skromny — powiedziałem.

Oczy mu błysnęły, ale zdołał się opanować.

- Kiepski żart, panie Marlowe. I nawet nie nowy. Proszę posłuchać. Pan sprawia wrażenie przyzwoitego człowieka. Wiem, że jak moja matka wydaje dwieście pięćdziesiąt dolarów, to nie dla zabawy. Może nie chodzi o Linde. Może chodzi o coś innego. Może... — urwał i po chwili dokończył powoli, patrząc mi badawczo w oczy — może chodzi o Mornego.

- Może — odparłem pogodnie.

Wziął rękawiczki, trzasnął nimi o blat biurka i znów je położył.

- Rzeczywiście, naraziłem mu się — rzekł. — Ale nie myślałem, że ona wie o tym. Na pewno Morny do niej zadzwonił. A obiecał nie dzwonić.

To poszło łatwo.

- Na ile pan u niego leży? — zapytałem.

Tym razem nie poszło tak łatwo. Stał się znowu podejrzliwy.

- Gdyby do niej dzwonił, toby jej powiedział. A ona z kolei powiedziałaaby panu — rzekł niepewnie.

- Może nie chodzi o Morny'ego — powiedziałem i poczułem wielką ochotę, żeby się czegoś napić. — Może na przykład kucharka zaszła w ciążę z dostawcą lodu. Ale jeżeli chodzi o Morny'ego, to ile?

- Dwanaście tysięcy — odparł spuszczać oczy i czerwieniąc się.

- Groźby?

Skinął głową.

- Niech mu pan powie, żeby poszedł do diabła — poradziłem mu. — Co to za typek? Jakiś mocniak?

Podniósł głowę, miał teraz odważną minę.

- Chyba tak. Oni wszyscy chyba tacy. Grywał ciemnych typów w filmach. Przystojny i dość pretensjonalny, kobieciarz. Ale niech pan sobie niczego nie wyobraża. Linda tam tylko pracowała, tak jak kelnerki i orkiestra. A jeśli pan jej szuka, to niełatwo pan ją znajdzie.

Uśmiechnąłem się do niego drwiąco.

- Czemu niełatwo? Nie jest chyba zakopana w ogrodzie za domem.

Wstał z błyskiem gniewu w bladych oczach. Schylił się troszkę nad biurkiem i dość zręcznym ruchem prawej ręki wydobyl mały pistolet samopowtarzalny, kaliber mniej więcej 25, z orzechowymi okładzinami. Wyglądał jak rodzony brat tamtego, który widziałem w szufladzie biurka Merle. Skierowany na mnie wylot lufy sprawiał dość groźne wrażenie. Nawet nie drgnąłem.

- Jeśli ktokolwiek spróbuje naprzykrzać się Lindzie, będzie miał najpierw ze mną do czynienia — rzekł z napięciem w głosie.

- To nie powinno być zbyt trudne. Niech się pan lepiej postara o coś, co bardziej przypomina rewolwer... Chyba że chce pan walczyć z pszczołami

Wsunął malutki pistolet z powrotem do wewnętrznej kieszeni marynarki. Spojrzał mi twardo w oczy, wziął rękawiczki i ruszył ku drzwiom.

- Szkoda czasu na rozmowę z panem — powiedział. — Pana tylko żarty się trzymają.

- Chwileczkę! — Wstałem i wyszedłem zza biurka. — Byłoby dobrze, żeby pan nie wspominał o tym spotkaniu matce, choćby ze względu na tę małą.

Kiwnął głową.

- Biorąc pod uwagę te wiadomości, jakie od pana uzyskałem, nasze spotkanie rzeczywiście nie zasługuje na wzmiankę.

- A w tym, że jest pan winien Morny'emu dwanaście tysięcy, nie ma żadnej lipy?

Spuścił oczy, potem je podniósł, a potem znów opuścił.

- Ten, kto by zdołał naciągnąć Alexa Morny'ego na dwanaście tysięcy dolarów, musiałby być dużo sprytniejszy ode mnie.

Stałem tuż przy nim.

- Szczerze mówiąc — rzekłem — ani przez chwilę nie wierzyłem, że pan się martwi o swoją żonę. Myślę, że pan

doskonale wie, gdzie ona jest. Ona wcale od pana nie uciekła. Uciekła tylko od pana matki.

Podniósł oczy i włożył rękawiczkę. Nie powiedział ani słowa.

- Może dostanie jakąś pracę — ciągnąłem dalej — i zarobi dość pieniędzy, żeby móc pana utrzymać.

Znowu spuścił wzrok, następnie wykonał leciutki obrót w prawo i jego pięść w rękawiczkę zakreśliła łuk ku górze. Uchyliłem się, żeby mnie nie trafiła w szczękę, złapałem go za przegub dłoni i wolno przegiąłem do jego piersi napierając nań całym ciałem. Odsunął nogę w tył i zaczął ciężko dyszeć. Miał cienki przegub. Moje palce objęły go i zetknęły się.

Staliśmy tak patrząc sobie w oczy. Dyszał jak pijany — usta miał otwarte, zęby odsłonięte. Na jego policzki wystąpiły krągłe jaskrawoczerwone plamki. Próbował wyrwać mi rękę,] ale tak na niego napałem, że musiał zrobić jeszcze jeden krok w tył, żeby zebrać wszystkie siły. Nasze twarze były teraz zaledwie o parę cali od siebie.

- Jak to się stało, że stary nie zostawił panu pieniędzy? — spytałem drwiąco. — A może już zdążył pan je puścić?

- To moja sprawa — wycedził przez zęby, wciąż usiłując wyszarpnąć rękę — a jeśli pan ma na myśli Jaspera Murdocka, to on wcale nie był moim ojcem. Nie lubił mnie i nie zostawił mi ani centa. Moim ojcem był Horace Bright, który stracił majątek podczas kryzysu i wyskoczył z okna swojego biura.

- Łatwo puszcza pan farbę — powiedziałem — ale kiepską. Przepraszam za te słowa, że żona pana utrzymuje. Chciałem pana tylko rozzłościć.

Puściłem przegub jego dłoni i odstałem w tył. Ciągle dyszał ciężko. Oczy miał wciąż bardzo gniewne, ale nie podniósł głosu.

- No, więc udało się panu. Jeżeli jest pan już zadowolony, to sobie pójdę,

- Zrobiłem panu przysługę — powiedziałem. — Rewolwerowiec nie powinien tak łatwo się obrażać. Radzę panu wyrzucić ten rewolwer.

- Obejdę się bez pana rad -- odrzekł. — Przykro mi, że zamierzyłem się na pana, ale mój cios i tak nie bardzo by pana zabolął, gdyby nawet trafił.

- Nic nie szkodzi.

Otworzył drzwi i wyszedł. Jego kroki oddalały się w korytarzu. Jeszcze jeden pomylenieć. Stukałem knykciem palca o zęby w rytm tych kroków, póki je słyszałem. Potem usiadłem z powrotem za biurkiem, rzuciłem okiem na numer w notatniku i podniosłem słuchawkę telefonu.

4

Kiedy dzwonek oddzwonił trzy razy, na drugim końcu linii odezwał się jakby dziecinny głos dziewczęcy, przefiltrowany przez gumę do żucia.

- Dzień dobry. Tu biuro pana Morningstara.

- Zastałem starszego pana?

- A kto mówi?

- Marlowe.

- Czy pan Morningstar zna pana, panie Marlowe?

- Proszę go zapytać, czy chce kupić wczesnoamerykańskie złote monety.

- Proszę chwileczkę poczekać.

Nastąpiła przerwa trwająca w sam raz tyle, aby starszy pan zdołał zdać sobie sprawę z faktu, że ktoś chce z nim porozmawiać przez telefon. Potem w słuchawce stuknęło i zabrzmiał męski głos. Suchy głos. Można by nawet powiedzieć, że wyschły na wiór.

- Mówi Morningstar, słucham.

- Podobno dzwonił pan do pani Murdock z Pasadeny. W sprawie pewnej monety.

- W sprawie pewnej monety? — powtórzył. — Ach, tak. No to co?

- O ile wiem, pragnął pan kupić pewną monetę ze zbiorów Murdocka.

- Ach, tak? A kim pan jest, panie?

- Philip Marlowe. Prywatny detektyw. Pracuję dla pani Murdock.

- Ach, tak — rzekł po raz trzeci. Odchrząknął. — A o czym chce pan ze mną rozmawiać, panie Marlowe?

- O tej monecie.
- Ale powiedziano mi, że nie jest na sprzedaż.
- Mimo wszystko chcę z panem o niej porozmawiać. Ale nie przez telefon.

- Chce pan powiedzieć, że pani Murdock zmieniła decyzję?
- Nie.
- Więc obawiam się, że nie rozumiem, czego pan ode mnie chce, O czym tu rozmawiać?

- W jego głosie brzmiała wyraźna chytrość.
Wyjąłem teraz asa z rękawa i zagrałem go z ospałym wdziękiem.

- Rzecz w tym, panie Morningstar, że dzwoniąc do niej wiedział pan doskonale, że ta moneta nie jest na sprzedaż.

- Ciekawe — rzekł wolno. — A skąd?

- Jest pan fachowcem, więc nie mógł pan nie wiedzieć. To sprawa powszechnie znana, że kolekcja Murdocka nie może być wystawiona na sprzedaż za życia pani Murdock.

- Ach — powiedział. — Ach. — Umilkł. A potem nie ostro, ale szybko rzekł: — O trzeciej. Tutaj, w moim biurze, jeśli łaska. Sądzę, iż wie pan, gdzie to jest. Czy to panu odpowiada?

- Jak najbardziej — odparłem.

Odłożyłem słuchawkę, zapaliłem znowu fajkę i siedziałem patrząc w ścianę. Twarz zeszywniała mi od głębokiego zamyślenia czy czegoś innego, fakt, że zeszywniała. Wyjąłem z kieszeni fotografię Lindy Murdock, pogapiłem się na nią przez chwilę, stwierdziłem, że koniec końców twarz jest ładna, ale pospolita, i zamknąłem fotografię w biurku. Wyjąłem z popielniczki drugą zapalną Murdocka i przyjrzałem się jej. Napis na tej zapalce głosił: TOP RÓW W. D. WRIGHT'36. Wrzuciłem ją z powrotem do popielniczki, zastanawiając się, co w tym takiego ważnego. Może to jakaś wskazówka?

Wyjąłem z portfela czek pani Murdock, indorsowałem go wypełniłem odpowiednio, aby go zamienić na gotówkę, wyciągnąłem z szuflady książeczkę czekowa, złożyłem razem czek i książeczkę, spiąłem gumką i wsadziłem do kieszeni.

W książce telefonicznej nie znalazłem Lois Magic. Wypisałem numery kilku agencji teatralnych, które były

zaznaczone tłustszym drukiem, i wydzwaniałem je po kolei. Wśród odpowiadały mi różne i pogodne głosy, stawiając mnóstwo rozmaitych pytań, ale nie wiedziano albo nie chciano nic powiedzieć o pannie Lois Magic, podającej się za artystkę estradową.

Cisnąłem książkę telefoniczną do kosza na śmieci i zadzwoniłem do Kenny'ego Haste'a, reportera kryminalnego „Chronicle”.

- Co wiesz o Alexie Mornym? — spytałem, kiedy skończyliśmy dowcipkować.

- Prowadzi zbytkowny nocny lokal i klub hazardowy w Idle Valley, o jakieś dwie mile w bok od autostrady, w stronę gór. Grał w filmach. Kiepski aktorzyzna. Wydaje się, że ma mocne plecy. Nigdy nie słyszałem, aby zastrzelił kogoś publicznie w samo południe. Ani o jakiegokolwiek innej porze, jeśli o to chodzi. Ale wołałbym się o to nie zakładać.

- Niebezpieczny?

- Chyba mógłby być. Jest z tych, co chodzą do kina i wiedzą, jak powinni się zachowywać szefowie nocnych lokali. Jego straż przyboczna to pewien dość niezwykły typ. Nazywa się Eddie Prue, ma około stu dziewięćdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu i jest mizerny jak najuczciwsze alibi. Ma bielmo na oku w wyniku otrzymanej podczas wojny rany.

- Czy Morny jest niebezpieczny dla kobiet?

- Nie bądź wiktoriański, stary wariacie. Kobiety nie nazywają tego niebezpieczeństwem.

- Znasz dziewczynę imieniem Lois Magic, która się podaje za artystkę estradową? Wysoka, szykowna blondynka.

- Nie. Ale chętnie poznam.

- Nie bądź taki rozkoszny. Znasz nazwisko Vannier? Nie ma go w książce telefonicznej.

- Nie. Ale mógłbym zapytać Gertie'ego Arbogasta, jeżeli zadzwonisz później. On zna całą arystokrację nocnych lokali i wszystkie męty.

- Dziękuję ci, Kenny. Zadzwonię. Za pół godziny?

Powiedział, że świetnie, i skończyliśmy rozmowę. Zamknąłem biuro i wyszedłem. Przy końcu korytarza, w

załomie ściany, siedział młody blondyn w brązowym garniturze, kakaowym kapeluszu słomkowym i oparty o ścianę czytał popołudniową gazetę. Kiedy go mijalem, ziewnął, włożył gazetę pod pachę i wstał. Wsiadł razem ze mną do windy. Był taki senny, że z trudem otwierał oczy. Wyszedłem na ulicę i przespacerowałem się do pobliskiego banku, żeby zdeponować czek i wziąć trochę gotówki na drobne wydatki. Stamtąd udałem i do baru Tigertail, usiadłem przy stoliku i zamówiłem martini i kanapkę. Mężczyzna w brązowym ubraniu ustawił się końcu kontuaru, pił coca-colę i ze znudzoną miną układał bilon w kolumienki, pilnie wyrównując ich brzegi. Teraz znowu ciemne okulary na nosie. Pewnie sądził, że one go czynią niewidzialnym.

Guzdrałem się z jedzeniem, jak tylko mogłem najdłużej a potem poszedłem do kabiny telefonicznej w głębi baru. Mężczyzna w brązowym ubraniu obrócił szybko głowę, a potem spróbował zamaskować ten ruch podniesieniem do ust szklanki. Wykręciłem numer redakcji „Chronicie”.

- Okay — rzekł Kenny Haste. — Gertie Arbogast mówi, że Morny nie tak dawno ożenił się z tą twoją szykowną blondyną, Lois Magic. Vanniera nie zna. Mówi, że Morny kupił willę w Bel-Air, białą willę przy Stillwood Crescent Drives jakieś pięć przecznic na północ od Bulwaru Zachodzącego Słońca. Gertie mówi, że Morny przejął ją po zbankrutowanym bogaczu nazwiskiem Arthur Blake Popham, który odsiaduje karę za oszustwa. Na bramie zostały jeszcze inicjały. Pewnie też na papierze toaletowym, mówi Gertie, bo to do niego podobne. To już chyba wszystko, co wiemy.

- Trudno wymagać więcej. Serdeczne dzięki, Kenny.

Odwiesiłem słuchawkę, wyszedłem z kabiny, napotkałem wzrokiem ciemne okulary pod kakaowym kapeluszem i patrzyłem jak się szybko odwracają. Okręciłem się na pięcie, wyszedłem przez wahadłowe drzwi do kuchni, stamtąd w zaułek i na tyły parking, gdzie stał mój samochód.

Tym razem, kiedy podążałem w kierunku Bel-Air, nie jechało za mną piaskowe coupe.

Stillwood Crescent Drive odbiegał od Bulwaru Zachodzącego Słońca łagodnym łukiem ku północy, spory kawałek za polami golfowymi Bel-Air. Po obu stronach drogi znajdowały się otoczone murem lub płotami prywatne posiadłości. Niektóre miały wysokie mury, inne niskie, jeszcze inne ozdobne ogrodzenia z kutego żelaza, a jeszcze inne były staromodne i obywaty się wysokimi żywopłotami. Na ulicy nie było chodników. Tu nikt nie chodził piechotą, nawet listonosz.

Popołudnie było gorące, ale nie tak upalne jak w Pasadenie. W powietrzu unosił się senny zapach kwiatów i słońca, słychać było syk zraszanej trawy dobiegający zza murów i żywopłotów, wyraźny terkotliwy odgłos kosiarek przesuwanych delikatnie po spokojnych i ufnie poddających się temu zabiegowi trawnikach.

Jechałem wolno pod górę wypatrując na bramach monogramów. Facet nazywał się Arthur Blake Popham. Należało szukać inicjałów ABP. Znalazłem je niemal u samego szczytu wzgórza, złożone, na czarnej tarczy, na rozwartych na podjazd skrzydłach bramy.

Dom był oślepiająco biały i sprawiał wrażenie świeżo postawionego, ale ogród wyglądał na dobrze już zagospodarowany. Jak na tę okolicę była to dość skromna rezydencja, najwyżej o czternastu pokojach i prawdopodobnie z jednym tylko basenem. Okalający ją mur był niski, z cegły łączonej cementem i z zamalowanymi na biało fugami. Szczyt muru wieńczy żelazna krata, pomalowana na czarno. Na dużej srebrzystej skrzynce na listy przy wejściu dla służby było wypisane szablonem A. P. Morny.

Zaparkowałem grata na ulicy i poszedłem czarnym podjazdem do bocznych, lśniących bielą drzwi, na które padały od daszku z kolorowych szybek barwne plamki. Zapukałem dużą mosiężną kołatką. W głębi, obok domu, szofer mył Cadillaca;

Drzwi otworzył Filipińczyk o surowych oczach i skrzywił się pogardliwie. Dałem mu wizytówkę.

- Do pani Morny — powiedziałem.

Zniknął. Mijał czas, jak zawsze musiałem czekać pod drzwiami. Plusk wody na Cadillacu działał orzeźwiająco. Szofer był mały jak karzeł, w sztylpach i bryczesach, i mokrej potu koszuli. Wyglądał jak podstarzały dżokej i wydawał tak samo syczące odgłosy myjąc samochód, jak stajenny czyszczący zgrzeblę konia.

Na szkarłatny krzew obok drzwi sfrunął koliber z czerwonym gardziołkiem, popotrząsał trochę długie rurkowate kwiaty i odrunął tak szybko, jakby rozplynał się w powietrzu.

Drzwi się otworzyły i Filipińczyk wyciągnął do mnie rękę z moją wizytówką. Nie wziąłem jej.

- Czego pan chce? — Głos był suchy, trzeszczący, jakby ktoś chodził na palcach po skorupkach jajek.

- Zobaczyć panią Morny.

- Nie ma jej w domu.

- A nie wiedziałeś tego, jak ci dawałem wizytówkę?

Rozchylił palce i wizytówka wypadła na ziemię. Uśmiechnął się, ukazując tandetnie wykonane sztuczne zęby.

- Dowiedziałem się, jak mi powiedziała — i niezbyt delikatnie zatrzasnął mi drzwi przed nosem.

Podniosłem wizytówkę i przeszedłem wzdłuż ściany do miejsca, gdzie szofer polewał wodą Cadillaca i zmywał go wielką gąbką. Miał czerwone obwódki wokół oczu i nad czołem grzywę włosów barwy kukurydzy. U jego dolnej wargi wisiał przylepiony zgasły papieros. Obrzucił mnie szybkim spojrzeniem spod oka, jak człowiek, któremu z trudem przychodzi pilnowanie własnych spraw.

- Gdzie szef? — zapytałem.

Papieros zadyndał mu w ustach. Woda syczała łagodnie na lakierze karoserii.

- Spytaj się w domu, brachu.

- Pytałem, to mi zatrzasnęli drzwi przed nosem.

- Przykra sprawa, brachu.

- A gdzie pani Morny?

- Nic nie wiem, brachu. Ja tutaj tylko pracuję. Sprzedajesz coś?

Wyjąłem wizytówkę i przytrzymałem ją tak, żeby mógł przeczytać. Tym razem była to moja urzędowa wizytówka. Odłożył gąbkę na stopień, a węża na beton. Obszedł kałużę, żeby wytrzeć ręce ręcznikiem wiszącym na drzwiach garażu. Wyjął z kieszeni spodni zapalniczki, zapalił jedną i odchylił głowę w tył, żeby przypalić zgasłego peta, którego miał w ustach. Rozejrzał się lisimi oczkami na wszystkie strony. Przeszedł za samochód i kiwnął głową na mnie. Zbliżyłem się do niego.

- Fundusz na koszty prowadzenia sprawy jest? — spytał cichym i ostrożnym głosem.

- Nietknięty.

- Za piątkę mógłbym zacząć myśleć.

- Nie śmiem cię narażać na tak wielki trud.

- Za dychę śpiewałbym jak cztery kanarki z towarzyszeniem gitary.

- Nie lubię takich wymyślnych aranżacji.

Pochylił głowę na bok.

- Gadaj, brachu, po ludzku — rzekł.

- Nie chcę, żebyś stracił pracę, synu. Chcę tylko wiedzieć czy pani Morny jest w domu. Czy tego rodzaju wiadomość kosztuje więcej niż dolca?

- Nie martw się o moją pracę, brachu. Mam tu mocną pozycję.

- U Morny'ego... czy kogoś innego?

- Za dużo chciałbyś wiedzieć za jednego dolca.

- Za dwa.

Przyjrzał mi się pilnie.

- Na pewno nie pracujesz dla niego?

- Na pewno.

- Kłamiesz.

- Na pewno.

- Dawaj te dwa dolce — warknął.

Dałem mu dwa dolary.

- Ona siedzi za domem z przyjacielem — powiedział. Miłym przyjacielem. Jak się ma przyjaciela, który nie pracuje i męża, który pracuje, to człowiek jest urządzony, nie? — łypnął chytrze okiem.

- Będziesz i ty urządzony, jak znajdziesz się na bruku.

- O, nie, brachu. Nie jestem taki głupi. Wiem, jak z nimi postępować. Kręcę się przy takich ludziach całe życie.

Potarł banknoty w dłoniach, chuchnął na nie, złożył je czworo i wsadził do małej kieszonki w spodniach.

- Ale to wszystko mięta — rzekł. — Dasz jeszcze piątkę to...

Zza Cadillaca wypadł dość duży, jasny cocker spaniel, pośliznął się na mokrym betonie, odbił zgrabnie od ziemi, skoczył na mnie wszystkimi czterema łapami, liznął po twarzy, opadł na ziemię, obiegł mnie dokoła, usiadł mi między nogami, wywalił jęzor na całą długość i zaczął sapać. Przystąpiłem przez niego oparłem się o samochód i wyjąłem chustkę do nosa.

- Heathcliff, do nogi, Heathcliff, do nogi! — zabrzmiał męski głos. Na betonowej ścieżce rozległy się kroki.

- Heathcliff to ten — rzekł szofer kwaśno.

- Heathcliff?

- Do licha, tak nazywają tego psa, brachu.

- „Wichrowe Wzgórza”? — spytałem.

- Znowu gadasz niezrozumiale — rzekł z pogardą. — Uważaj, idzie ten przyjaciel. — Wziął gąbkę i gumowego węża i zaczął dalej myć samochód. Odszedłem na bok. Spaniel natychmiast usiadł mi znów między nogami, że o mało nie przewróciłem się o niego.

- Heathcliff, do nogi! — zabrzmiało głośniejsze i u wylotu porosłej pnącymi różami ścieżki, które tworzyły nad nią jakby tunel, ukazał się mężczyzna.

Wysoki, ciemny, o oliwkowej cerze, lśniących czarnych oczach i białych zębach. Baczki. Wąziutki czarny wąsik. Baczki za długie, dużo za długie. Biała koszula z haftowanymi inicjałami na kieszonce, białe spodnie, białe pantofle. Podłużny wygięty zegarek przytrzymał na przegubie złoty łańcuszek. Na opalonej na brąz szczupłej szyi żółta chustka. Zobaczył psa siedzącego między moimi nogami i zrobił niezadowoloną minę. Strzepnął długimi palcami i warknął surowym głosem:

- Heathcliff, chodź tutaj! Chodź tu w tej chwili!

Pies ciężko sapał i ani myślał go słuchać, tylko przysunął się

bliżej mojej prawej no gi.

- Kto pan jest? — spytał mężczyzna spoglądając na mnie z góry.

Podąłem mu wizytówkę. Wziął ją w oliwkowe palce. Pies cichutko wycofał się spomiędzy moich nóg, przekradł się za samochód i pomknął w dal.

- Marlowe — powiedział mężczyzna. — Marlowe, eh? Co to ma znaczyć? Detektyw? Czego pan chce?

- Chcę się zobaczyć z panią Morny.

Obejrzał mnie od stóp do głów — błyszczące czarne oczy poruszyły się powoli, a wraz z nimi jedwabiste końce długich rzęs.

- Czyż nie mówiono panu, że jej nie ma?

- Tak, ale ja w to nie wierzę. Czy pan jest pan Morny?

- Nie.

- To pan Vannier — powiedział zza mych pleców szofer. Mówił przesadnie ugrzecznonym tonem rozmyślnej zaczepki.

- Pan Vannier jest przyjacielem rodziny. Bardzo często tu przychodzi.

Vannier spojrział poza mnie, w jego oczach była wściekłość. Szofer wyszedł z samochodu i wypluł niedopałek papierosa z wyrazem pogardy.

- Mówiłem detektywowi, że szefa nie ma, panie Vannier.

- Rozumiem.

- Powiedziałem, że jest tylko pani Morny i pan. Może źle zrobiłem?

- Powinieneś pilnować własnych spraw — rzekł Vannier.

- Sam się dziwię, czemu nie przyszło mi to na myśl — powiedział szofer.

- Zjeżdżaj stąd, zanim ci przetrącę ten twój brudny kark — zagroził Vannier.

Szofer obrzucił go spokojnym spojrzeniem, a potem wrócił w mrok garażu i zaczął gwizdać. Vannier przeniósł swój gniewny wzrok na mnie i warknął:

- Powiedziano panu, że pani Morny nie ma, ale to panu nie wystarczyło. Tak? Innymi słowy, ta informacja nie zadowoliła pana?

- Świetnie pan to określił.

- Rozumiem. Mógłby pan powiedzieć, o czym chce pan rozmawiać z panią Morny?

- Wolę powiedzieć to samej pani Morny.

- Pani Morny najwyraźniej nie chce pana przyjąć.

- Uważaj na jego prawą, brachu — rzekł szofer zza samochodu. — Może w niej mieć nóż. Oliwkowa cera Vanniera przybrała barwę wyschłych wodorostów. Obrócił się na pięcie i rzekł zduszonym głosem:

- Proszę za mną.

Ruszył naprzód wykładaną cegłą ścieżką pod tunelem róż i przez białą furtkę u jej końca. Znajdował się tam ogrodzony murem ogród z rabatkami barwnych kwiatów, boiskiem do kometki, ładnym trawnikiem i małym basenem wykładanym kafelkami, który błyszczał w słońcu. Obok basenu znajdowała się wykładana betonowymi płytami przestrzeń, na której stały biało-niebieskie meble ogrodowe, niskie stoliki z mozaikowymi blatami, leżaki z podnóżkami i wielkimi poduchami, a nad tym wszystkim wielki jak namiot niebiesko-biały parasol.

Na jednym z tych leżaków spoczywała długonoga blondynka z rozmarzoną miną. Nogi miała oparte na miękkim podnóżku, u jej łokcia stała wysoka szklanka, srebrne wiaderko z lodem i butelka whisky. Patrzyła na nas leniwie, kiedy szliśmy przez trawnik. Z odległości dziesięciu metrów wyglądała bardzo rasowo. Z odległości trzech metrów odnosiło się wrażenie, że lepiej ją oglądać z odległości dziesięciu. Usta miała szerokie, oczy zbyt jasne, makijaż zbyt jaskrawy, cieniutkie łuki brwi niewiarygodnie zakrzywione i długie, a tusz na rzęsach tak grubo nałożony, że wyglądały jak miniaturowe pręciki z drutu.

Miała na sobie białe spodnie z żaglowego płótna, biało-niebieskie sandały na bosych nogach z pomalowanymi na karmazynowo paznokciami, białą, jedwabną bluzkę i naszyjnik z jakichś zielonych kamieni, ale nie szmaragdów. Od włosów biło sztucznością jak z hallu nocnego lokalu.

Na krześle obok niej leżał biały słomkowy kapelusz od słońca z rondem wielkości koła i białą satynową wstążką do zawiązywania pod brodą. Na rondzie kapelusza leżały ciemne

okulary o szklach wielkości pączków.

Vannier podszedł do niej i wyszczał:

- Musisz natychmiast wyrzucić tego cholernego karła z czerwonymi oczyma. Bo jak nie, to skręcę mu kark. Nie mogę przejść koło niego, żeby mnie nie obraził.

Blondynka zakaszła lekko, pomachała chusteczką bej; celu i powiedziała:

- Usiądź i daj spocząć swoim wdziękom. Kim jest twój przyjaciel?

Vannier poszukał mojej wizytówki, stwierdził, że trzyma ją w dłoni, i rzucił blondynce na kolana. Blondynka wzięła wizytówkę leniwie, przebiegła ją wzrokiem, westchnęła i postukała paznokciem o zęby.

- Kawał chłopca, nie? Za wielki, żebyś mógł sobie z nim dać radę.

Vannier obrzucił mnie nieprzyjemnym spojrzeniem.

- Niech pan mówi, co pan ma do powiedzenia, i idzie.

- Mam mówić do pani? — zapytałem. — Czy do pana a pan to przełoży na angielski?

Blondynka roześmiała się. Srebrna kaskada śmiechu, który zachował naturalność

wytryskających z wody banieczek. Mały języczek przesunął się hultajsko po jej ustach.

Vannier usiadł i zapalił papierosa ze złotym ustnikiem, a ja stałem patrząc na nich.

- Szukam pani przyjaciółki — powiedziałem. — Podobno mniej więcej rok temu mieszkały panie w tym samym mieszkaniu. Nazywa się Linda Conquest.

Vannier spojrzał na mnie szybko i spuścił wzrok, a potem znowu spojrzał i znowu cofnął spojrzenie. Odwrócił głowę i patrzył na drugą stronę basenu. Siedział tam spaniel zwany Heathcliffem, łypiąc na nas okiem. Vannier strzepnął palcami.

- Heathcliff, chodź tu! Heathcliff, do nogi! Chodź tu!

- Zamknij się — powiedziała blondynka. — Ten pies cię nienawidzi. Pozbądź się choć na chwilę swojej próżności, na miłość boską.

- Nie mów tak do mnie — warknęła Vannier.

Blondynka zachichotała i obrzuciła jego twarz pieśczośliwym spojrzeniem.

- Szukam dziewczyny nazwiskiem Linda Conquest, proszę pani— wtrąciłem. Blondynka spojrzała na mnie i powiedziała:

- Już mi pan mówił. Właśnie się zastanawiam. Nie widziałam jej chyba od pół roku. Wyszła za męż.

- Nie widziała jej pani od pół roku?

- Właśnie to mówię, dragalu. A po co panu ta wiadomość?

- Prowadzę prywatne dochodzenie.

- W jakiej sprawie?

- Poufnej — odparłem.

- No, proszę — powiedziała blondynka pogodnie. — Prowadzi prywatne dochodzenie w poufnej sprawie. Słyszałeś, Lou? Ale narzucanie się zupełnie obcym ludziom, którzy nie mają ochoty z nim rozmawiać, jest całkiem w porządku, prawda? Ponieważ prowadzi prywatne dochodzenie w poufnej sprawie.

- A więc nie wie pani, gdzie ona jest?

- Przecież mówiłam. — Jej głos wzniósł się o parę tonów.

- Nie mówiła pani. Pani powiedziała, że nie widziała jej i pani od roku, a to wcale nie to samo.

- Kto panu powiedział, że mieszkaliśmy razem? — spytała.

- Nigdy nie zdradzam źródła informacji, proszę pani.

- Kochanie, jesteś małostkowy jak kierownik baletu. Ja mam ci opowiedzieć wszystko, ty mi nic?

- Sytuacja jest całkiem inna — powiedziałem. — Ja pracuję i wykonuję polecenia pracodawcy. Chyba ta pani nie ma powodów, żeby się ukrywać?

- Kto jej szuka?

- Rodzina.

- Znów zagadka. Ona nie ma żadnej rodziny.

- Musi ją pani dobrze znać, skoro pani o tym wie.

- Może kiedyś znałam. Ale to nie znaczy, że znam teraz.

- No, dobrze — zgodziłem się. — Należy to rozumieć, że pani wie, ale nie chce powiedzieć.

- Należy to rozumieć — wtrącił się nagle Vannier — pana obecność jest tu niemiła i im prędzej pan pójdzie, tym większą

zrobi nam pan przyjemność.

Nie spuszczałem wzroku z pani Morny. Mrugnęła do mnie i powiedziała do Vanniera:

- Nie bądź taki niemiły, kochanie. Masz mnóstwo uroku, ale za słabe kości. Nie jesteś stworzony do czynów brutalnych. Mam rację, drażalu?

- Nie myślałem o tym, proszę pani. Sądzi pani, że pan Morny mógłby... zechciałby mi pomóc?

Potrząsnęła głową.

- Skąd mogę wiedzieć? Niech pan spróbuje. Jeśli mu się pan nie spodoba, ma takich, którzy potrafią pana wyrzucić.

- Myślę, że pani sama mogłaby mi powiedzieć, gdyby chciała.

- A jak pan sprawi, żebym zechciała? — W jej oczach błysnęła zachęta.

- Przy tyłu świadkach... — powiedziałem. — Jak to zrobić?

- To jest myśl — rzekła i popijając ze szklanki patrzyła na mnie sponad jej krawędzi. Vannier wstał wolniutko. Twarz miał białą jak kreda. Wsunął rękę pod koszulę i wolno wycedził przez zęby:

- Wynoś się, chamie! Wynoś się, póki się jeszcze może ruszać.

Spojrzałem na niego udając zdziwienie.

- A gdzie pana ogłada? — zapytałem. — Niech pan nie udaje, że nosi pan pod koszulą rewolwer.

Blondynka roześmiała się ukazując piękne mocne zęby. Vannier wsunął rękę pod koszulę pod lewe ramię i zacisnął usta. Jego czarne oczy były zarazem ostre i bez wyrazu, niczym oczy węża.

- Słyszałeś, co powiedziałem? — rzekł niemal łagodnie. — nie lekceważ mnie zbyt pochopnie. Dla mnie uziemić ciebie, to jak splunąć.

Spojrzałem na blondynkę. Oczy jej błyszczały, a usta miały zmysłowy wyraz, gdy na nas patrzyła. Obróciłem się na pięcie i poszedłem przez trawnik. W połowie drogi obejrzałem się. Vannier stał w takiej samej pozycji, z ręką pod koszulą. Oczy blondynki były wciąż szeroko rozwarte, a usta rozchylone, ale

cień parasola zatarł nieco wyraz jej twarzy, który z tej odległości mógł znamionować lęk lub radosne wyczekiwanie.

Poszedłem dalej trawnikiem do białej furtki, a potem ceglana ścieżką pod dachem z róż. Kiedy znalazłem się na końcu ścieżki zawróciłem i podkradłem się po cichu do furtki, żeby ich podpatrzeć. Nic mnie właściwie nie obchodziło, co tam robią. Zobaczyłem jednak Vanniera, jak niemal leżał na blondynce i całował ją.

Pokiwałem głową i ruszyłem z powrotem. Czerwonooki szofer wciąż pracował przy Cadillacu. Ukończył mycie i teraz przecierał szyby i chrom ściereczką z irchy. Podeszedłem i stanąłem obok niego.

- Jak ci się udało? — spytał kątem ust.

- Kiepsko. Przejechali się po mnie z góry na dół.

Kiwnął głową i zaczął dalej posykiwać, jak stajenny czyszczący zgrzeblem konia.

- Lepiej uważaj — przestrzegłem go. — Facet ma broń. Albo udaje, że ma.

Szofer zaśmiał się krótko.

- W tym ubraniu? Wykluczone.

- Co to za typ ten Vannier? Z czego on żyje?

Szofer wyprostował się, położył irchę na drzwiczkach samochodu i wytarł ręce ręcznikiem, który miał teraz wetknięty za pas.

- Chyba z kobiet — powiedział.

- Czy to nie jest trochę niebezpieczne... zabawa z tą kobietą?

- Pewnie, że jest — przyznał. — Różni ludzie różnie pojmują niebezpieczeństwo. Ja bym się bał.

- Gdzie on mieszka?

- W Sherman Ośka. Ona tam do niego jeździ. Żeby tylko nie pojechała o jeden raz za dużo.

- Spotkałeś może dziewczynę nazwiskiem Linda Conquest? Wysoka, ciemna, przystojna, kiedyś śpiewała z orkiestrą.

- Jak na dwa dolce, brachu, za wiele wymagasz.

- Niech będzie razem pięć.

Potrząsnął głową.

- Nie znam tej osoby. Przynajmniej z nazwiska. Tutaj

przychodzą różne damulki, same pięknotki. Ale mnie ich nie przedstawiają — uśmiechnął się.

Wyjąłem portfel i włożyłem mu w wilgotną łapę jeszcze trzy dolary. Dołożyłem również do nich urzędową wizytówkę.

- Lubię niskich, krępych mężczyzn — powiedziałem. Oni się nigdy niczego nie boją. Odwiedź mnie kiedyś.

- Niewykluczone, brachu. Dziękuję. Linda Conquest hę? Będę miał uszy otwarte.

- To na razie — rzekłem. — A nazwisko?

- Nazywają mnie Zakapior. Nie wiem czemu.

- Do widzenia, Zakapior.

- Do widzenia. Rewolwer pod pachą... w tym ubraniu. Wykluczone.

- Nie wiem — powiedziałem. — Zrobił taki ruch. Nie zaangażowano mnie do strzelania się z obcymi ludźmi.

- Do licha, ta koszula, którą nosi, ma dwa guziki pod szyją. Musiałby z tydzień ciągnąć, zanim by wyciągnął spod niej spluwę. — Ale w jego głosie dało się wyczuć lekkie zatroskanie.

- Pewnie tylko bluffował — zgodziłem się. — Jak usłyszysz coś o Lindzie Conquest, chętnie ubiję z tobą interes.

- Okay, brachu.

Poszedłem z powrotem czarnym podjazdem, Zakapior stał drapiąc się w podbródek.

6

Jechałem wzdłuż bloku szukając miejsca do zaparkowania, aby wpaść na chwilę do biura. Od chodnika przed sklepem tytoniowym, niedaleko wejścia do mojego domu, odbił Packard z szoferem w liberii. Wśliznąłem się na zwolnione miejsce, wyjąłem kluczyk ze stacyjki i wysiadłem. Dopiero wtedy zauważyłem, że wóz, przed którym zaparkowałem, to znajome coupe piaskowego koloru. Nie musiało być to samo. Są takich tysiące. Nie było w nim nikogo. W pobliżu również nie zauważyłem nikogo w kakaowym kapeluszu słomkowym, z kolorową opaską. Zaszedłem od strony jezdni i spojrzałem na

kolumnę kierownicy. Na dowodzie rejestracji nie było nazwiska właściciela. Zanotowałem na wszelki wypadek na odwrocie koperty numer dowodu i wszedłem do budynku. Nie zauważyłem znajomego kapelusza ani w hallu, ani w korytarzu na górze.

Wpadłem do swojego biura, poszukałem na podłodze poczty, a nie znalazłszy jej łyknąłem kieliszek z biurowej butelki i wyszedłem. Nie miałem czasu do stracenia, jeżeli chciałem być w śródmieściu przed trzecią. Piaskowe coupe stało wciąż zaparkowane i wciąż puste. Wsiadłem do swego wozu, zapuściłem silnik i włączyłem się w nurt ruchu ulicznego.

Byłem za Bulwarem Zachodzącego Słońca na Vine, kiedy mnie dopędził. Jechałem dalej uśmiechając się i zastanawiając, gdzie się mógł ukrywać. Może w sąsiednim samochodzie, tuż za swoim coupe. Nie przyszło mi to przedtem do głowy.

Jechałem na południe aż do Trzeciej i dalej już Trzecią do śródmieścia. Piaskowe coupe trzymało się cały czas o pół bloku za mną. Skręciłem w Grand, kierując się w stronę Siódmej i zaparkowałem w pobliżu skrzyżowania Siódmej i Olive, wysiadłem, żeby kupić papierosy, których nie potrzebowałem, a potem ruszyłem pieszo na wschód wzdłuż Siódmej, nie oglądając się za siebie. Przy Spring wszedłem do hotelu Metropol, zbliżyłem się wolno do wielkiego, ustawionego w podkowie stoiska z papierosami, zapaliłem papierosa i usiadłem w jednym ze starych, brązowych foteli skórzanych w hallu.

W tej chwili w hallu pojawił się jasnowłosy mężczyzna w brązowym garniturze, ciemnych okularach i dobrze już znajomym kapeluszu i przemknął między cętkowanymi palmami i stiukowymi arkadami do stoiska. Kupił paczkę papierosów, rozpieczętował ją, wykorzystując tę czynność, aby odwrócić się tyłem do kontuaru i omieść orlim wzrokiem hall.

Wziął resztę, którą mu wydano, usiadł w fotelu opierając się plecami o filar. Zsunął sobie kapelusz na okulary i zdawało się, że zapadł w drzemkę z nie zapalonym papierosem w ustach.

Wstałem, przeszedłem się i usiadłem w fotelu obok. Przyglądałem mu się kątem oka. Ani drgnął. Jego twarz wydawała się z bliska młoda, różowa i tłusta, a jasny zarost na policzkach był bardzo niestarannie ogolony. Nagle rzęsy za okularami zatrzepotały. Leżąca na kolanie ręka zacisnęła się i zmarszczyła materiał spodni. Na policzku, tuż pod prawym okiem miał brodawkę.

Zapaliłem zapałkę i przytknąłem płomień do jego papierosa.

- Ognia?

- Och... dziękuję — powiedział bardzo zdziwiony. Pociągnął i koniuszek papierosa się rozjarzył. Zgasilem zapałkę, wrzuciłem do popielniczki z piaskiem stojącej u mego łokcia i czekałem. Obrzucił mnie kilka razy spojrzeniem, z ukosa, a potem zapytał:

- Czy ja pana już gdzieś nie spotkałem?

- Na Dresden Avenue w Pasadenie. Dziś rano.

Policzki poróżowiwały mu jeszcze bardziej. Westchnął.

- Jestem do niczego — powiedział.

- Chłopie, czuć pana na odległość — przyznałem.

- Pewnie to przez ten kapelusz.

- Kapelusz tak — rzekłem. — Ale nie tylko to.

- To ciężki kawałek chleba w tym mieście — żalił się. — Na piechotę się nie da, taksówki mogłyby człowieka zrujnować. A jak się jeździ własnym samochodem, to samochód zawsze stoi tam, gdzie nie można się do niego szybko dostać. Więc trzeba chcąc nie chcąc deptać gościowi po piętach.

- Ale niekoniecznie włożyć mu aż do kieszeni — zauważyłem.

— Czy pan czegoś chce ode mnie, czy tylko się ćwiczysz?

- Chciałem się przekonać, czy pan jest dość sprytny, żeby warto było z panem porozmawiać.

- Jestem bardzo sprytny — zapewniłem go. — Byłby wstyd, gdyby pan ze mną nie porozmawiał.

Rozejrzał się pilnie na wszystkie strony, po czym wyjął z kieszeni mały portfelik ze świńskiej skóry. Wręczył mi świeżutką, prosto spod prasy, wizytówkę; George Anson Philips. Poufne zlecenia. Gmach Sengera 212, North Wilcox Avenue nr 1924, Hollywood. Numer telefonu z dzielnicy

Glenview. W lewym górnym rożku szeroko otwarte oko z brwią wygiętą ze zdziwienia w łuk i długimi rzęsami.

- Tego panu nie wolno — powiedziałem wskazując oko. — To znak Pinkertonów. Będzie im pan podkradał klientów.

- Pal ich licho, nie zubożeją od tego.

Pstryknąłem w wizytówkę palcem, mocno zagryzłem zębami jej rożek i wsunąłem do kieszeni.

- Chce pan moją, czy wie pan o mnie wszystko?

- Och, wiem wszystko. Byłem zastępcą szeryfa w Ventnra, kiedy pan się zajmował sprawą Gregsona.

Gregson był oszustem z Oklahoma City, którego przez dwa lata ściagała po całych Stanach jedna z jego ofiar, aż w końcu tak się wyczerpał nerwowo, że postrzelił pracownika stacji obsługi, kiedy ten wziął go przez pomyłkę za jednego ze swoich znajomych. Sprawa Gregsona wydała mi się teraz bardzo odległa.

- I co jeszcze?

- Przypomniałem sobie pana, kiedy zobaczyłem nazwisko na dowodzie rejestracyjnym dziś rano. Więc jak zgubiłem pana po drodze do miasta, wziąłem adres z książki telefonicznej. Chciałem zająć i porozmawiać, ale to byłoby nadużyciem zaufania mojego klienta. Ale skorośmy się już spotkali, to po prostu nie mogę się powstrzymać.

Jeszcze jeden stuknięty. To razem trzech w ciągu jednego dnia, nie licząc pani Murdock, która też mogła się w końcu okazać stuknięta. Czekalem, a on zdjął okulary, przetarł je i włożył z powrotem. Potem powiedział:

- Myślałem, że może zrobimy układ. Połączymy nasze siły, jak to się mówi. Widziałem, jak ten facet wchodził do pana biura, więc pomyślałem sobie, że pana zaangażował.

- Wie pan, kto to?

- Rozpracowuję go — rzekł bezbarwnym, zniechęconym tonem. — Ale utknąłem w martwym punkcie.

- Co on panu zrobił?

- Występuję z ramienia jego żony.

- Rozwód?

Rozejrzał się pilnie dokoła i powiedział cicho:

- Ona tak mówi. Ale czy ja wiem?

- Oboje chcą rozwodu — rzekłem. — Jedno stara się przyłapać na czymś drugim. Śmieszna historia.

- Moja rola nie bardzo mi się podoba. Jakiś typ depcze mi po piętach. Bardzo wysoki, z takim śmiesznym okiem. Gubię mu się raz po raz, ale po pewnym czasie znowu go widzę. Bardzo wysoki. Prawie jak latarnia.

Bardzo wysoki mężczyzna ze śmiesznym okiem. Palilem W zamyśleniu papierosa.

- Ma coś wspólnego z panem? — spytał blondynek nieco zaniepokojony.

Potrząsnąłem głową i cisnąłem papierosa do popielniczki z piaskiem.

- Nigdy go nie widziałem. — Zerknąłem na zegarek. — Musimy się spotkać i omówić sprawę jak należy. Teraz się śpieszę. Jestem umówiony.

- Chętnie — rzekł. — Bardzo chętnie. Więc dobrze. W moim biurze, w moim mieszkaniu.

- W pana biurze, czy gdzie?

Podrapał się dokładnie obgryzionym paznokciem kciuka w kiepsko ogolony podbródek.

- W moim mieszkaniu — powiedział w końcu. — Nie ma mnie w książce telefonicznej.

- Niech mi pan da na chwilę tę wizytówkę.

Położył ją na dłoni i zaczął wolno pisać małym metalowym ołówkiem, poruszając przy tym językiem. Z każdą minutą stawał się młodszy. Wyglądał teraz na niewiele ponad dwadzieścia lat, choć musiał być starszy, bo sprawa Gregsona była przed sześciu laty. Schował ołówek i oddał mi wizytówkę. Przeczytałem wypisany na niej adres: Florence Apartments 204, Court Street nr 128.

Spojrzałem na niego z zaciekawieniem.

- Court Street na Bunker Hill?

Skinął głową czerwieniąc się po same uszy.

- Nie najlepsza dzielnica — powiedział szybko. — Ostatnio nie jestem przy forsie. Bardzo przepraszam.

- Cóż to szkodzi? — Wstałem i wyciągnąłem rękę. Ucisnął

ją i puścił, a ja wsunąłem dłoń do kieszeni i wytarłem o chusteczkę, którą tam miałem. Przyjrzawszy się uważniej jego twarzy zauważyłem kropelki potu nad górną wargą i na nozdrzach. Wcale nie było tak bar dzo gorąco. Ruszyłem w swoją drogę, ale zawróciłem, pochyliłem się tuż nad jego twarzą i powiedziałem:

- Nie każdy może mnie wystawić do wiatru, ale żeby się upewnić, to jest wysoka blondynka o zimnych oczach, tak?

- Nie nazwałbym ich zimnymi — rzekł.

Nadałem twarzy obojętny wyraz mówiąc:

- A tak między nami, ten rozwód to zawracanie głowy. Chodzi o coś zupełnie innego, prawda?

- Tak — rzekł cicho. — W dodatku coś, co mi się coraz mniej podoba, im dłużej o tym myślę. Proszę. — Wyjął jakiś przedmiot z kieszeni i wsunął mi do ręki. Był to płaski klucz. — Żeby pan nie musiał czekać w hallu, jeżeli się zdarzy, że mnie nie będzie. Mam dwa. O której pan przyjdzie?

- Sądzę, że około wpół do czwartej. Naprawdę chce pan, żebym wziął ten klucz?

- Przecież jedziemy na tym samym koniu — odparł patrząc na mnie tak niewinnie, jak tylko to było możliwe spod ciemnych okularów.

Przy drzwiach obejrzałem się. Siedział spokojnie z na wpół wypalonym zagasłym papierosem w ustach, a krzykliwa opaska na jego kapeluszu wyglądała jak reklama papierosów ostatniej stronie „Saturday Evening Post”.

Jedziemy na tym samym koniu. Więc nie mógłbym go oszukać. Zrozumiała sprawa. Mogę mieć klucz do jego mieszkania, wejść i rozgościć się. Mogę nosić jego ranne pantofle, pić jego alkohol, podnieść dywan i przeliczyć tysiąc dolarowe banknoty, które tam chowa. Jedziemy na tym samym koniu.

Ośmiopiętrowy gmach Belfonta nie wyróżniał się niczym szczególnym między zielonym i błyszczącym chromem wielkim

magazynem przecenionych ubrań a trzypiętrowym garażem, z którego dobywał się ryk jak z klatek z lwami w porze karmienia. W małym, ciemnym, wąskim korytarzu było brudno jak w kurniku. W spisie lokatorów widniało mnóstwo pustych miejsc. Naprzeciwko spisu lokatorów duża tablica, oparta o ścianę wykładaną sztucznym marmurem, głosiła: „Do wynajęcia pomieszczenie na stoisko tytoniowe. Wiadomość pokój 316”.

Były tu dwie okratowane windy, ale tylko jedna, jak się zdaje czynna, a i to niezbyt przeciążona. Wewnątrz, na drewnianym stolku wymoszczonym workiem, siedział staruszek o zapadłych policzkach i wodnistych oczach. Wyglądał, jakby się stąd nie ruszał od Wojny Domowej, z której w dodatku wyszedł dość poturbowany. Wchodząc do windy powiedziałem

- Ósme — a on pomocował się z drzwiami, rączką dźwigni wprowadził klatkę w ruch i powlekliśmy się chwiejnie w górę. Staruszek dyszał ciężko, jakby dźwigał tę windę na własnym grzbiecie.

Wysiadłem na ósmym piętrze i ruszyłem długim korytarzem, a za moimi plecami staruszek wychylił się z windy i wysmarkał nos palcami w pudło na śmieci.

Biuro Elishy Morningstara mieściło się na tyłach budynku, naprzeciwko wyjścia zapasowego. Dwoje drzwi z łuszczącym się, czarnym napisem na szybach z mrożonego szkła: „Elisha Morningstar. Numizmatyk”. Na sąsiednich było napisane: “Wejście”.

Nacisnąłem klamkę i wszedłem do małego wąskiego pokoiku o dwóch oknach. Stało w nim odrapane biurczko z maszyną do pisania, teraz zamknięta, szereg gablotek ściennych ze zmatowiałymi monetami w ukośnych otworach, a pod monetami poźółkle, wypisane na maszynie etykiety, w głębi przy ścianie, dwa brązowe segregatory; okna bez firanek, a na podłodze brudnoszary dywan, tak wytarty, że nie widać było w nim rozdarć, póki się człowiek o któryś nie zaczepił. W tyle naprzeciw segregatorów, za biurczkiem, znajdowały się drzwi lekko uchylone. Zza nich dochodziły ciche odgłosy krzątania, jakie wywołuje człowiek, który nic nie robi.

Następnie zabrzmiał suchy głos Elishy Morningstara: — Proszę wejść. Proszę.

Przeszedłem przez pokój i stanąłem w drzwiach. Ten pokój był równie mały, ale dużo bardziej zagracony. Wielki, zielony sejf zajmował niemal połowę przestrzeni. Za nim, naprzeciwko wejścia, na ciężkim starym stole mahoniowym, leżało kilka książek w ciemnej oprawie, stare, zmięte czasopisma i mnóstwo kurzu. Uchylone trochę okno w tylnej ścianie nie zdołało usunąć stęchłego zapaszku. Na wieszaku wisiał czarny zatłuszczony kapelusz filcowy. Z boku stały na długich nogach trzy szklane gabloty zawierające monety. W połowie pokoju ciężkie, ciemne biurko z wyklejonym skórą blatem, a na nim różne przybory, jakie zwykle stoją na biurkach, i oprócz tego waga jubilerska pod szklanym kloszem, i dwa wielkie szkła powiększające w niklowych oprawach oraz leżąca obok jedwabnej, podartej i poplamionej atramentem żółtej chusteczki do nosa, lupa jubilerska na oprawnym w skórę bibularzu.

Za biurkiem w fotelu obrotowym siedział starszawy jegomość w ciemnoszarym garniturze o za wysoko umieszczonych klapach i zbyt wielu guzikach z przodu. Siwe, zaniedbane włosy były tak długie, że go łaskotały w uszy. Pośrodku głowy niczym skała nad linią lasów, widniała bladoszara łysina. Z uszu wystawały kępki włosów. Pod czarnymi przenikliwymi oczyma zwisały worki o brązowo-purpurowym odcieniu, poznaczone siecią zmarszczek i żyłek. Policzki miał lśniące, a barwa krótkiego, ostrego nosa świadczyła, że dane mu było w swoim czasie zawisnąć nad niejednym szybkim drinkiem. Kołnierzyk hooverowski, którego żadna przyzwoita pralnia by nie przyjęła, uciskał mu grdykę, a czarny wążutki krawat wystawał u podstawy kołnierzyka małym, mocno zaciśniętym węzłem, jak mysz gotująca się do wyjścia z nory.

- Moja panienska musiała pójść do dentysty. Pan Marlowe, prawda?

Kiwnąłem głową.

- Proszę, niech pan siada. — Machnął szczupłą dłonią w

stronę krzesła po drugiej stronie biurka. Usiadłem.

- Przypuszczam, że ma pan jakiś dokument?

Pokazałem mu legitymację. Kiedy ją oglądał, doszła mnie zza biurka jego woń. Czuć go było czymś jakby suchą stęchlizną.

Odwrócił moją legitymację nazwiskiem do dołu i oparł na niej złożone dłonie. Jego bystre czarne oczka nie pominęły najdrobniejszego szczegółu mojej twarzy.

- No więc, panie Marlowe, czym mogę panu służyć?

- Niech mi pan powie coś o Dublonie Brashera.

- Ach tak — rzekł. — Dublon Brashera. Ciekawa moneta — Uniósł dłonie i złożył palce w wieżę, jak dawnymi czasy zwykł był czynić adwokat rodzinny przystępujący do wyjaśnienia nieco zawilej sprawy.

- Pod niektórymi względami najciekawsza i najcenniejsza ze wszystkich wczesno- amerykańskich monet, o czym pan niewątpliwie wie.

- Wiem o wczesno-amerykańskich monetach tyle, co kot napłakał.

- Ach, tak? — zdziwił się. — Ach, tak? I chce pan, żebym panu powiedział?

- Po to tu przyszedłem.

- Jest to moneta złota, o wartości w przybliżeniu złotej dwudziestodolarówki i wielkości srebrnej półdolarówki. Niemal taka sama. Wykonano ją dla stanu Nowy Jork w 1787 roku. Nie pochodzi z żadnej z mennic. W Ameryce nie było ich do roku 1793, roku powstania pierwszej mennicy w Filadelfii. Dublon Brashera wykonano techniką tłoczenia, a jego twórcą był prywatny złotnik, Efraim Brasher lub Brashear. Wszędzie, gdzie zachowało się jego nazwisko, brzmi ono Brashear, ale nie na tej monecie. Nie wiem, czemu.

Włożyłem papierosa w usta i zapaliłem. Pomyślałem, że może dym tytoniowy zabije ten zapach stęchlizny.

- Jaka jest ta technika tłoczenia?

- Dwie połówki formy ryto w stali. Następnie opracowano w ołów. Umieszczano krążek złota pomiędzy dwiema połówkami formy i ścisano pod prasą. Potem przycinano krawędzie dla uzyskania należytej wagi i wygładzano. Te monety nie miały

zabkowanych krawędzi. W 1787 roku nie było takich maszyn.

- Dostyc powolny proces — zauważyłem.

Skinął białą, zwieńczoną łysiną głową.

- Tak. A ponieważ w owym czasie nie umiano wykonać powierzchniowego hartowania stali bez zniekształceń, sztance wycierały się i musiały być co pewien czas zmieniane. Wynikały z tego lekkie różnice wzoru, widoczne w silnym powiększeniu. Dzisiaj w oparciu o nowoczesne metody mikroskopowych badań można twierdzić, że każda z tych monet była inna. Czy mówię jasno?

- Tak — powiedziałem. — Do pewnego stopnia. Ile tych monet istnieje i ile są warte?

Zburzył uczynioną z palców wieżę, opuścił dłonie i leciutko postukał nimi o blat biurka.

- Nie wiem, ile ich jest. Nikt nie wie. Kilkaset, tysiąc, może więcej. Ale tylko bardzo nieliczne są okazami, które nigdy nie były w obiegu i są w tak zwanym stanie mennicznym. Ich wartość sięga od paru tysięcy wzwyż. Powiedziałbym, że obecnie, po dewaluacji dolara, taki dobrze zachowany okaz

mógłby za pośrednictwem rzetelnego kupca łatwo osiągnąć cenę dziesięciu tysięcy dolarów, a nawet więcej. Musiałby, oczywiście, mieć swoją historię.

- Aha — powiedziałem i wolno wypuściłem dym machając dłonią, żeby nie powiał w stronę staruszka po drugiej stronie biurka. Nie wyglądał na palacza. — A egzemplarz bez historii i niezbyt starannie zachowany... ile?

Wzruszył ramionami.

- W takim wypadku mogłoby zachodzić podejrzenie, że moneta została nabyta nieprawnie. Skradziona lub uzyskana w drodze oszustwa. Oczywiście niekoniecznie. Zdarza się, że takie rzadkie monety pojawiają się w bardzo dziwnych chwilach i okolicznościach. Bywa, że zostają odkrywane w starych kasach pancernych lub w skrytkach biurk starych domów w Nowej Anglii. Przyznaję, może nieczęsto. Ale zdarza się. Wiem o bardzo cennej monecie, która wypadła z wyściełanej końskim włosiem sofy, poddanej renowacji przez

jednego ze sprzedawców antyków. Kanapa ta stała w tym samym miejscu, w tym samym domu w Fall River w Massachusetts dziewięćdziesiąt lat. Nikt nie wie, skąd się tam moneta wzięła. Ale ogólnie biorąc, powstałoby podejrzenie o kradzież. Zwłaszcza w tej części Stanów.

Patrzył na sufit z roztargnieniem. A ja, wcale nie w roztargnieniu, przyglądałem się jego twarzy. Wyglądał na człowieka, który potrafi dochować sekretu... pod warunkiem, że będzie to jego własny sekret.

Powoli skierował wzrok na mnie i powiedział:

- Pięć dolarów.

- He?

- Pięć dolarów, proszę.

- Za co?

- Niech pan nie będzie śmieszny, panie Marlowe. Mógł pan uzyskać te wiadomości w bibliotece publicznej. Zwłaszcza w Rejestrze Fosdyke'a. Pan jednak wolał przyjść do mnie, żebym ja sam panu opowiedział. Żądam za to pięć dolarów.

- A jeśli nie zapłacę?

Odchylił się w tył i zamknął oczy. Leciutki uśmiech zadrgał na jego ustach.

- Zapłaci pan — rzekł.

Zapłaciłem. Wyjąłem z portfela piątkę, wstałem, pochylilem się nad biurkiem i rozłożyłem ją pieczołowicie przed nim. Głaskałem banknot koniuszkami palców jak kociaka.

- Oto pięć dolarów, panie Morningstar — powiedziałem.

Otworzył oczy i spojrzał na banknot. Uśmiechnął się. — A teraz porozmawiajmy o tym Dublonie Brashera, który ktoś panu próbował sprzedać.

Otworzył oczy nieco szerzej.

- Och, czyżby ktoś próbował mi sprzedać Dublon Brashera? Czemuż miały to robić?

- Bo potrzebował pieniędzy — odparłem. — I nie chciałem, aby mu zadawano zbyt wiele pytań. Wiedział albo dowiedział się, że jest pan numizmatykiem, i budynek, w którym się mieści pana biuro, jest rudera, gdzie wszystko może się zdarzyć. Wiedział, że taki starszy człowiek jak pan prawdopodobnie nie

popęlni fałszywego kroku... w trosce o swoje zdrowie.

- To wiedział bardzo wiele — rzekł Elisha Morningstar sucho.

- Tyle, ile musiał, aby załatwić interes. Tak jak my teraz. I nietrudno było mu to odkryć.

Wetknął w ucho mały palec, pogrzebał i wyjął odrobinę woskowiny. Wytarł niedbale palec o marynarkę.

- A pan to wszystko opiera na tym prostym fakcie, że zadzwoniłem do pani Murdock i zapytałem, czy Dublon Brashera jest na sprzedaż?

- Oczywiście. Jej samej przyszło to na myśl. To całkiem zrozumiałe. Jak panu mówiłem przez telefon, powinien był pan wiedzieć, że ta moneta nie jest na sprzedaż. Jeżeli ma pan w tych sprawach jakiegokolwiek rozeznanie... A widzę, że pan ma.

Sklonił się leciuteńko. Nie uśmiechnął się, ale wyglądał na zadowolonego, o ile ktoś w hooverowskim kołnierzyku może wyglądać na zadowolonego.

- Przypuśćmy, że zaproponowano panu kupno tej monety — powiedziałem — w okolicznościach, które pan uznał za podejrzane. Zapragnął pan ją kupić, jeżeli mógł pan ją uzyskać tanio i miał na to pieniądze. Ale chciał pan wpiery wiedzieć, skąd moneta pochodzi. A jeśli nawet pan wiedział na pewno, że z kradzieży, mógł ją pan mimo to kupić, jeżeli sprzedawano dość tanio.

- Mogłem? Doprawdy? — Wyglądał na rozbawionego, ale niespecjalnie.

- Z całą pewnością... jeżeli jest pan rzetelnym antykwariuszem. Zakładam, że pan nim jest. Kupując tę monetę... tanio... ustrzegłby pan właściciela lub jego urząd ubezpieczeniowy od całkowitej straty. Bardzo chętnie zwrócono by panu ten wydatek. Tak się normalnie robi.

- A więc Brasher Murdocka został skradziony — wtrącił nagle.

- Ja tego nie powiedziałem. To tajemnica.

Tym razem o mało nie zaczął dłubać w nosie, ale się opanował. Za to skrzywiwszy się i szarpnąwszy mocno wyrwał sobie włos z nosa. Podniósł go do góry i przyjrzał mu się. Zwróciwszy wzrok na mnie spytał:

- A ile pana pracodawca gotów jest zapłacić za zwrot tej monety?

Pochyliłem się nad biurkiem i posłałem mu nieprzeniknione spojrzenie.

- Okrągły tysiąc. Ile pan zapłacił?

- Bardzo jest pan sprytny, młody człowieku — rzekł, a potem zadarł głowę, szyja mu zadrgała, pierś zaczęła podskakiwać, a z gardła wydobył się dźwięk jak u starego koguta rekonwalescenta, który po długiej chorobie uczy się na nowo pisać. Śmiał się.

Po chwili przestał. Twarz stała się znów układna, otworzył oczy czarne, przenikliwe, bystre.

- Osiemset dolarów — powiedział. — Osiemset dolarów za Dublon Brashera. — Zarechotał.

- Świetnie. Ma pan go przy sobie? Zarabia pan na tym dwie setki. Całkiem nieźle. Szybka transakcja, przyzwoity zarobek i żadnych kłopotów.

- Nie mam go tutaj w biurze — rzekł. — Czy pan uważa mnie za głupca? — Sięgnął do kieszonki kamizelki po stary srebrny zegarek na czarnej dewizce. Spojrzał zezem na jego tarczę.

- Powiedzmy, jutro o jedenastej. Niechaj pan przyjdzie z pieniędzmi. Będę miał tę monetę albo nie, ale jeżeli zachowa się pan jak należy, załatwię to panu.

- To mi odpowiada — powiedziałem i podniosłem się. — Tak czy owak muszę zdobyć pieniądze.

- Niech będą w starych banknotach — rzekł niemal marząco. — Mogą być stare dwudziestki. Ale parę pięćdziesiątek nie zawadzi.

Uśmiechnąłem się i ruszyłem ku drzwiom. W połowie drogi zawróciłem, podszedłem znów do biurka i opierając się na nim rękami i pochylając twarz nad starym, zapytałem:

- Jak ona wyglądała?

Zmieszał się.

- Dziewczyna, która sprzedała panu monetę?

Zmieszał się jeszcze bardziej.

- Dobra — powiedziałem. — Więc to nie była kobieta. Miała pomocnika. Mężczyznę. Jak on wyglądał?

Ściągnął usta i znów ułożył dłonie w więzę.

- Był w średnim wieku, mocno zbudowany, wzrost około metr siedemdziesiąt, wagi mniej więcej osiemdziesiąt kilo. Mówił, że nazywa się Smith. Był w niebieskim garniturze i czarnych półbutach, zielonym krawacie i koszuli, bez kapelusza. W małej kieszonce marynarki chusteczka z brązowym brzeżkiem. Włosy kasztanowe, lekko siwiejące. Na czubku głowy łysina wielkości monety dolarowej i blizna na policzku. Zdaje się lewym. Tak, na lewym.

- Nieźle — zauważyłem. — A miał dziurę w prawej skarpetce?

- Zapomniałem zdjąć mu but i sprawdzić.

- To duże zaniedbanie.

Nie powiedział nic. Patrzyliśmy na siebie na wpół z ciekawością, na wpół wrogo, jak nowi sąsiedzi. Potem nagle znów zaczął się śmiać. Pięciodolarówka, którą mu dałem, leżała wciąż obok niego. Wyciągnąłem szybko rękę i zabrałem ją.

- Teraz, kiedy zaczęliśmy mówić o tysiącach — powiedziałem — nie będzie już panu potrzebna.

Natychmiast przestał się śmiać. Potem wzruszył ramionami.

- Jutro o jedenastej, panie Marlowe. Tylko bez żadnych sztuczek. Niech pan będzie pewny, że potrafię się odpowiednio zabezpieczyć.

- Mam nadzieję — odparłem — bo igra pan w tym wypadku z dynamitem.

Zostawiłem go i stąpając głośno przeszedłem przez pusty pokój biura. Otworzyłem drzwi i

zamknąłem pozostając wewnątrz. Teraz moje kroki powinny by zabrzmieć na korytarzu, ale okienko nad drzwiami było zamknięte, a moje buty na gumie nie robiły wielkiego hałasu. Miałem nadzieję, że będzie o tym pamiętał. Przeszedłem po wytartym dywanie i wcisnąłem się między skrzydło drzwi a małe zamknięte biurczko do pisania na maszynie. Dziecinna sztuczka, ale czasami skuteczna, zwłaszcza po takiej rozmowie pełnej spraw światowych i chytrych podstępów. Jak zwód w piłce nożnej. A gdyby tym razem nie poskutkowała, spojrzelibyśmy tylko jeszcze raz na siebie wzajem z drwiną.

Ale poskutkowała. Przez chwilę nic się nie działo, tylko słychać było wycieranie nosa. Potem staruszek znowu zaśmiał się swoim śmiechem chorego koguta. Następnie chrząknął, zaskrzypiało krzesło obrotowe, rozległy się kroki.

Zza krawędzi drzwi wysunęła się siwa głowa. Zamarła w tej pozycji nieruchomo i ja zamarłem w bezruchu. Potem głowa się cofnęła, zza krawędzi ukazały się koniuszki czterech palców z brudnymi paznokciami i pociągnęły. Drzwi zamknęły się, trzasnęła klamka. Zacząłem oddychać i przyłożyłem ucho do drewnianej płyty.

Skrzypnęło znowu krzesło obrotowe. Rozległ się terkot obracanej tarczy telefonu. Sięgnąłem szybko po słuchawkę aparatu na biurczku do pisania na maszynie i przyłożyłem ją do ucha. Na drugim końcu linii zabrzmiał dzwonek wywoławczy. Zadzwoił sześć razy. Potem odezwał się męski głos: — Taaak?

- Florence Apartments?

- Tak.

- Chciałem rozmawiać z panem Ansonem spod numeru dwieście cztery.

- Chwileczkę. Zobaczę, czy jest.

Czekaliśmy obaj z panem Morningstarem. Ze słuchawki dobiegał hałas, głośne dźwięki radioodbiornika, który transmitował mecz baseballowy. Odbiornik nie stał blisko telefonu ale robił dużo hałasu. Potem usłyszałem głuchy odgłos zbliżających się kroków, ostry grzechot podnoszonej słuchawki i głos oznajmił:

- Nie ma go. Czy coś mu przekazać?

- Zadzwonię później — rzekł pan Morningstar.

Szybko odłożyłem słuchawkę, skoczyłem ku drzwiom wyjściowym i otworzyłem je cichutko, bezszelestnie, a następnie w podobny sposób zamknąłem, wstrzymując w ostatniej chwili ich ciężar tak, że trzask zamka mógł być słyszalny zaledwie o dwa kroki.

Szedłem korytarzem oddychając głęboko i z wysiłkiem, zasłuchany we własny oddech. Nacisnąłem guzik windy. Potem wyjąłem wizytówkę, którą pan George Anson Philips

dał mi w hallu hotelu Metropol. Nawet na nią nie spojrzalem. Nie musiałem patrzeć, by sobie przypomnieć, że napisany na niej adres brzmiał: Florence Apartments nr 204, Court Street 128. Stałem tylko i pstrykałem w nią palcami, podczas gdy stara winda dźwigała się mozolnie w górę wyteżając wszystkie siły, jak wyładowana żwirem ciężarówka na ostrym zakręcie. Była trzecia pięćdziesiąt.

8

Bunker Hill to dzielnica stara, dzielnica wyrzutków, nędzna, złodziejska. Niegdyś, bardzo dawno temu, była elegancką dzielnicą rezydencjonalną i jeszcze do tej pory stoi w niej sporo rezydencji o ostrych, gotyckich zarysach, obszernych werandach, ścianach pokrytych zaokrąglonym u dołu gontem i narożnych oknach wykuszowych z wrzecionowatymi wieżyczkami. Teraz ich parkiety są porysowane i już nie lśnią, a czas i tania politura kładziona na całych pokoleniach brudu pociemniły szerokie okazałe schody. W wysoko sklepionych pokojach stroskane gospodynie prowadzą utarczki z wciąż zmieniającymi się lokatorami. Na rozległych, chłodnych werandach od frontu siedzą z uniesionymi ku słońcu nogami w podartych butach starcy o twarzach jak przegrane bitwy i patrzą tępo przed siebie.

W tych starych domach i wokół nich mieszczą się restauracje upstrzone przez muchy, włoskie stragany z owocami, liche domy czynszowe i sklepiki ze słodyczami, gdzie można też kupić jeszcze większe paskudztwa niż tutejsze słodycze. Są również zaszczurzone hoteliki, gdzie do rejestru gości wpisują się tylko osobnicy o nazwisku Smith i Jones, a portier nocny jest na wpół wykidajłą, na wpół stręczycielem.

Z tych domów czynszowych wywodzą się kobiety, których twarze powinny tryskać młodością, a przypominają zwietrzałe piwo; mężczyźni we wciśniętych na oczy kapeluszach znad osłaniającej płomyk zapalki dłoni obrzucają byстрыm spojrzeniem ulicę; zmęczeni intelektualiści z chronicznym kaszlem i bez konta w banku; cwani tajniacy o kamiennych

twarzach i nieugiętym spojrzeniu; kokainiści i handlarze kokainą; różni niepozorni ludzie, a czasem nawet tacy, którzy naprawdę pracują. Ci jednak wychodzą z domów wcześniej, kiedy szerokie splekane chodniki są puste i leży na nich rosa.

Dotarłem tam jeszcze przed czwartą trzydzieści. Zaparkowałem przy końcu ulicy, gdzie kolej linowa pnie się mozolnie z Hill Street na skarpę żółtej glinki, i poszedłem wzdłuż Court Street do Florence Apartments. Był to budynek z ciemnej cegły, dwupiętrowy, z oknami parteru na wysokości chodnika, zabezpieczonymi siatką i zasłoniętymi firankami. Na szkle drzwi pozostało dość nie wytartych jeszcze liter nazwy, by się jej można było domyślić. Pchnąłem je i zszedłem po trzech okutych mosiądzem schodkach do hallu, który był tak wąski, że mogłem dosięgnąć jednocześnie obu jego ścian, nawet nie wyciągając specjalnie rąk. Ciemne drzwi z numerami wymalowanymi ciemną farbą. U stóp schodów wnęka z automatem telefonicznym. Wywieszka: Dozorca mieszk. 106. W końcu hallu drzwi siatkowe, a w zaułku za nimi tańczący w słońcu rój much nad czterema poobijanymi pojemnikami na śmieci. Wszedłem po schodach na górę. Radio, które słyszałem przez telefon, wciąż transmitowało hałaśliwie mecz baseballowy. Odczytując numery mieszkań, znalazłem się w części frontowej domu. Mieszkanie 204 było po prawej stronie, a mecz baseballowy dokładnie naprzeciwko, po drugiej stronie korytarza. Zapukałem, nikt się nie odezwał, więc zapukałem głośniejsze. Za moimi plecami trzech graczy drużyny Dekowników spudłowało i zostało usuniętych z boiska przy akompaniamencie syntetycznego ryku tłumów. Zapukałem po raz trzeci i szukając w kieszeni klucza, który mi dał George Anson Phillips, wyjrzałem przez okno w korytarzu.

Po drugiej stronie ulicy mieścił się włoski zakład pogrzebowy, cichy, schludny, powściągliwy, z białą malowaną cegły. Salony Pogrzebowe Pietra Palermy, głosił pełen prostoty zielony szyld neonowy na fasadzie domu. Z drzwi zakładu wyszedł wysoki mężczyzna w ciemnym garniturze i oparł się o ścianę. Był bardzo przystojny, smagły i miał szesane w tył

stalowo-siwe włosy. Wyjął z kieszeni papierośnicę, która z tej odległości wyglądała na srebrną lub platynową, zdobiona czarną emalią, otworzył ją niespiesznie dwoma długimi brązowymi palcami i wyjął papierosa ze złotym ustnikiem. Schował papierośnicę i zapalił papierosa zapalniczką, która zdawała się stanowić komplet z papierośnicą. Następnie schował do kieszeni zapalniczkę, założył ręce i stał tak, patrząc przed siebie obojętnie na wpół zmrużonymi oczyma. Z koniuszka papierosa tkwiącego nieruchomo w jego ustach wznosiła się prościutko w górę smużka dymu, cieniutka jak z dogasającego ogniska o brzasku.

W transmitowanym przez radio meczu baseballowym nowy gracz został wyeliminowany lub zarobił nowy punkt. Przestałem przyglądać się wysokiemu Włochowi, włożyłem klucz do zamka mieszkania nr 204 i wszedłem do środka. Kwadratowy pokój, brązowy dywan na podłodze i niewiele mebli, nadto niezbyt kuszących. Na wprost drzwi było rozkładane łóżko z jak zwykle zniekształcającym lustrem i gdy wchodziłem, wyglądałem w nim jak zawodowy przestępca po sporej dawce marihuany. Był jeszcze pleciony bujak oraz raczej twardy na oko fotel. Na stole pod oknem stała lampa z papierowym abażurem. Po obu stronach łóżka mieściły się drzwi.

Drzwi z lewej strony wiodły do kuchenki z brązowym zlewem ze sztucznego marmuru i piecykiem z trzema palnikami. Na marmurowym blacie stały resztki śniadania — fusy na dnie filiżanki, przypalona skórka chleba, okruszyny, żółta plama roztopionego masła na brzegu talerzyka, brudny nóż i kamionkowy dzbanek do kawy pachnący jak worki w nagrzanym stodole.

Wróciłem do pokoju, obszedłem rozkładane łóżko i otworzyłem drugie drzwi. Prowadziły do niewielkiego korytarzyka z odkrytą wnęką na ubrania i wbudowaną w ścianę komódką z lustrem. Na komódce leżał grzebień i czarna szczotka, na której zauważyłem kilka blond włosów. Stała tam też puszcza talku, mała latarka elektryczna z rozbitym szkłem, blok papieru do pisania, pióro i kałamarz, bibularz, papierosy i

zapalki, na szklanej popielniczce leżało kilka niedopałków. W szufladach komódki znalazłem skarpetki, bieliznę i chustki do nosa, które zmieściłyby się z powodzeniem w jednej walizce. Na wieszaku wisiał ciemnoszary garnitur, już nie nowy, ale jeszcze przyzwoity, a pod nim, na podłodze, stała para zakurzonych czarnych butów.

Pchnąłem drzwi łazienki. Otworzyły się ledwie na stopę i dalej nie chciały. Nozdrza mi drgnęły i czułem, że usta mi tężeją, kiedy zza drzwi doszła mnie ostra, gryząca woń. Podparłem drzwi ramieniem. Ustąpiły nieco, ale zaraz się cofnęły, jakby je ktoś przytrzymał z drugiej strony. Wsunąłem głowę w szparę.

Łazienka była dla niego za krótka, leżał więc z podciągniętymi i opadłymi bezwładnie na boki kolanami, a głowę miał przyciśniętą do okładziny ściany, nie wspartą na niej, ale przyciśniętą mocno. Brązowe ubranie było nieco zmięte, a ciemne okulary sterczały z kieszonki marynarki pod niebezpiecznym kątem. Jakby to teraz miało jakiegokolwiek znaczenie. Prawa ręka leżała w poprzek brzucha; lewa, odwrócona dłońią do góry, z lekko zgiętymi palcami, była wyciągnięta na podłodze. Z prawej strony głowy widniała na blond włosach zakrzepła krew. Otwarte usta były pełne lśniącej karmazynowej krwi.

Drzwi blokowała jego noga. Nacisnąłem je z całej siły i wsunąłem się do środka. Schyliłem się, żeby przyłożyć dwa palce do jego szyi w miejscu, gdzie przechodzi tętnica główna. Nie wyczułem nawet drgnienia. Nic a nic. Skóra była jak lód, a nie mogła być przecież lodowata. Tylko tak mi się zdawało. Wyprostowałem się, oparłem plecami o drzwi, zacisnąłem ręce w kieszeni w pięść i wdychałem kordytowe opary. Mecz baseballowy trwał nadal, ale zza dwojga zamkniętych drzwi wydawał się odległy.

Stałem i spoglądałem na niego. Nic w tym nie ma, Marlowe, nic a nic. Nic nie poradzisz, nic. Nawet go nie znałeś. Zmykaj, zmykaj prędko.

Odsunąłem się od drzwi, otworzyłem je i wyszedłem przez korytarz do pokoju. Z lustra spojrzała na mnie obca twarz.

Napięta, łypiąca okiem. Odwróciłem się szybko, wyjąłem otrzymany od George'a Ansona Philipsa płaski klucz, potarłem go wilgotnymi dłońmi i położyłem na stoliku koło lampy.

Przetarłem klamkę otwierając drzwi i drugą, kiedy je zamykałem. W pierwszej połowie ósmej rozgrywki Dekownicy prowadzili siedem do trzech. Kobieta, która wydawała się być już pijana, śpiewała „Frankie i Johnny” w wersji podwórzowej. Jej głosowi nawet alkohol nie pomógł. Jakiś głęboki męski głos ryknął na nią, żeby zamilkła, a ona śpiewała dalej i zaraz rozległo się kilka szybkich kroków, plaśnięcie i krótki skowyt. Śpiew urwał się i transmisja meczu odbywała się już bez zakłóceń.

Włożyłem w usta papierosa, zapaliłem, ruszyłem w powrotną drogę schodami i zatrzymałem się w półmroku na rogu korytarza przed wywieszką: Dozorca mieszk. 106. Głupi byłem, że w ogóle na nią spojrzałem. Ale wpatrywałem się długą chwilę, gryząc zębami ustnik papierosa. Zawróciłem i poszedłem korytarzem na tył domu. Mała emaliowana tabliczka na drzwiach głosiła: Dozorca. Zapukałem.

9

Ktoś odsunął krzesło, rozległo się człapanie, drzwi się otworzyły.

- Pan dozorca?

- Taaa... — Ten sam głos, który słyszałem przez telefon, kiedy rozmawiał z Elishą Morningstarem.

Trzymał w ręku brudną szklanę. Wyglądała, jakby w niej przedtem hodowano złotą rybkę. Był wysoki i chudy i miał krótkie włosy koloru marchwi. Wąską, długą twarz cechowała podła chytryść. Spod pomarańczowych brwi spoglądały zielonkawe oczy. Uszy miał tak wielkie, że mogłyby z powodzeniem łopotać przy większym wietrze. Nos długi, taki co to węży za nie swoimi sprawami. Cała twarz była twarzą wyszkoloną, twarzą umiejącą dotrzymać sekretu, twarzą, która bez wysiłku potrafi zachować spokój nieboszczyka w kostnicy.

Był bez marynarki, miał rozpiętą kamizelkę, dewizkę z plecionego włosia i okrągłe niebieskie gumki z metalowymi spinkami powyżej łokci.

- Szukam pana Ansona.

- Dwieście cztery.

- Nie ma go.

- To co mam zrobić... Znieść jajko?

- Dobry dowcip — powiedziałem. — Pan tak zawsze sypie dowcipami, czy dziś pana urodziny?

- Zjeżdżaj pan — powiedział. — Spływaj! — Zamykał drzwi, ale jeszcze uchylił je, żeby dodać: — Przewietrz się, wyrwij. Zmiataj. — Wypowiedziawszy się do reszty, chciał ponownie zamknąć drzwi.

Zaparłem się o nie ramieniem. Nacisnął całym ciężarem ciała z drugiej strony. Nasze twarze zbliżyły się do siebie.

- Pięć dolców — powiedziałem.

Wstrząsnęło nim to. Puścił drzwi tak nagle, że musiałem dać szybki krok do przodu, żeby go nie wyrznąć głową w zęby.

- Wejdz pan — powiedział.

Pokoik z wnęką na łóżko, wszystko identyczne, włącznie z abazurem z fryzowanym papieru i szklaną popielniczką. Tylko ten pokój był pomalowany na kolor żółty. Brakowało kilku czarnych pajaków namalowanych na tych żółtych ścianach, żeby się w człowieku przewróciła żółć.

- Siadaj pan — rzekł zamykając drzwi.

Usiadłem. Patrzyliśmy na siebie czystym, niewinnym wzrokiem sprzedawców używanych samochodów.

- Piwa? — spytał.

- Proszę.

Otworzył dwie puszki. Napenił piwem brudną szklanekę, którą trzymał w ręku, i sięgnął po drugą, podobną. Powiedziałem, że wolę pić z puszki. Podał mi puszkę.

- Dziesiątka — rzekł.

Dałem mu dziesięć centów. Wsunął je do kieszonki kamizelki i dalej mi się przyglądał. Przysunął sobie krzesło i usiadł z szeroko rozstawionymi sterczącymi w górę kolanami i zwieszoną między nimi ręką.

- Wcale nie potrzebuję tych pięciu dolarów.
- To świetnie — powiedziałem. — Bo wcale nie zamierzałem ich dawać.

- Mądrała. O co chodzi? To przyzwoity dom. Tu nie miejsce na żadne podejrzone sprawki.

- I cichy dom — zauważyłem. — Na górze można by nawet usłyszeć krzyk orła.

Uśmiechnął się szeroko, od ucha do ucha.

- Mnie nie tak łatwo rozweselić — rzekł.

- Tak jak królową Wiktorię.

- Nie rozumiem.

- Nie oczekuję od pana cudów — powiedziałem. — Taka rozmowa bez sensu podziałała na mnie jak kubeł zimnej wody, wprawiając w bojowy nastrój.

Wyjąłem z portfela wizytówkę. Nie była to moja wizytówka. Widniało na niej: James B. Pollock. Towarzystwo Poufnych Ubezpieczeń, Agent Terenowy. Usiłowałem sobie przypomnieć, jak pan James B. Pollock wygląda i gdzie go poznałem. Ale nie mogłem. Podałem wizytówkę ryzemu. Przeczytał ją i podrapał się jej różkiem w koniec nosa.

- Trefny facet? — spytał przykleiwszy do mnie spojrzenie swych zielonych oczu.

- Bizuteria — odparłem i machnąłem ręką.

Zastanowił się. A ja tymczasem usiłowałem rozstrzygnąć, czy go to w ogóle zmartwiło. Nie wyglądało na to.

- Trafiają nam się tacy od czasu do czasu — przyznał. — Nie ma na to rady. Ale nie wygląda na takiego. Wydaje się spokojny.

- Może jestem na złym tropie — powiedziałem.

Opisałem mu George'a Ansona Phillipsa, George'a Ansona Phillipsa żywego, w brązowym garniturze i ciemnych okularach, w słomkowym kapeluszu. Zastanawiałem się, co mogło się stać z tym kapeluszem. Nie było go na górze. Zapewne pozbył się kapelusza sądząc, że zbyt rzuca się w oczy. Jego blond włosy oddawały mu prawie, choć niezupełnie, taką samą przysługę. — Czy to byłby ten?

Ryzy nie spieszył się z odpowiedzią. Wreszcie kiwnął, że tak,

przyglądając mi się bacznie zielonymi oczyma, a chudą twardą ręką trzymał wizytówkę przy ustach i przesuwiał nią po zębach jak kijem po sztachetach.

- Nie wyglądał na kanciarza — rzekł. — Ale, do diabła, nigdy nie można być pewnym. Mieszka dopiero od miesiąca. Gdyby wyglądał na trefnego, nie pomieszkałby tu ani chwili.

Musiałem dobrze się wysilić, żeby nie roześmiać mu się w twarz.

- Chodźmy przeszukać mieszkanie, póki go nie ma.

Potrząsnął głową,

- Pan Palermo byłby zły.

- Palermo?

- Właściciel. Po drugiej stronie ulicy. Co ma salony pogrzebowe. Jest właścicielem tego budynku i mnóstwa innych. Prawie cała dzielnica do niego należy, pan rozumie. — Mrugnął do mnie okiem i skrzywił usta. — Zdobywa głosy. Taki to nie da sobą pomiatać.

- Dobra, więc póki on sobie zdobywa te głosy czy zabawia się z nieboszczykiem, czy co tam w tej chwili robi, chodźmy przeszukać mieszkanie.

- Oj, bo się pogniewam — uciął ryży.

- To mi dopiero będzie zmartwienie — powiedziałem. — Chodźmy przeszukać mieszkanie. — Cisnąłem pustą puszkę po piwie do kosza na śmieci i patrzyłem, jak odbija się i toczy z powrotem przez pół pokoju.

Ryży zerwał się z krzesła, stanął na szeroko rozstawionych nogach, potarł jedną dłoń o drugą i zagryzł dolną wargę.

- Ktoś mówił coś o piątce.

- To było dawno — powiedziałem. — Rozmyśliłem się. Chodźmy przeszukać mieszkanie.

- Powtórz pan to jeszcze... — jego prawa ręka sięgnęła do tylnej kieszeni.

- Pan Palermo byłby zły, gdyby się dowiedział, że pan chwytą za rewolwer.

- Do diabła z panem Palermo? — warknął nagle głosem pełnym furii i twarz mu pociemniała od napływu krwi.

- Pan Palermo rad się dowie, co pan o nim sądzi.

- Słuchaj pan — rzekł ryży bardzo powoli i opuściwszy rękę wzdłuż boku i zgiąwszy się w pasie przysunął do mnie twarz, jak mógł najbliżej. — Słuchaj pan. Usiadłem tu sobie spokojnie i wypilem jedno czy dwa piwa. Może trzy. A może dziewięć. Czy mi nie wolno? Nikomu nie dokuczałem. Dzień był ładny. Wyglądało, że i wieczór będzie ładny... A tu naraz pan. — Machnął ręką gwałtownie.

- Chodźmy przeszukać mieszkanie — powtórzyłem.

Zamachnął się obiema zaciśniętymi pięściami. W końcu roztworzył pięści rozcapierzając palce, jak mógł najszerzej. Nozdrza mu drgały.

- Gdyby nie chodziło o pracę...

Otworzyłem usta.

- Milcz pan! — zawył.

Włożył kapelusz, ale nie wziął marynarki, wyciągnął szufladę, wyjął z niej pęk kluczy, przeszedł koło mnie, otworzył drzwi i stanął w nich dając mi znak ruchem głowy, żebym z nim szedł. Twarz miał niezupełnie jeszcze uspokojoną.

Wyszliśmy na korytarz i wspięliśmy się po schodach na górę. Mecz się skończył i grała teraz muzyka taneczna. Bardzo głośna muzyka. Ryży wybrał jeden z kluczy i włożył go do zamka mieszkania 204. W mieszkaniu po przeciwnej stronie korytarza przez ryk orkiestry przebił się nagle histeryczny wrzask kobiecy.

Ryży wyjął klucz z zamka i wyszczerzył do mnie zęby. Przeszedł na drugą stronę korytarza i załomotał pięścią w drzwi. Musiał w nie długo i mocno łomotać, zanim ktokolwiek zwrócił na to uwagę. Nagle drzwi się otworzyły i wyjrzała z nich ubrana w szkarłatne spodnie i zielony sweter blondynka o ostrych rysach twarzy i mętnych oczach, z których jedno było zapuchnięte, a drugie zdążyło już stęchnąć. Miała również siniec na szyi i trzymała w ręku wysoką szklankę z bursztynowym płynem.

- Uciszcie się, ale to już! — rzekł ryży. — Za głośne ryki. Drugi raz nie będę prosił. Tylko od razu zawołam policję.

Dziewczyna obejrzała się przez ramię i zawołała przekrzykując ryk radia:

- Hej, Del! Ten facet każe nam się uciszyć! Przylejesz mu?

Skrzypnęło krzesło, radio nagle ucichło i za plecami blondynki ukazał się kępny, ciemnowłosy mężczyzna o zawziętych oczach. Mężczyzna jednym ruchem usunął dziewczynę z drogi i spojrzał na nas z groźną miną. Był nie ogolony. Miał na sobie spodnie, półbuty i podkoszulek. Ustawił się w drzwiach, wciągnął ze świstem przez nos powietrze i rzekł:

- Zjeżdżajcie. Właśnie wróciłem z obiadu. Obiad był paskudny i jestem nie w humorze. Niech no mi kto spróbuje podskoczyć. — Był bardzo pijany, ale tak, jak upija się stary praktyk.

- Rób pan, co powiedziałem, panie Hench — rzekł ryży. — Ściszcie radio i skończcie awantury. I to już.

Mężczyzna, do którego zwrócono się per panie Hench, powiedział:

- Słuchaj, ty skwaszona gębo... — i dźwignąwszy nieco prawą nogę uderzył nią mocno o podłogę.

Ale ryży nie czekał, aż mu przydepczą stopę. Jego chude ciało wykonało półobrót, a ciśnięte klucze wyrznięły w podłogę i zadzwoniły o drzwi mieszkania 204. Prawa ręka zakreśliła szeroki łuk i nagle pojawiła się w niej oplataną rzemieniem sprężyna z ciężarkiem.

Hench stęknął: — Eech! — i uczyniwszy gest, jakby chciał nabrać w wielkie włochate garści powietrza, zwinął je w pięści, zamachnął się i trafił w próżnię.

Ryży trzasnął go sprężyną w czubek głowy, a dziewczyna wrzasnęła i płynem, który miała w szklance, chlusnęła prosto w twarz swojego towarzysza. Nie wiem, czy stało się to przez pomyłkę, czy uczyniła tak, bo teraz już czuła się bezpieczna.

Hench z ociekającą twarzą obrócił się, potknął i głęboko pochylony niemal waląc się na nos pomknął na oślep w drugi koniec pokoju. Łóżko było rozłożone i rozmamłane. Hench opadł na jedno kolano i sięgnął ręką pod poduszkę.

- Uwaga... rewolwer— powiedziałem.

- Dam sobie radę i z tym — syknął ryży przez zęby i wsunął prawą rękę, teraz już pustą, pod rozpiętą kamizelkę.

Hench klęczał na obu kolanach. Uniósł kolano, obrócił się i w jego prawym ręku ukazał się krótki czarny pistolet. Hench nie trzymał go za kolbę, pistolet leżał płasko na jego dłoni, a on wpatrywał się weń szeroko otwartymi oczami.

- Rzuć broń! — rzekł ryży napiętym głosem i ruszył w głąb pokoju.

Blondynka skoczyła mu na plecy i owinęła długimi rękami w zielonych rękawach szyję, wrzeszcząc poządliwie. Ryży potknął się, zaklął i pistolet zakołysał mu się w ręku.

- Załatw go, Del! — wrzeszczała. — Zrób go na cacy!

Wsparty jedną ręką o łóżko i jedną stopą o podłogę, wpatrując się w czarny pistolet leżący na dłoni, Hench podniósł się z wolna na nogi i głosem dobywającym się głęboko z krtani wycharczał:

- Co to jest?

Uwolniłem ryżego od nieprzydatnego mu teraz rewolweru, pozostawiając uwolnienie się od blondynki jego własnej przemyślności, i podszedłem do Hencha. Na korytarzu trzasnęły drzwi i jakieś kroki zaczęły zmierzać w naszą stronę.

- Rzuć broń, Hench — powiedziałem.

Podniósł na mnie spojrzenie zakłopotanych ciemnych oczu, które się nagle stały trzeźwe.

- To nie mój rewolwer — rzekł trzymając go wciąż na płask na dłoni. — Mój jest Colt 32... bębenkowiec.

Zabrałem mu pistolet. Nie robił nic, aby mi w tym przeszkodzić. Usiadł na łóżku ze skrzywioną twarzą, w głębokim zamyśleniu rozcierał wolno czubek głowy.

- Gdzie, u licha... — umilkł, potrząsnął głową i skrzywił się z bólu.

Powąchałem lufę pistoletu. Strzelano z niego. Wyjąłem magazynek i przez małe otworki w ścianie policzyłem naboje. Sześć. Dodając jeden w lufie, to razem siedem. Był to pistolet, samopowtarzalny, ośmiostrzałowy, Colt 32, strzelano z niego. Jeśli nie został naładowany ponownie, wystrzelono jeden nabój.

Ryży zdołał zrzucić z grzbietu blondynkę. Cisnął ją na fotel i teraz ocierał zadrapanie na policzku. Zielone oczy błyszczały

mu złowrogo.

- Sprowadź pan policję — powiedziałem. — Z tego pistoletu padł strzał i najwyższy już czas, żebyś się pan dowiedział, że w mieszkaniu naprzeciwko leży trup.

Hench spojrzał na mnie odurzony i cichym, przekonującym tonem rzekł:

- Człowieku, to naprawdę nie jest mój rewolwer.

Blondynka załkała w dość teatralny sposób i jej otwarte usta wykrzywił kabotyński grymas cierpienia. Ryzy wyszedł po cichu z pokoju.

10

- Trafiony miękkim pociskiem z broni średniego kalibru w krtani — rzekł detektyw porucznik Jesse Breeze — Taką broń i takie naboje mamy tutaj. — Podrzucił pistolet w rękę, pistolet, o którym Hench powiedział, że nie jest jego. Pocisk był wystrzelony z dołu i prawdopodobnie utkwił w tylnej części czaszki. Nadal znajduje się wewnątrz głowy. Ten człowiek nie żyje, od około dwóch godzin. Twarz i ręce zimne, ale ciało jeszcze ciepłe. Nie ma zesztywnienia. Przed zabiciem został ogłuszony pałąk. Czy to wam coś mówi, chłopcy i dziewczęta?

Gazeta, na której siedział, zaszeleściła. Zdjął kapelusz i wytarł chustką twarz i niemal zupełnie łysą głowę. Wianuszek jasnych włosów okalających czaszkę pociemniał i zwilgotniał od potu. Włożył z powrotem kapelusz - panamę, ściemniałą od słońca. Niewątpliwie nie kupił go w tym roku ani nawet w zeszłym.

Był to wysoki mężczyzna z dość wyraźnie zaznaczonym brzuchem, ubrany w brązowo- białe półbuty i obwisłe skarpetki, białe spodnie w wąskie czarne paski i rozpiętą przy szyi koszulę, ukazującą rudawe włosy na piersi, oraz błękitną sportową marynarkę, szeroką w barach niemal jak garaż na dwa samochody. Miał chyba około pięćdziesiątki i jedyne, co w nim sugerowało policjanta, to spokojne, baczne, przenikliwe spojrzenie wylupiastych, bladoniebieskich oczu, spojrzenie, które nie zamierzało być szorstkie, ale mogło nie uchodzić za

takowe tylko w odczuciu policjantów. Pod oczyma, u góry policzków i w poprzek grzbietu nosa, ciągnął się szeroki pas piegów jak pole minowe zaznaczone na sztabówce.

Siedzieliśmy w mieszkaniu Hencha i drzwi były zamknięte. Hench drżącymi grubymi pakami wiązał w roztargnieniu krawat. Dziewczyna leżała na łóżku. Włosy miała przewiązane zieloną przepaską, obok niej stała torebka, a u nóg leżało rzucone krótkie futerko z popielic Usta jej były rozchylone, twarz zapadła i wstrząśnięta.

Hench powiedział głucho: —Jeżeli mówicie, że ten facet został zastrzelony z pistoletu, który leżał u mnie pod poduszką, to zgoda. Wygląda na to, że mogło tak być. Ale to nie mój pistolet i nikt mnie nie zmusi, żebym powiedział inaczej.

- Założmy, że nie twój — rzekł Breeze — więc jak to się stało? Ktoś rąbnął twój, a podrzucił, własny. Kiedy to zrobił, jak i jaki był ten twój pistolet?

- Wyszliśmy około wpół do czwartej, żeby coś zjeść w tamtej garkuchni za rogiem — odparł Hench. — Można to sprawdzić. Pewnie zostawiliśmy drzwi nie zamknięte. Trochę popijaliśmy. Musiało tu być dość hałaśliwie. Słuchaliśmy meczu przez radio. Chyba wyłączyliśmy wychodząc. Pamiętasz? — Spojrzał na bladą i milczącą dziewczynę na łóżku.

- Pamiętasz, kochanie?

Dziewczyna nie spojrzała na niego i nie odpowiedziała.

- Zupełnie wykończona — rzekł Hench. — Miałem rewolwer, Colta 32, ten sam kaliber, ale bębenkowiec. Rewolwer, a nie pistolet. Z kawałkiem odłamanej gumowej okładziny na kolbie. Dostałem go cztery lata temu od jednego Żyda, który się nazywa Morris. Pracowaliśmy razem w barze. Nie mam pozwolenia na broń, ale jej nie noszę.

- Jeżeli ktoś pije tak jak wy — powiedział Breeze — i trzyma broń pod poduszką, to prędzej czy później musi kogoś postrzelić. Powinniście o tym wiedzieć.

- Do diabła, nawet nie znaleźliśmy tego faceta — rzekł Hench.

Udało mu się wreszcie zawiązać krawat, chociaż bardzo źle.

Był całkiem trzeźwy i bardzo roztrzęsiony. Wstał, wziął marynarkę z łóżka, włożył i usiadł znowu. Patrzyłem, jak mu drżą palce, kiedy zapalał papierosa. — Nie wiemy, jak się nazywa. Nie wiemy o nim nic. Widziałem go kilka razy na korytarzu, ale nawet się do mnie nie odezwał. To chyba ten sam. Nie jestem pewien nawet tego.

- To ten, który tam mieszkał — wyjaśnił Breeze. — Zobaczmy no, ten mecz to retransmisja studyjna, tak?

- Zaczyna się o trzeciej — powiedział Hench — i trwa do wpół do piątej, a czasem dłużej. Wyszliśmy chyba w drugiej połowie trzeciej gry. Nie było nas około półtorej do dwóch gier. Od dwudziestu do trzydziestu minut. Nie więcej.

- Myślę, że został zastrzelony przed waszym wyjściem — rzekł Breeze — Radio zagłuszyło odgłos strzału z tak bliskiej odległości. Musieliście zapomnieć zamknąć drzwi na klucz. Albo w ogóle zostawiliście otwarte.

- Możliwe — zgodził się Hench ze znużeniem. — Czy ty pamiętasz, kochanie?

Dziewczyna i tym razem nie odpowiedziała ani nie spojrzała na niego.

- Zostawiliście drzwi otwarte albo nie zamknięte na klucz — snuł domysły Breeze — Morderca usłyszał, że wychodzicie. Wszedł do waszego mieszkania, żeby się pozbyć pistoletu, zobaczył rozłożone łóżko, podszedł i wsunął pistolet

pod poduszkę. A wtedy ku swemu zdumieniu znalazł tam inny, który jakby na niego czekał. Wziął go więc z sobą. Otóż, jeżeli chciał się pozbyć swego pistoletu, czemu nie zrobił tego na miejscu zbrodni? Czemu podjął ryzyko wejścia do innego mieszkania, aby to zrobić? Po co tyle zachodu?

Siedziałem w rogu kanapki przy oknie. Wtrąciłem swoje trzy grosze mówiąc:

- A jeżeli zatrzasnął drzwi mieszkania Phillipsa, zanim pomyślał o tym, żeby się pozbyć broni? A potem, już w korytarzu, otrząsnął się z szoku po dokonanej zbrodni i spostrzegł, że trzyma narzędzie zbrodni w ręku? Wówczas zapragnął pozbyć się go jak najszybciej. Więc jeśli drzwi Hencha były otwarte i słyszał oddalające się kroki w

korytarzu...

Breeze popatrzył na mnie przelotnie i mruknął: — Ja wcale nie mówię, że tak nie było. Po prostu zastanawiam się.

Ponownie skierował uwagę na Hencha. — Więc jeśli się okaże, że to z tej broni zabito Ansona, będziemy musieli spróbować odnaleźć twój rewolwer. Rozumiesz, oczywiście?

- Nie ma u was takich mocnych, którzy by mogli mnie zmusić, żebym mówił inaczej.

- Ale zawsze możemy spróbować — odparł Breeze łagodnie. — Pora już ruszać w drogę.

- Wstał, obrócił się i zrzucił zgniecione gazety z krzesła na podłogę. Podeszedł do drzwi, stanął i przyjrzał się dziewczynie leżącej na łóżku.

- Nic ci nie jest, siostró, czy posłać po dozorczynię?

Dziewczyna nie odpowiedziała.

- Muszę się napić — rzekł Hench. — Muszę się koniecznie napić.

- Ale nie w mojej obecności — zastrzegł Breeze i wyszedł.

Hench przeszedł na drugą stronę pokoju, przyłożył butelkę do ust i wydudlił kilka łyków. Opuścił butelkę, popatrzył, ile w niej zostało, i podeszedł do dziewczyny. Poruszył ją za ramię.

- Obudź się i wypij — burknął.

Dziewczyna leżała ze wzrokiem wlepionym w sufit. Nie odpowiedziała mu ani nie okazała, że słyszy.

- Zostaw ją — powiedziałem: — To szok.

Hench dopił resztę, odstawił ostrożnie pustą butelkę i jeszcze raz spojrzął na dziewczynę, a potem odwrócił się do niej plecami i stał tak, patrząc ze zmarszczonymi brwiami w podłogę.

- Jezu, żebym ja lepiej pamiętał — szepnął.

Wrócił Breeze z młodym detektywem ze świeżą buzią i w cywilnym ubraniu.

- To jest porucznik Spangler — rzekł. — On was zawiezie. No co, ruszajcie już chyba?

- Wstawaj, dziecińko. Musimy jechać.

Dziewczyna zwróciła na niego wzrok nie poruszając głową i przyjrzała mu się ospale. Dźwignęła się, podparła ręką,

opuściła nogi na podłogę i wstała tupnąwszy prawą nogą, jakby jej zdrętwiała.

- Przykre to, dziecko... ale wiesz, jak jest — rzekł Hench.

Dziewczyna przyłożyła dłoń do ust i ścisnęła zębami knykięc małego palca patrząc tępo na swego towarzysza. Nagle odwinęła się i trzasnęła go z całej siły w twarz. Potem nieomal wybiegła za drzwi.

Hench przez długi czas stał nieruchomo. Z zewnątrz dobiegały pomieszane odgłosy rozmowy i hałas samochodów na ulicy. Hench wzruszył ramionami, rozprostował potężne barki i obrzucił powolnym spojrzeniem pokój, jakby miał go już nigdy nie zobaczyć, a w każdym razie nieprędko. Następnie wyszedł, mijając po drodze młodego detektywa ze świeżą buzią.

Detektyw wyszedł za nim. Drzwi się zamknęły. Pomeszane hałasy z ulicy nieco ucichły, siedzieliśmy obaj z Breeze'em patrząc na siebie ponuro.

11

Po chwili Breeze znużył się patrzeniem na mnie i wygrzebał z kieszeni cygaro. Rozerwał nożykiem celofanową opaskę, przyciął równiutko koniuszek cygara i przypalił je ostrożnie obracając w płomieniu zapalki, którą potem odsunął na bok, i patrząc w zamyśleniu przed siebie pociągnął kilka razy, jakby chciał się upewnić, czy cygaro pali się dokładnie tak, jak pragnął. Następnie bardzo powolnym ruchem zgasił zapalkę i położył ją na parapecie otwartego okna. Później znowu patrzył na mnie.

- Ty i ja — powiedział — będziemy żyć w zgodzie.

- To świetnie.

- Masz wątpliwości — rzekł. — Ale będziemy. Nie dlatego, że nagle przypadłeś mi do serca. Tylko dlatego, że ja mam taką metodę. Jasność. Rozsądek. Spokój. Nie tak, jak z tą damulką. Ona jest z tych, co robią wszystko, żeby napytać sobie biedy, a jak coś się stanie, winią za to pierwszego z brzegu faceta, w którego mogą wbić paznokcie.

- On jej nabił parę guzów — zaznaczyłem. — A od tego

chyba jej miłość do niego nie wzrosła.

- Widzę — rzekł Breeze — że znasz się na damulkach.

- To, że się na nich nie znam, pomaga mi w pracy — odparłem. — Nie mam uprzedzeń,

Skinął głową i przyjrzał się koniuszkowi cygara. Wyjął z kieszeni karteczkę i odczytał z niej:

- Delmar B. Hench, lat 45, barman, nie zatrudniony. Maybelle Masters, lat 26, tancerka. To wszystko, co o nich wiem. Mam przeczucie, że niewiele więcej będę się mógł dowiedzieć.

- Uważasz, że to nie on zabił Ansona? — spytałem.

Breeze spojrzał na mnie z niechęcią.

- Człowieku, dopiero co przyszedłem. — Wyjął z kieszeni wizytówkę i przeczytał: — „James B. Pollock, Towarzystwo Poufnych Ubezpieczeń, Agent Terenowy”. Co to za pomysł?

- W takiej dzielnicy — powiedziałem — posługiwanie się własnym nazwiskiem nie należy do dobrego tonu. Anson też tego nie robił.

- A co w tej dzielnicy jest złego?

- Praktycznie biorąc wszystko — odparłem.

- Chciałbym się dowiedzieć — rzekł Breeze — co ci jest wiadome o zabitym?

- Już mówiłem.

- Powiedz jeszcze raz. Ludzie mówią mi tyle rzeczy, że mi się wszystko miesza.

- Wiem to, co jest na wizytówce: że się nazywa George Anson Phillips, że się podawał za prywatnego detektywa. Stał pod moim biurem, kiedy szedłem na obiad. Śledził mnie do śródmieścia, do hallu hotelu Metropol. Zwabiłem go tam. Zagadnąłem go i wtedy przyznał, że mnie śledził. Powiedział, że chciał się przekonać, czy jestem dość bystry, żeby warto było ze mną ubić interes. Bujda na resorach, oczywiście. Prawdopodobnie nie mógł się zdecydować, co zrobić, i czekał, aż los za niego rozstrzygnie. Zlecono mu robotę, powiedział, co do której powziął pewne podejrzenia i chciał kogoś do współpracy, pewnie takiego, który miał więcej od niego doświadczenia, jeżeli on sam w ogóle miał jakiegokolwiek. A nie

wyglądało na to, by miał.

- I wybrał ciebie tylko dlatego, że sześć lat temu brałeś udział w jakiejś sprawie w Ventura, gdzie on był zastępcą szeryfa?

- Taka jest moja wersja — powiedziałem.

- Ale nie musisz się przy niej upierać — rzekł Breeze spokojnie. — Zawsze możesz przedstawić lepszą.

- Ta jest dosyć dobra — odparłem. — To znaczy dostatecznie zła, aby była prawdziwa.

Pokiwał wielką, ciężką głową.

- Co sądzisz o tym wszystkim? — spytał.

- Badaliście adres biurowy Phillipsa?

Pokręcił głową przecząco.

- Moim zdaniem dowiedzie się, że go zaangażowano, ponieważ był naiwny. Zaangażowano go, aby zamieszkał tu pod nie swoim nazwiskiem i zrobił coś, co mu się później przestało podobać. Przestraszył się. Potrzebował przyjaciela, pomocy. Fakt, że wybrał właśnie mnie, w dodatku wiedząc o mnie tak mało świadczy, że nie znał wielu ludzi z branży.

Breeze wyjął chustkę i znów wytarł sobie łysinę i twarz.

- Ale to nic nie mówi, czemu laził za tobą jak zagubione szczenię, zamiast zapukać do drzwi twojego biura i wejść.

- Nie — przyznałem. — Nie mówi.

- Potrafisz to wytłumaczyć?

- Nie. Nie potrafię.

- A w jaki sposób próbowałbyś to tłumaczyć?

- Już mówiłem. Jest to jedyne, co mi przychodzi na myśl. Nie mógł się zdecydować, czy porozmawiać ze mną, czy nie. Cekał, aż los za niego rozstrzygnie. I rozstrzygnął przez to, że go zagadnąłem.

- To bardzo proste wytłumaczenie. Tak proste, że aż podejrzane — rzekł Breeze.

- Możliwe.

- I w wyniku krótkiej wymiany zdań w hallu hotelowym ten zupełnie obcy ci facet zaprasza cię do mieszkania, a nawet daje klucz. Bo chce z tobą porozmawiać.

- Tak.

- Czemu nie mogliście porozmawiać od razu?

- Bo byłem umówiony.

- Służbowo?

Kiwnąłem głową.

- Rozumiem. Co to za sprawa?

Pokręciłem tylko głową.

- Tu idzie o morderstwo — rzeki Breeze. — Będziesz musiał powiedzieć.

Znowu pokręciłem głową. Poczzerwiał lekko.

- Słuchaj — powiedział z napięciem — musisz.

- Przykro mi, Breeze — odparłem. — Ale w obecnym stanie rzeczy nie jestem o tym przekonany.

- Wiesz, oczywiście, że mogę cię wsadzić za kratki jako istotnego dla sprawy świadka — rzekł od niechcenia.

- Na jakiej podstawie?

- Na takiej, że jesteś tym, który znalazł ciało, podałeś dozorczy fałszywe nazwisko i nie przedstawiłeś w sposób zadowalający swoich związków z zabitym.

- Chcesz to zrobić? — spytałem.

Uśmiechnął się ponuro.

- Masz adwokata?

- Znam kilku. Ale nie nawiązałem z nimi trwałej współpracy.

- Ilu komisarzy policji znasz osobiście?

- Żadnego. To znaczy, rozmawiałem z kilkoma, ale mogą mnie nie pamiętać.

- Ale masz chody w zarządzie miejskim albo czymś takim?

- To mi o nich powiedz — odparłem. — Chętnie się dowiem.

- Słuchaj, bracie — rzekł z powagą — musisz gdzieś mieć przyjaciół. Na pewno masz.

- Mam dobrego przyjaciela w urzędzie szeryfa, ale wolałbym go w to nie mieszać.

Uniósł brwi.

- Dlaczego? Niewykluczone, że będzie ci potrzebny. Słowo od policjanta, o którym wiemy, że jest w porządku, może dużo zdziałać.

- To mój bliski przyjaciel — odparłem. — Nie chcę się

drapać po jego grzbiecie. Jeśli popadnę w tarapaty, to wcale mu się tym nie przysłużę.

- A w Urzędzie do Spraw Kryminalnych?

- Znam Randalla — powiedziałem. — Jeżeli jeszcze tam pracuje. Miałem z nim trochę do czynienia w związku z jedną sprawą. Ale on nie pała do mnie zbyt wielką sympatią.

Breeze westchnął i poruszył nogami wywołując szelest gazet, które zrzucił z krzesła.

- Szczerze mówisz... a może po prostu starasz się być sprytny? No, co do tego, że nie znasz żadnych ważniaków?

- Mówię szczerze — odrzekłem. — Ale chyba przez to samo wykazuję spryt.

- To żaden spryt, jeśli mówisz o tym wprost.

- Ja jestem innego zdania.

Ujął w wielką, piegowatą dłoń dolną część twarzy i ścisnął. Gdy odjął dłoń, na policzkach zostały krągłe czerwone ślady po palcach. Patrzyłem, jak ślady znikają.

- Czego tu sterczysz, zamiast iść do domu i dać człowiekowi popracować? — zapytał gniewnie.

Wstałem, kiwnąłem mu głową i ruszyłem ku drzwiom.

- Daj mi swój domowy adres — rzucił jeszcze za mną.

Powiedziałem, gdzie mieszkam. Zapisał sobie.

- Do zobaczenia — rzeki pośpiesznie. — Nie wyjeżdżaj z miasta. Będzie nam potrzebne twoje oświadczenie... może jeszcze dziś wieczorem.

Wyszedłem. Na podeście stali dwaj mundurowi. Drzwi po drugiej stronie korytarza były otwarte i w mieszkaniu krzątał się specjalista od daktyloskopii. Na dole, w hallu, zobaczyłem jeszcze dwóch policjantów. Stali przy obu wejściach. Nie zauważyłem nigdzie ryżego dozorca. Wyszedłem frontowymi drzwiami. Sprzed chodnika ruszyła karetka pogotowia. Po obu stronach ulicy stały grupki ludzi, ale nie aż takie, jakie by się zgromadziły w innych dzielnicach.

Ruszyłem chodnikiem. Jakiś człowiek chwycił mnie za ramię i zapytał;

- Koleś, kogo załatwili?

Strzasnąłem jego rękę i nawet nie spojrzawszy na niego

poszedłem bez słowa do miejsca, gdzie zaparkowałem samochód.

12

Była za kwadrans siódma, kiedy wszedłem do biura, pstryknąłem światło i podniosłem z podłogi kawałek papieru. Papier okazał się zawiadomieniem firmy Zielone Pióro — Usługi Doręczycielskie, że jest w posiadaniu zaadresowanej do mnie paczki, która na moją prośbę może być doręczona o każdej porze dnia i nocy. Położyłem zawiadomienie na biurku, ściągnąłem z siebie marynarkę i pootwierałem okna. Wyjąłem z głębokiej szuflady biurka na w pół opróżnioną butelkę Old Taylora i wypilem łyczek smakując whisky na języku. Potem usiadłem trzymając szyjkę chłodnej butelki w ręku i zastanawiając się, czy nie lepiej byłoby być tajniakiem z kryminalnej, patrzeć bez najmniejszego wrażenia na zwłoki zabitych i nie musieć wymykać się chyłkiem wycierając kłamki, nie musieć łamać sobie głowy, ile trzeba przemilczeć, żeby nie zaszkodzić klientowi, a ile powiedzieć, żeby nie za bardzo zaszkodzić sobie. Zdecydowałem jednak, że to by mi nie odpowiadało.

Przysunąłem sobie telefon i zerknąwszy na podany w zawiadomieniu numer, zadzwoniłem. Powiedziano mi, że paczka może być doręczona natychmiast. Poprosiłem więc, aby to uczyniono.

Na dworze zapadł zmierzch. Odgłos ruchu ulicznego nieco przycichł, a napływające przez okno powietrze, jeszcze nie ochłodzone, niosło jak zwykle u schyłku dnia ową zmęczoną woń kurzu, spalin i dobywający się z rozgrzanych murów zapach słońca, a także daleką woń tysiąca restauracji i być może jeśli ktoś miał węch jak pies myśliwski — ów osobliwy koci zapaszek z dzielnicy rezydencji ponad Hollywoodem, zapaszek drzew eukaliptusowych w czasie upałów.

Siedziałem i paliłem. W dziesięć minut później rozległo się pukanie i otworzywszy drzwi, zobaczyłem chłopca w mundurowej czapce. Zażądał ode mnie podpisu i dal mi małą

paczuszkę. Była kwadratowa, o boku sześciu centymetrów, jeżeli nawet nie mniej. Dałem chłopcu dziesiątaka i nasłuchiwałem chwile, jak pogwizduje w drodze do windy.

Paczuszka była zaadresowana atramentem, pismem drukowanym, dość dobrze naśladowującym prawdziwy druk. Przeciąłem sznurek i rozwinąłem cienki brązowy papier. Wewnątrz znajdowało się pudełeczko z lichego kartonu, oklejone brązowym papierem i z nadrukiem Made in Japan. Był to rodzaj pudełeczka, w jakie się zwykle pakuje małe rzeźbione zwierzątka lub nefrytowe ozdóbki w japońskich sklepach. Brzegi sięgały aż do spodu i szczelnie przylegały. Uporawszy się z nią zobaczyłem bibułkę i watę. A pod nią wyłoniła się nagle złota moneta wielkości mniej więcej półdolarówki, błyszcząca i lśniąca, jakby dopiero co wyszła z mennicy.

Na stronie, którą oglądałem, widniał orzeł z rozpostartymi skrzydłami i tarczą zamiast piersi, a na lewym skrzydle były wybite inicjały E. B. Wszystko to było otoczone kółkiem z kuleczek, zaś między kuleczkami a gładką, bez ząbków, krawędzią monety mieścił się napis E PLURIBUS UNUM. U dołu znajdowała się data 1787.

Odwróciłem monetę na dłoni. Była ciężka i chłodna i dłoń pod nią wydawała się wilgotna. Na drugiej stronie widniało słońce wschodzące lub zachodzące za ostry wierzchołek góry, następnie podwójny wianuszek liści, najprawdopodobniej dębowych, i jeszcze więcej łaciny, NOVA EBORACA COLUMBIA EXCELSIOR. U dołu, mniejszymi kapitalikami, nazwisko BRASHER.

Miałem w dłoni Dublon Brashera.

Nie było więcej nic ani w pudełku, ani w papierze, ani na papierze. To drukowane pismo nic mi nie mówiło. Nie znałem nikogo, kto by się nim posługiwał.

Napełniłem pusty kapciuch do połowy tytoniem, owinąłem monetę bibułką, przewiązałem gumką, wsunąłem do środka i przysypałem jeszcze tytoniem z wierzchu. Zamknąłem kapciuch na suwak i włożyłem do kieszeni. Zebrałem papier, sznurek, pudełko i kartkę z adresem i włożyłem do segregatora,

a potem usiadłem i wykręciłem numer Elishy Morningstara. Na drugim końcu linii dzwonek zadzwonił osiem razy. Nikt nie podnosił słuchawki. Nie spodziewałem się tego. Odłożyłem słuchawkę, poszukałem w książce telefonicznej domowego telefonu Morningstara i stwierdziłem, że nie ma go ani w Los Angeles, ani okolicznych miastach uwzględnionych w książce.

Wyjąłem z biurka olstro, przypiąłem je sobie pod pachą i wsunąłem w nie samopowtarzalnego Colta 38, włożyłem kapelusz i marynarkę, zamknąłem okna, odstawiłem whisky na miejsce, pstryknąłem światło i właśnie otworzyłem zatrask drzwi, kiedy zadzwonił telefon.

Dzwonienie to brzmiało złowieszczo — nie samo w sobie, ale dla uszu, dla których było przeznaczone. Stałem sprężony i pełen napięcia, z ustami rozchylonymi jak w półśmiechu. Za zamkniętym oknem jarzyły się neony. Martwe powietrze było nieruchome. Na zewnątrz w korytarzu panowała cisza. Telefon dzwonił w mrok a głośno i nieustępliwie.

Podszedłem, pochyliłem się nad biurkiem i podniosłem słuchawkę. Usłyszałem stuknięcie słuchawki w widełki i buczenie sygnału, nic ponadto. Przycisnąłem widełki i stałem w ciemności pochylony, z jedną ręką na widełkach, drugą trzymając słuchawkę. Nie wiem, dlaczego czekałem.

Telefon zadzwonił znowu. Chrząknąłem, przyłożyłem słuchawkę do ucha nie odzywając się ani słowem.

Milczeliśmy więc obaj, oddaleni być może o mile, i obaj trzymaliśmy słuchawkę przy uchu i tylko oddychaliśmy, i wyteżaliśmy słuch, i nie słyszeliśmy nic, nawet oddechu. A po chwili, która wydawała się ogromnie długa, usłyszałem cichy, odległy szept, który zabrzmiał głucho, beznamiętnie:

- Marny twój los. Marlowe.

Potem znów stuk słuchawki o widełki i buczenie, więc odłożyłem słuchawkę i wyszedłem z biura.

Pojechałem Bulwarem Zachodzącego Słońca na zachód, okrążyłem kilka bloków nie mogąc się zorientować, czy ktoś

mnie śledzi, czy nie, a potem zaparkowałem koło jakiegoś drugstore'u i wszedłem do mieszczącej się w nim kabiny telefonicznej. Wrzuciłem do automatu piątaka, wykręciłem zero i poprosiłem telefonistkę o numer w Pasadenie. Powiedziała, ile mam jeszcze dopłacić.

Głos, który odezwał się w słuchawce, był chłodny i ostry.

- Mieszkanie pani Murdock.

- Tu Philip Marlowe. Z panią Murdock proszę.

Kazano mi zaczekać. Cichy, lecz bardzo wyraźny głos powiedział:

- Pan Marlowe? Pani Murdock właśnie odpoczywa. Czy może pan przekazać sprawę mnie?

- Nie powinna mu była pani mówić.

- Ja... Komu?

- Temu pomyłkowi, którego chustką ociera pani łyzy.

- Jak pan śmie?

- No dobrze, dobrze — rzekłem. — Teraz proszę mnie połączyć z panią Murdock. Muszę z nią pomówić.

- Doskonale. Spróbuję. — Cichy, wyraźny głos umilkł i długo czekałem. Zapewne trzeba było podeprzeć babę poduszkami, wyrwać jej butelkę porto z łapy i podsunąć słuchawkę pod ucho. Nagle ktoś chrząknął w słuchawce. Zabrzmiało to, jakby pociąg towarowy przejeżdżał przez tunel.

- Mówi Murdock, słucham.

- Czy potrafiłaby pani zidentyfikować przedmiot, o którym mówiliśmy dziś rano? To znaczy, czy potrafiłaby pani odróżnić go od innych takich samych?

- A czy istnieją inne takie same?

- Z całą pewnością. Dziesiątki, setki, o ile się orientuję. W każdym razie dziesiątki. Oczywiście, nie wiem, gdzie one są.

Zakaszłała.

- Szczerze mówiąc, niewiele o nim wiem. Przypuszczam, że nie potrafiłabym go zidentyfikować. Ale w obecnym stanie rzeczy...

- Właśnie do tego zmierzam, proszę pani. Identyfikacja sprowadzałaby się do prześledzenia historii tego przedmiotu wstecz, od chwili obecnej do czasu, kiedy znajdował się u

pani. Żeby była przynajmniej przekonująca.

- Tak. Sądzę, że tak. Ale dlaczego? Czy wie pan, gdzie on jest?

- Morningstar twierdzi, że go widział. Chciano mu go sprzedać... tak jak pani podejrzewała. Ale on nie chciał kupić. Mówi, że sprzedawcą był mężczyzna. Ale to nic nie znaczy, bo dał mi dokładny opis tego mężczyzny, opis najwyraźniej zmyślony albo odnoszący się do kogoś, kto nie mógł być tylko przygodnym znajomym. A zatem mogła to być kobieta.

- Rozumiem. Ale to nie ma znaczenia.

- Nie ma znaczenia?

- Nie. Czy to wszystko?

- Jeszcze jedno pytanie. Czy zna pani młodego blondyna nazwiskiem George Anson Phillips? Dość mocno zbudowany, chodzi w brązowym ubraniu i ciemnym kapeluszu z okrągłym denkiem i jaskrawą opaską. Tak był ubrany dzisiaj. Podawał się za prywatnego detektywa.

- Nie znam. Czemu miałabym go znać?

- Nie wiem. Chyba jest związany z tą sprawą. Sądzę, że to właśnie on próbował sprzedać ów przedmiot. Morningstar dzwonił do niego po moim wyjściu. Zakradłem się do jego biura i przyfilowałem go.

- Co pan zrobił?

- Przyfilowałem go.

- Niech pan nic dowcipkuje, panie Marlowe. Jeszcze coś?

- Tak. Zgodziłem się zapłacić. Morningstar owi tysiąc dolarów. Za zwrot tej., tego przedmiotu.

- A wolno zapytać, skąd pan zamierzał wziąć te pieniądze?

- Ja tylko tak powiedziałem. Ten Morningstar to chytra sztuka. Rozumie tylko taki język. A poza tym nie wiedziałem, czy pani nie zechce zapłacić. Wcale nie zamierzałem pani przekonywać. Zawsze mogła się pani odwołać do policji. A gdyby pani z jakichkolwiek przyczyn nie chciała pójść z tym na policję, mogłaby się okazać, że jedyną drogą odzyskania tego przedmiotu byłoby... wykupić go.

Prawdopodobnie klepałbym tak jeszcze długo, sam nie wiedząc, do czego zmierzam, gdyby mi nie przerwała głosem przypominającym warknięcie foki.

- To wszystko jest już zbyteczne, panie Marlowe. Postanowiłam zakończyć tę sprawę. Moneta została zwrócona.

- Proszę chwileczkę poczekać — powiedziałem. Położyłem słuchawkę na półce, otworzyłem drzwi kabiny i wysadziłem głowę na zewnątrz czerpiąc głęboko w płuca to, co w drugstore'ach służy za powietrze. Nikt nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi. We frontowej części sklepu właściciel w niebieskim kitlu rozmawiał z kimś za kontuarem z wyrobami tytoniowymi. Jeden z ekspedientów przecierał szklanki przy ladzie z wodą sodową. Dwie dziewczyny w obcisłych spodniach grały w kręgle mechaniczne. Jakiś wysoki, chudy facet w czarnej koszuli i bladożółtej chustce na szyi wertował pisma na półkach. Nie wyglądał na rewolwerowca.

Zamknąłem drzwi kabiny, wziąłem słuchawkę z półki i powiedziałem:

- Szczur mnie ugryzł w nogę. Ale już w porządku. Więc mówi pani, że ją zwrócono? Tak ni stąd, ni zowąd? W jaki sposób?

- Mam nadzieję, że nie czuje się pan zbyt rozczarowany — powiedziała swoim bezkompromisowym barytonem. — Okoliczności są trochę zawiłe. Nie wiem, czy zdecyduję się wytłumaczyć je panu. Może pan przyjść do mnie jutro rano. A ponieważ nie zamierzam dalej prowadzić sprawy, zaliczka, którą pan otrzymał, musi panu wystarczyć za pełne honorarium.

- Jedno chciałbym wiedzieć — rzekłem. — Czy otrzymała pani monetę... czy tylko obietnicę jej zwrotu.

- Monetę, oczywiście. A teraz czuje się już zmęczona. Więc, jeśli pan...

- Chwileczkę. Sprawa nie jest wcale taka prosta. Miało miejsce kilka zdarzeń, które...

- Powie mi pan o nich jutro — przerwała mi szorstko i odłożyła słuchawkę.

Wygramoliłem się z kabiny i zapaliłem papierosa niezgrabnymi, jakby odrętwiałymi palcami. Ruszyłem ku wyjściu. Właściciel sklepu był teraz sam. Z przejęciem i zmarszczonymi, brwiami temperował małym scyzorykiem

ołówek.

- O, jaki ładny, ostry ołóweczek — powiedziałem.

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem. Dziewczęta grające w kręgle mechaniczne też popatrzyły na mnie zdziwione. Podeszedłem do bufetu i przyjrzałem się sobie w lustrze. I ja miałem zdziwioną minę. Usiadłem na wysokim stołku i zażądałem:

- Podwójna szkocka, bez wody i lodu.

Bufetowy zdziwił się.

- Przepraszam, ale to nie bar, proszę pana. Może pan najwyżej kupić butelkę w stoisku z napojami alkoholowymi.

- Ach tak — powiedziałem. — To znaczy, nie. Przed chwilą przeżyłem wstrząs. Jestem trochę oszołomiony. Proszę mi dać filiżankę kawy, słabej, i plasterek szynki na kromce czerstwego chleba. Nie, jeść też nie będę. Do widzenia.

Zsunąłem się ze stołka i w milczeniu, które dudniło jak tona węgla zjeżdżająca po żelaznym zsypie do piwnicy, ruszyłem ku drzwiom. Mężczyzna w czarnej koszuli i żółtej chustce na szyi patrzył na mnie drwiąco znad „Nowej Republiki”.

- Powinien pan cisnąć te brednie i zacząć się wgryzać w coś solidniejszego, na przykład jakiś brukowiec — zagadnąłem go, aby okazać przyjazne uczucia.

Poszedłem dalej ku wyjściu. Ktoś za moimi plecami rzekł:

- W Hollywood aż roi się od takich.

Zerwał się wiatr niosący z sobą suchość i napięcie i gwałt wierzchołki drzew, których cienie w świetle lamp łukowych w tej bocznej, uliczce wyglądały jak pełznąca lava. Włączyłem silnik i pojechałem dalej na wschód.

Lombard mieścił się przy Santa Monica, koło Wilcox Avenue — spokojny, staromodny sklepik, łagodnie obmywany przez pluszczące fale czasu. W oknie wystawowym było wszystko, co można wymyślić, od kompletu haczyków na pstrągi po fisharmonię, od składanego wózka dziecięcego po aparat do zdjęć portretowych z czterocalowym obiektywem i

od lornetki z macicy perłowej w futerale z wyblakłego pluszu po Colcie.44, model wciąż produkowany dla westernowych stróżów prawa, których dziadkowie nauczyli, jak upiłować spust i strzelać przez naciąganie i zwalnianie kurka uderzeniami otwartej dłoni.

Otworzyłem drzwi lombardu i nad moją głową zadźwięczał dzwonek. W głębi sklepu ktoś zaszurał nogami i wytarł nos. Za kontuarem pojawił się stary Żyd w czarnej mycce i uśmiechnął się do mnie sponad połówek okularów.

Wyjąłem kapciuch z tytoniem, wyciągnąłem z niego Dublon Brashera i położyłem na kontuarze. Szyba wystawowa była bardzo przezroczysta i czułem się jak nagi. Nigdzie żadnych wykładanych boazerią kabin z ręcznie rzeźbionymi spluwaczkami i zatraskującymi się drzwiami.

Żyd obejrzał monetę i zważył ją na dłoni.

- Złoto, nie? Pan może ma skarb, co? — rzekł mrugając okiem.

- Dwadzieścia pięć dolarów — powiedziałem. — Żona i dzieci nie mają co włożyć do ust.

- Oj, to straszne. Sądząc po ciężarze to jest złoto. To może być tylko złoto, no, może jeszcze platyna. — Zważył niedbale monetę na maleńkiej wadze. — To jest złoto — rzekł. — Więc chce pan dziesięć dolarów?

- Dwadzieścia pięć.

- Za dwadzieścia pięć to co ja z tym zrobię? Może sprzedam? Tu może być złota najwyżej za piętnaście. Dobrze. Dam panu piętnaście.

- Ma pan dobry sejf?

- Panie, w takim interesie trzeba mieć najlepszy sejf na świecie. Niech się pan nie martwi. Piętnaście dolarów, tak?

- Niech pan pisze kwit.

Wypisał pomagając sobie przy tym językiem. Podałem prawdziwe nazwisko i adres. Bristol Apartments, 1634 North Bristol Ave., Hollywood.

- Pan mieszka w takiej dzielnicy i pan pożyczka piętnaście dolarów — rzeki Żyd ze smutkiem i oddał dla mnie połowę kwitu, a następnie odliczył piętnaście dolarów.

Poszedłem do drugstore'u na rogu, kupiłem kopertę, pożyczyłem pióro i wysłałem kwit z lombardu na swój adres.

Czułem głód i pustkę w żołądku. Udałem się na Vine, żeby zjeść, a potem pojechałem znowu do śródmieścia. Wiatr wciąż się wzmaczał i był coraz suchszy. Kierownica zrobiła się szorstka pod palcami, a nozdrza miałem ściągnięte i zatkane.

Tu i ówdzie w wysokich, budynkach płonęły światła. Zielony i chromowany sklep bławatny na rogu Hill i Dziewiętej zarzył się od nich.. W gmachu Belfonta w kilku oknach się świeciło. W windzie siedział na złożonym w kilkoro worku ten sam stary wół roboczy i patrzył przed siebie oczyma bez wyrazu, jakby już należącymi do zaświatów.

- Nie wie pan, gdzie tu może być dozorca? — spytałem. Obrócił głowę powoli i spojrzał gdzieś nad moim ramieniem.

- Podobno w Nowym Jorku mają takie windy, co tylko fiu! i już na górze. Tak przez trzydzieści pięter. Szybkobieżne. Tak jest w Nowym Jorku.

- Do diabła z Nowym Jorkiem — powiedziałem. — Mnie się tu bardziej podoba.

- Pewnie nie każdy potrafi obsługiwać takie szybkie windy.

- Nie daj się zwieść, ojczulku. Obsługują je panienki, co tylko naciskają guziki, mówią: „Dzień dobry, panie taki to a taki” i podziwiają swoje wdzięki w lustrze. A weźmy taki stary wysłużony model jak ten... byle kto nie potrafi nim kierować. Prawda?

- Ja tu pracuję dwanaście godzin dziennie — rzekł. — I cieszę się, że mam tę pracę.

- Niech lepiej związek się o tym nie dowie.

- Wie pan, co mi może związek zrobić?

Potrząsnąłem głową, że nie. Powiedział. A potem opuścił wzrok tak, że teraz patrzył prawie prosto na mnie. — Czy ja pana już gdzieś nie widziałem?

- A jak z tym dozorcą? — spytałem łagodnie.

- Rok temu stłukł okulary — rzekł staruszek. — Śmiać mi się chciało. Ledwie się wstrzymałem.

- Tak. A gdzie go można znaleźć o tej porze?

Teraz już patrzył wprost na mnie.

- Ach, dozorca? Pewnie jest w domu.

- Tak. Na pewno. Albo w kinie. Ale gdzie on mieszka? Jak się nazywa?

- Pan od niego czegoś chce?

- Tak. — Ścisnąłem pięści w kieszeni, żeby nie zacząć wyć. — Potrzebny mi adres jednego z lokatorów. Lokator, którego adres jest mi potrzebny, nie figuruje w książce telefonicznej — to znaczy nie ma tam jego adresu domowego. Miejsca, gdzie przebywa, kiedy nie jest w biurze. Wie pan, domu — Wyciągnąłem rękę i nakreśliłem powoli w powietrzu litery: DOM.

Staruszek spytał:

- Który lokator? — Pytanie było tak bezpośrednie, że aż mną wstrząsnęło.

- Pan Morningstar.

- Jego nie ma w domu. Jest jeszcze w biurze.

- Na pewno?

- Pewnie, że tak. Ja tam nie zwracam uwagi na ludzi. Ale on jest stary jak ja i zawsze go zauważę. Jeszcze nie wyszedł.

Wsiadłem do windy i powiedziałem:

- Jedziemy na ósme.

Pomocował się z drzwiami i potelepaliliśmy się na górę. Nie spojrział już na mnie więcej. Kiedy winda zatrzymała się i wysiadłem, nie odezwał się też ani słowem. Siedział tylko z oczyma bezmyślnymi, zgarbiony na wymoszczonym workiem drewnianym stołku. Gdy mijalem zakręt korytarza, wciąż tak siedział. A ów niejasny wyraz pojawił się ponownie na jego twarzy.

Przy końcu korytarza widać było w dwojgu drzwiach światło, Były to jedyne widoczne drzwi. Stanąłem, żeby zapalić papierosa i posłuchać, ale nie usłyszałem wewnątrz żadnego odgłosu krzątania. Otworzyłem drzwi oznaczone napisem,, Wejście" i wszedłem do wąskiego biura z zamkniętym biurkiem do pisania na maszynie. Drzwi wewnętrzne były otwarte. Podszedłem do nich i zapukałem.

- Panie Morningstar.

Żadnej odpowiedzi. Cisza. Nie słyhać było nawet oddechu. Włosy zjeżyły mi się na karku. Wszedłem do środka. Światło z sufitu padało na szklaną pokrywę wagi jubilerskiej, połyskiwało na starym, wypolerowanym drewnie wokół skózanego pokrycia blatu biurka, na bocznej ścianie biurka, na bucie z kwadratowym noskiem i gumowymi ściągaczami i białą, bawełnianą skarpetką ponad nim. But ten był ułożony pod niewłaściwym kątem wskazując ścianę. Reszta nogi kryła się za rogiem wielkiego sejf. Wchodząc w głąb pokoju czułem się, jakbym brodził w bagnie.

Morningstar leżał na plecach. Bardzo samotny i nieżywy. Drzwi sejf były o twarte i klucze wisiały w zamku wewnętrznej skrytki. Metalowa szuflada była wyciągnięta. Świeciła teraz pustką. Kiedyś mogły w niej być pieniądze.

Poza tym wszystko w pokoju wyglądało normalnie. Kieszenie starca były wywrócone, ale nie dotykałem go, tylko pochyliłem się i wierzchem dłoni dotknąłem jego sinej twarzy. Odniosłem wrażenie, jakbym dotknął żabiego brzucha. Na skroni, gdzie go uderzono, widniała krew. Tym razem jednak nie poczułem w powietrzu woni prochu, a fioletowy kolor skóry świadczył, że staruszek zmarł na udar serca spowodowany zapewne wstrząsem i lękiem. Nie umniejszyło to jednak faktu, że było to morderstwo.

Pozostawiłem palące się światła, wytarłem klamki i zszedłem schodami przeciwpożarowymi na szóste piętro. Idąc korytarzem czytałem bezwiednie nazwiska na drzwiach. H. R. Teager, Laboratoria Dentystyczne, Biuro Wysyłkowe Mossa, L. Pridview, Rachunkowość, Dalton i Rees, Biuro Przepisywania na Maszynie, Dr E. J. Blaskowitz, a pod spodem, małutkimi literkami, Kregarz.

Podjechała z hukiem winda. Staruszek windziarz nawet nie spojrzął na mnie. W jego twarzy widniała taka sama pustka, jaka zaległa mój umysł.

akcji i miały ów surowy, kompetentny i skomplikowany wygląd jak zawsze na początku gry. Była godzina dziesiąta wieczorem. Siedziałem sobie w domu z fajką w zębach, szklanką whisky w zasięgu ręki i bez żadnych kłopotów na głowie, prócz dwóch morderstw oraz tajemnicy, w jaki sposób pani Elizabeth Bright Murdock zdołała odzyskać Dublon Brashera, kiedy spoczywał on wciąż w mojej kieszeni.

Otworzyłem broszurowe wydanie gier turniejowych, drukowane w Lipsku, wybrałem z nich Gambit Królowej, który wydał mi się pełen rozmachu, przesunąłem biały pionek na F4, gdy nagle u drzwi zadźwięczał dzwonek.

Obszedłem stół, wziąłem swego Colta.38 z biurka i trzymając go do dołu za prawą nogą podszedłem do drzwi. Kto tam? Breeze.

Najpierw położyłem Colta z powrotem na bocznym, opuszczonym blacie biurka, a dopiero wtedy otworzyłem drzwi. Stał w nich jak zawsze ogromny i niedbale ubrany, tylko nieco bardziej zmęczony. Był z nim ów młody detektyw Spangler ze świeżą buzią. Nieomal wepchnęli mnie do pokoju i Spangler zamknął drzwi. Jego pogodne młodzieńcze oczy rozglądały się na wszystkie strony, a starsze i surowsze Breeze'a utkwily na długą chwilę swe spojrzenie w mojej twarzy. Wreszcie ich właściciel minął mnie i podszedł do kanapki. — Rozejrzyj się — rzekł kątem ust.

Spangler odstąpił od drzwi i zajrzał do kuchenki, następnie wrócił i wszedł do przedpokoju. Skrzypnęły drzwi łazienki, kroki Spanglera oddaliły się.

Breeze zdjął kapelusz i wytarł chustką półnągą czaszkę. Drzwi otwierały się i zamykały w głębi mieszkania. Szafy. Spangler wrócił.

- Nie ma nikogo — zameldował.

Breeze kiwnął głową i usiadł kładąc panamę obok siebie. Spangler spostrzegł rewolwer leżący na biurku.

- Mogę rzucić okiem? — spytał.

- Niech was diabli wezmą!

Spangler podszedł do biurka, przyłożył lufę rewolweru do nosa i powąchał. Wyjął magazynek, wyrzucił nabój z komory,

podniósł i wcisnął do magazynka. Położył magazynek na biurku i obejrzał wewnątrz lufy pod światło.

- Trochę kurzu — powiedział, — Niewiele.

- A czegoś się spodziewał? — spytałem. — Rubinów?

Zignorował moje słowa, spojrzał na Breeze'a i dodał:

- Moim zdaniem w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin ta broń nie była używana. Jestem tego pewien.

Breeze skinął głową, zagryzł usta i badał wzrokiem moją twarz. Spangler zręcznie złożył rewolwer, zostawił go na biurku, a sam podszedł i usiadł obok Breeze'a. Wetknął w usta papierosa, zapalił i wydmuchnął dym z zadowoleniem.

- Tak czy owak wiemy, że to nie był Colt.38 — rzekł. — Taka pukawka przebija ścianę. Nic byłoby więc szans, żeby pocisk pozostał w głowie ofiary.

- Można wiedzieć, o czym, chłopaki, mówicie? — spytałem.

- O zwykłej sprawie w naszym zawodzie — odparł Breeze. — O morderstwie. Siądź. Uspokój się. Zdawało mi się, że słyszałem jakieś głosy. Ale może to było w sąsiednim mieszkaniu.

- Może.

- Zawsze trzymasz rewolwer na biurku?

- Zawsze, jeżeli nie pod poduszką — odrzekłem, — Albo pod pachą. Albo w szufladzie biurka. Albo gdziekolwiek indziej, gdzie go, nie pamiętając, wetknę. Ulżyło ci?

- Nie przyszłiśmy tu się stawiać, Marlowe.

- Dobrze sobie — powiedziałem. — Tylko myszkować po moim mieszkaniu i brać moje rzeczy bez pozwolenia. Ciekawe, co by było, gdybyście zaczęli się stawiać... pewnie rzucilibyście mnie na ziemię i zaczęli kopać w twarz.

- Tam do licha — rzekł Breeze i uśmiechnął się.

Uśmiechnąłem się i ja. Siedzieliśmy wszyscy trzej uśmiechając się. Wreszcie Breeze zapytał: — Można skorzystać z telefonu?

Wskazałem mu ręką aparat. Wykręcił jakiś numer i zaczął rozmawiać z jakimś Morrisonem. Powiedział:

- Tu mówi Breeze z... — Spojrzał na podstawę aparatu i odczytał numer. — Każdej chwili. To telefon pana Marlowe.

Oczywiście. Pięć, dziesięć minut. — Odłożył słuchawkę i wrócił na kanapkę. — Założę się, że nie zgadniesz, czemu przyszliśmy.

- Bo zawsze jesteście mile widziani.
- Morderstwo to nie żarty, Marlowe.
- Kto mówi, że żarty?
- Ty, swoim zachowaniem.
- To było podświadome.

Breeze spojrział na Spanglera i wzruszył ramionami. Spuścił wzrok na podłogę. Następnie powoli podniósł oczy, jakby mu bardzo ciążyły, i znowu spojrział na mnie. Siedziałem teraz przy stole szachowym.

- Dużo grywasz w szachy? — spytał patrząc na figury.
- Niedużo. Od czasu do czasu, gdy chcę sobie coś przemyśleć.

- Czy do szachów nie trzeba dwóch graczy?

- Przerabiam sobie gry turniejowe, które zostały zanotowane i opublikowane. Na temat szachów jest cała literatura. Od czasu do czasu rozwiązuję problemy szachowe. Nie są to szachy w prawdziwym znaczeniu. Ale po co my rozmawiamy o szachach. Napijecie się?

- Może później — rzekł Breeze. — Rozmawiałem o tobie z Randallem. Pamięta cię bardzo dobrze w związku z tą sprawą na plaży. — Poruszył nogami na dywanie, jakby go bolały ze zmęczenia. Jego duża, niemłoda twarz była pomarszczona i szara z wyczerpania. — Mówi, że nie mógłbyś nikogo zamordować. Że jesteś miły, uczciwy facet.

- To bardzo przyzwoite z jego strony.

- Mówi, że robisz dobrą kawę, wstajesz z łóżka dość późno, lubisz być błyskotliwy w rozmowie i powinniśmy wierzyć we wszystko, co mówisz, ale pod warunkiem, że będziemy to mogli sprawdzić u pięciu niezależnych świadków.

- Niech go szlag trafi — powiedziałem.

Breeze kiwnął głową, zupełnie jakbym mu to wyjął z ust. Nie uśmiechał się, ale nie strugał waźniaka. Zachowywał się po prostu jak człowiek, który robi, co do niego należy. Spangler siedział z głową na oparciu fotela i spod na wpół

przymkniętych powiek obserwował dym z papierosa.

- Randall mówi, że powinniśmy mieć ciebie na oku. Mówi, że nie jesteś taki sprytny, za jakiego się uważasz, ale należysz do ludzi, którym się przytrafiają różne rzeczy, a taki facet jak ty może przysporzyć dużo więcej kłopotu niż ktoś naprawdę sprytny. Tak mi powiedział, rozumiesz? Według mnie jesteś w porządku. A mówię ci to dlatego, że lubię stawiać sprawy jasno.

Powiedziałem, że to ładnie z jego strony. Zadzwoił telefon. Spojrzałem na Breeze'a, ale on się nie ruszył, więc sięgnąłem po słuchawkę. Usłyszałem w niej dziewczęcy głos. Wydał mi się jakiś znajomy, ale nie mogłem go ani rusz umiejscowić.

- Czy to pan Philip Marlowe?

- Tak.

- Proszę pana, jestem w kłopotcie, w okropnym kłopotcie. Muszę się koniecznie z panem zobaczyć. Kiedy mógłby się pan ze mną spotkać?

- Jeszcze dzisiaj? — spytałem. — A kto mówi?

- Nazywam się Gladys Crane. Mieszkam w hotelu Normandy przy ulicy Rampart. Kiedy mógłby pan...

- Chce pani, żebym przyszedł jeszcze dziś wieczorem? — spytałem myśląc o tym głosie, starając się go umiejscowić.

- Ja... — stuk widełek i głucha cisza w słuchawce. Siedziałem patrząc ponad nią krzywo na Breeze'a. Jego twarz nie wyrażała najmniejszego zainteresowania.

- Jakaś dziewczyna mówi, że jest w tarapatkach — powiedziałem. — Połączenie zostało zerwane. — Przycisnąłem widełki aparatu, czekając, aż znowu zadzwoni. Policjanci siedzieli milcząco i obojętni. Zbyt milcząco i zbyt obojętni.

Telefon znowu zadzwonił, więc puściłem widełki i powiedziałem.

- Chcecie mówić z Breeze'em, prawda?

- Tak. — Był to głos męski i brzmiało w nim lekkie zdziwienie.

- Macie, róbcie te swoje sztuczki — rzekłem.

Wstałem i wyszedłem do kuchni. Słyszałem, jak Breeze rozmawia krótko, a potem odkłada słuchawkę na widełki.

Wyjąłem z szafki butelkę Four Roses i trzy szklanki.

Wziąłem trochę lodu i piwo imbirowe z lodówki, zrobiłem trzy koktajle, zaniósłem na tacy i postawiłem na stoliku koktajlowym koło kanapy, na której siedział Breeze. Wziąłem dwie szklanki, podałem jedną Spanglerowi, a z drugą usiadłem na swoim miejscu.

Spangler trzymał szklankę z niepewną miną, ściskając dolną wargę dwoma palcami i patrząc, czy Breeze przyjmie poczęstunek.

Breeze spojrział na mnie nieprzenikniętym wzrokiem. Westchnął. Potem wziął szklankę, spróbował drinka, znowu westchnął i z leciutkim uśmiechem poruszył głową na boki jak człowiek, który bardzo się potrzebuje napić i skosztowawszy stwierdza, że to trunek, jaki właśnie lubi, a ten pierwszy łyk jest dla niego jak spojrzenie na czystszy, pogodniejszy, radośniejszy świat.

- Ty się znasz na rzeczy, Marlowe — rzekł i całkiem odprężony rozparł się wygodnie na kanapie. — Myślę, że może ubijemy interes.

- Nie w taki sposób — powiedziałem.

- He? — Ściągnął brwi. Spangler pochylił się w fotelu i zrobił się bystry i uważny.

- Nie przez napuszczanie dziwek na bezsensowne telefony do mnie, żeby potem móc mówić, że znają skądś mój głos.

- Ta dziewczyna nazywa się Gladys Crane — rzekł Breeze.

- Tak mi powiedziała. Nigdy o niej nie słyszałem.

- No, dobra, dobra — zgodził się Breeze, ukazując rozwarte wnętrze swojej piegowatej dłoni. — Nie próbujemy robić żadnych sztuczek. I mamy nadzieję, że ty też nie robisz.

- Czego nie robię?

- Żadnych sztuczek. Przez uchylanie się od współpracy z nami.

- A czemu miałbym z wami współpracować, jeżeli nie mam ochoty? — zapytałem. — Wy mi nie płacicie.

- Przestań się stawiać, Marlowe.

- Ja się nie stawiam. Nawet mi się nie śni. Znam dość policję, żeby się nie chcieć stawiać. Mów, co masz do powiedzenia, i nie próbuj żadnych takich, jak ta rozmowa

telefoniczna.

- Prowadzimy śledztwo w sprawie o morderstwo — rzekł Breeze. — Musimy zrobić wszystko, na co nas stać. Znalazłeś ciało. Rozmawiałeś z tym facetem przed jego śmiercią. Poprosił cię, żebyś przyszedł do jego mieszkania. Dał ci swój klucz. Mówiłeś, że nie wiesz, o czym chciał z tobą mówić. Pomyśleliśmy, że może po pewnym czasie zdołasz sobie przypomnieć.

- Innymi słowy, za pierwszym razem skłamałem?

Na twarzy Breeze'a ukazał się zmęczony uśmiech.

- Wiesz dobrze, że ludzie zawsze kłamią w sprawach o morderstwo.

- Tylko kłopot z tym, jak poznasz, kiedy przestanę kłamać?

- Kiedy to, co powiesz, zacznie mieć jakiś sens.

Popatrzyłem na Spanglera. Siedział tak bardzo wychylony do przodu, że mało nie spadł z fotela. Wyglądał, jakby gotował się do skoku. Ponieważ zaś nie było powodu, aby miał skakać, pomyślałem, że pewnie jest podniecony. Wróciłem spojrzeniem do Breeze'a. W tym było tyle podniecenia co w dziurze w ścianie. Trzymał grubymi paluchami cygaro i właśnie rozcinał scyzorykiem celofan. Patrzyłem, jak zdejmuje opakowanie i przycina koniuszek cygara, a potem chowa scyzoryk do kieszeni otarłszy wprzód ostrze o nogawkę spodni. Patrzyłem, jak zapala zapalną i ostrożnie obraca cygaro w jej płomieniu, a następnie odsuwa ją, wciąż płonąca, i pociąga dym z cygara, póki nie nabierze przekonania, że dobrze je przypalił. Dopiero wtedy gasi machnięciem ręki zapalną i kładzie ją obok celofanowego opakowania na szklanym blacie stolika koktajlowego. Następnie rozpiera się na kanapce, podwija jedną nogawkę spodni i pali sobie spokojnie swoje cygaro. Każdy jego ruch był dokładnie taki sam jak wtedy, kiedy zapalał cygaro w mieszkaniu HENCH, i zawsze pozostanie taki sam, ilekroć Breeze będzie zapalał cygaro. Taki był i to go czyniło niebezpiecznym. Nie aż tak, jak człowieka wybitnie zdolnego, lecz dużo niebezpieczniejszym od podniecenia Spanglera.

- Widziałem dziś Phillipsa po raz pierwszy w życiu —

powiedziałem. — 'To, że on mnie kiedyś widział w Ventura, nie ma znaczenia, bo go stamtąd nie pamiętam. Spotkałem go dokładnie w takich okolicznościach, jak wam mówiłem. Śledził mnie, więc podszedłem i nawiązałem z nim rozmowę. Miał do mnie sprawę i dał mi klucz do swojego mieszkania. Udałem się tam, a kiedy nie odpowiedział na moje pukanie, otworzyłem drzwi i wszedłem... tak jak mi kazał. Znalazłem go martwego. Wezwano policję i na skutek szeregu zdarzeń czy też przypadków, które nie miały ze mną nic wspólnego, pod poduszką Hencha odkryto pistolet. Pistolet, z którego padł strzał. To wam powiedziałem i powiedziałem prawdę.

- Kiedy go znalazłeś — rzekł Breeze — poszedłeś na dół, do dozorczy, faceta nazwiskiem Passmore, i nakłoniłeś go, aby się z tobą udał na górę, nie mówiąc nic o znalezieniu trupa. Dałeś dozorczy fałszywą wizytówkę i nagadałeś o biżuterii.

Kiwnąłem głową.

- Z takimi ludźmi jak Passmore i w takich domach jak ten tego rodzaju podstęp się opłaca. Phillips mnie interesował. Pomyślałem, że Passmore coś mi o nim powie, jeśli nie będzie wiedział, że Phillips nie żyje i lada chwila zjawi się policja. I to cała tajemnica.

Breeze popił trochę ze szklanki, popalił cygaro i rzekł:

- Jedno chciałbym wiedzieć jasno. Wszystko, co teraz powiedziałeś, to może święta prawda, a może być i nieprawda. Jeżeli wiesz, co mam na myśli.

- Na przykład, co? — spytałem, choć wiedziałem bardzo dobrze.

Klepał się po kolanie i patrzył na mnie spode łba. Nie było to spojrzenie wrogie ani nawet podejrzliwe. Tylko spojrzenie człowieka spokojnego, który robi, co do niego należy.

- Na przykład to. Masz jakąś robotę. Nie wiemy, jaką. Phillips zabawiał się w prywatnego detektywa. Też miał jakąś robotę. Śledził ciebie. I jeśli nam nie powiesz, to skąd mamy wiedzieć, czy twoja i jego robota jakoś się nie zazębiały? A jeśli się zazębiały, to rzecz należy do nas. Racja?

- To jeden punkt widzenia — powiedziałem. — Ale nie jedyne i wcale nie mój.

- Nie zapominaj, że w grę wchodzi morderstwo, Marlowe.

- Nie zapominam. Ale ty nie zapominaj, że ja pracuję w tym mieście nie od wczoraj, ale od ponad piętnastu lat. Znam wiele spraw o morderstwo. Niektóre z nich zostały rozstrzygnięte, inne były nie do rozstrzygnięcia, a jeszcze inne mogły zostać rozstrzygnięte, ale nie zostały. A jeszcze parę rozstrzygnięto błędnie. Ktoś dostał w łapę za to, że przymknie jedno oko i niewykluczone, że wszyscy o tym wiedzieli. Takie rzeczy się zdarzają, choć nieczęsto. Weźmy na przykład sprawę Cassidy'ego. Chyba ją pamiętasz?

Breeze spojrział na zegarek.

- Jestem zmęczony — rzekł. — Zostawmy sprawę Cassidy'ego. Wróćmy do sprawy Phillipsa.

Pokręciłem głową.

- Chcę udowodnić coś bardzo ważnego. Weźmy taką sprawę Cassidy'ego. Cassidy był bardzo zamożnym człowiekiem, multimilionerem. Miał dorosłego syna. Pewnego wieczoru wezwano do jego domu policję, która oto, co stwierdziła. Młody Cassidy leżał na wznak na podłodze z twarzą we krwi i dziurą w skroni. Jego sekretarz leżał też na wznak w przyległej łazience, z głową opartą o drugie drzwi łazienki, od strony hallu i z wypalonym papierosem w lewej ręce — niedopałkiem, który poparzył mu skórę między palcami. Przy jego prawej dłoni leżał rewolwer. Sekretarz miał w głowie ranę postrzałową, ale nie była to rana kontaktowa. Wszystko świadczyło o odbytej popijawie. Od chwili śmierci minęły cztery godziny, a od trzech przebywał tam lekarz domowy. I co wyście zrobili ze sprawą Cassidy'ego?

Breeze westchnął

- Morderstwo i samobójstwo w czasie libacji. Sekretarz wpadł w szal i zastrzelił młodego Cassidy'ego. Czytałem to w prasie czy gdzieś indziej. Czy chciałeś, żebym właśnie to powiedział?

- I ty czytałeś to w prasie — ciągnąłem dalej — ale w rzeczywistości było inaczej. Co więcej, wiedzieliście, że było inaczej, i wiedział prokurator okręgowy i w ciągu paru godzin śledczy i prokurator okręgowy zostali odwołani ze sprawy.

Śledztwa me było. Ale każdy reporter od spraw kryminalnych i wszyscy policjanci z wydziału kryminalistyki wiedzieli, że to Cassidy strzelał, że to Cassidy był w pijackim szale, a sekretarz starał się go obezwładnić i nie udało mu się, i kiedy wreszcie spróbował uciec, Cassidy okazał się szybszy. To rana Cassidy'ego była raną kontaktową; a nie rana sekretarza. Sekretarz był mańkutom i trzymał w lewej ręce papierosa, kiedy został zastrzelony. Nawet jak się jest praworęcznym, nie przekłada się papierosa do drugiej ręki, aby kogoś zastrzelić. Być może robią tak gangsterzy w filmach kryminalnych, ale na pewno nie sekretarze bogaczy. I co przez te cztery godziny robiła rodzina i lekarz domowy, zanim wezwano policję? Załatwiali, żeby śledztwo było tylko powierzchowne. I czemu nie zrobiono testów dłoni na azotan? Bo nie chcieliście prawdy. Bo Cassidy jest zbyt wielką osobistością. Ale to też była sprawa o morderstwo.

- Obaj nie żyli — rzekł Breeze, — Po jakie лихо dochodzić, który zabił którego?

- A nie przyszło wam do głowy — spytałem — że ten sekretarz mógł mieć matkę albo siostrę, albo kochankę... Albo wszystkie trzy naraz. Że one kochały tego chłopca, chlubiły się nim i pokładały w nim wiarę, a tymczasem zrobiono z niego zapijaczonego paranoika, ponieważ ojciec jego szefa miał sto milionów dolarów?

Breeze uniósł wolniutko szklanekę do ust i dopił jej zawartość, a potem równie wolno opuścił ją i odstawił na szklany blat stolika. Spangler siedział sztywno ze świecącymi oczyma i rozchylonymi w drętym półuśmiechu ustami.

- Ale do czego zmierzasz? — spytał Breeze.

- Do tego, że póki wy chłopaki, nie będziecie panami siebie, póty nie będziecie moimi panami. Póki nie będzie wam można zaufać, że każdej chwili, zawsze i wszędzie i w każdych okolicznościach będziecie szukać prawdy, że ją znajdziecie nie oglądając się na skutki, póki nie przyjdzie taki czas, mam prawo postępować według własnego sumienia i osłaniać swojego klienta, jak tylko mogę najlepiej. Póki nie będę miał pewności, że nie zrobicie mojemu klientowi więcej szkody, niż

przysłużycie się prawdzie. Albo póki nie zawleciecie mnie przed oblicze kogoś, kto zmusi mnie do mówienia.

- Dla mnie to brzmi trochę, jakbyś chciał zagłuszyć głos sumienia — rzekł Breeze.

- Cholera — zakląłem. — Napijmy się jeszcze. A potem powiesz mi o tej dziewczynie, której kazałeś do mnie dzwonić.

Uśmiechnął się.

- To taka damulka, która mieszka obok Phillipsa. Słyszała któregoś wieczoru, jak ktoś rozmawiał z nim przez próg. Za dnia pracuje jako bileterka. Pomyśleliśmy sobie, że może powinna usłyszeć twój głos. Ale nie przejmuj się tym.

- A jaki był tamten głos?

- Nieprzyjemny. Mówiła, że się jej nie podobał.

- I pewnie dlatego skojarzyliście go zaraz ze mną — powiedziałem.

Wziąłem szklanki i poszedłem do kuchni.

16

W kuchni zapomniałem, która szklanka jest czyja, więc opłukałem wszystkie i wytarłem, i właśnie zacząłem przygotowywać napoje, kiedy wszedł Spangler i stanął za moimi plecami

- Nic się nie bój — powiedziałem. — Dzisiaj nie dodam cyjanku.

- Uważaj ze starym — szepnął mi za uchem. — On się lepiej zna na różnych sztuczkiach, niż ci się zdaje.

- Dziękuję za ostrzeżenie.

- Wiesz, chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o tej sprawie Cassidy'ego — rzekł. — Wydaje się ciekawa. Musiała być chyba dawno, jeszcze nim zacząłem pracę.

- Bardzo dawno — odparłem. — I nigdy jej nie było. Ja tylko żartowałem.

Postawiłem szklanki na tacy i zaniósłem do pokoju. Wziąłem swoją na fotel obok stolika szachowego.

- Nowy chwyt — powiedziałem do Breeze'a. — Twój kompan zakrada się do kuchni i niby to za twoimi plecami daje mi

radę, żebym uważał, bo ty się lepiej znasz na różnych sztuczkiach, niż mi się zdaje. Ma twarz jakby do tego stworzoną. Przyjazna, szczerą i łatwo oblewa się rumieńcem.

Spangler usiadł na brzeżku swojego fotela i oblał się rumieńcem. Breeze spojrział na niego mimochodem, bez wyrazu.

- Czego dowiedzieliście się o Phillipsie? — spytałem.

- Tak — rzekł Breeze. — Phillips. No więc, George Anson Phillips to dość żalony przypadek. Uważał się za detektywa, ale wydaje się, że nikt inny nie podzielał tego zdania. Rozmawiałem z szeryfem w Ventura. Mówi, że George to był miły facet, może za miły jak na to, żeby zostać dobrym policjantem, nawet gdyby był dość bystry. Robił, co mu kazano, i robił to dobrze, pod warunkiem, że miał powiedziane, którą nogą ruszyć z miejsca, ile kroków zrobić i w jakim kierunku. Ale nie rozwijał się, rozumiesz, co mam na myśli. Był z niego taki policjant, co to mógłby przymknąć złodzieja, gdyby zobaczył sam na własne oczy, jak facet kradnie kury, i gdyby ten facet wyrznął łbem w słupek i padł bez czucia. Bo inaczej sprawa stałaby się dla George'a zbyt skomplikowana i musiałby wrócić na posterunek po instrukcje. No więc, zmęczyło to wreszcie szeryfa i zwolnił George'a.

Breeze wypił parę łyków i wielkim jak łopata paznokciem kciuka podrapał się w podbródek,

- Potem George pracował w sklepie wielobranżowym u niejakiego Sutcliffa w Simi. Sklep prowadził sprzedaż kredytów, gdzie każdy klient miał swoją książeczkę i George'owi sprawiało kłopot wpisywanie sum do tych książeczek. Albo zapominał ich wpisać, albo wpisywał je do złych książeczek i jedni klienci domagali się poprawek, a inni machali na to ręką. Więc w końcu Sutcliff pomyślał, że może George nada się lepiej do jakiejś innej pracy i George przyjechał do Los Angeles. Miał trochę uciulanych pieniędzy, niewiele, ale dość, aby uzyskać licencję, złożyć kaucję i postarać się o jakieś tanie biuro. Byłem tam, mała klitka z biurkiem, którą dzielił z facetem trudniącym się jakoby

sprzedają kart świątecznych. Nazywa się Marsh. Umówili się, że jak George będzie miał klienta, Marsh wyjdzie na spacer. Marsh mówi, że nie wie, gdzie George mieszkał, i że nie widział, aby miał klientów. To znaczy, że o ile mu wiadomo, żaden klient nigdy się nie pokazał w biurze. Ale George umieścił w prasie ogłoszenie i mógł mieć klienta z tego ogłoszenia. Chyba nawet na pewno, bo mniej więcej tydzień temu Marsh znalazł na biurku karteczkę, że George na kilka dni wyjeżdża z miasta. To była ostatnia wiadomość, jaką Marsh miał o nim. Więc George udał się na Court Street i przedstawivszy się jako George Anson wynajął mieszkanie, a następnie dostał pałką w łeb i został zastrzelony. To wszystko, co wiemy dotychczas o George'u. Dość żałosny przypadek. — Skierował na mnie swoje beznamienne spojrzenie.

- A co z tym ogłoszeniem? — spytałem.

Breeze odstawił szklanę, wygrzebał z portfela malutki wycinek z gazety i położył na stoliku koktajlowym. Podszedłem, wziąłem wycinek i przeczytałem: „Po co się dręczyć? Żyć u niepewności i z wątpliwościami? Przeżywać męczarnie podejrzeń? Wystarczy zasięgnąć porady u troskliwego, opanowanego, dyskretnego i zaufanego detektywa. George Anson Phillips. Tel. Glenview 9521”.

Położyłem wycinek z powrotem na stole.

- Wcale nie gorsze od innych ogłoszeń prasowych — rzekł Breeze. — Nie wydaje się obliczone na bogatą klientelę.

- Napisała mu je dziewczyna z biura ogłoszeń — wtrącił Spangler. — Mówiła, że ledwie powstrzymywała się od śmiechu, ale George uznał, że jest świetne. Z biura ogłoszeń „Chronicle” przy Hollywood Boulevard.

- Szybko to sprawdziliście — zauważyłem.

- Na ogół nie mamy trudności z uzyskaniem informacji — rzekł Breeze. — Chyba tylko od ciebie.

- A co z Henchem?

- Nic. On i ta dziewczyna urządzili sobie popijawę. Trochę pili, trochę śpiewali, trochę się bili i słuchali radia i co jakiś czas wychodzili coś zjeść, kiedy im przysłała ochota. To musiało chyba trwać od wielu dni. Dobrze, że im

przerwaliśmy tę zabawę. Dziewczyna ma podbite oczy, W następnym starciu

Hench mógł jej skrócić kark. Pełno jest takich trutniów na świecie jak ten Hench... i jego dziewczyna.

- A co z tym pistoletem, do którego Hench się nie przyznaje?

- To właśnie ten. Nie mamy jeszcze kuli, ale mamy łuskę. Leżała pod ciałem George'a i pasuje. Wystrzeliliśmy jeszcze kilka naboí i porównaliśmy ślady zrobione przez wyrzutnik i zagłębienia od iglicy.

- Wierzysz, że ktoś wsadził go Henchowi pod poduszkę?

- Pewnie. Po co Hench miałby zabijać Philipa? Nie znał go.

- Skąd wiesz?

- Wiem — rzekł Breeze rozkładając ręce. — Słuchaj, są rzeczy, o których się wie, ponieważ ma się je wypisane czarno na białym. I są rzeczy, które się wie, bo są racjonalne i nie mogą być inne. Jeśli się kogoś zabija, to potem nie robi się szumu ściągając na siebie uwagę i nie trzyma się pistoletu pod poduszką, Ta dziewczyna była z Henchem cały dzień. Gdyby Hench kogoś zastrzelił, musiałaby o tym wiedzieć. A jej nawet nie przyszło to do głowy. Inaczej na pewno by się wygadała. Czym jest dla niej Hench? Facetem do zabawy, niczym więcej. Słuchaj, nie mówmy o Henchu. Ten, który zabił George'a, usłyszał radio nastawione na pełny regulator i wiedział, że ono stłumi strzał. Mimo to ogłuszył najpierw George'a, zawlókł do łazienki i zamknął za sobą drzwi, zanim strzelił. Nie mógł być pijany. Działał fachowo i ostrożnie. Wyszedł, zamknął drzwi łazienki i wtedy radio przestało grać, i Hench, i dziewczyna wyszli, żeby coś zjeść. Zdarzają się takie zbiegi okoliczności.

- Skąd wiesz, że radio przestało grać?

- Mówiono mi — odparł Breeze spokojnie. — W tej spelunie mieszkają jeszcze inni ludzie. Założmy, że przestało grać i Hench z dziewczyną wyszli. Na pewno nie po cichu. Morderca wyszedł z mieszkania George'a i zobaczył, że drzwi Hencha są otwarte. Musiały być otwarte, bo inaczej nie przyszłoby mu do głowy, żeby wejść do mieszkania.

- Ludzie nie zostawiają otwartych drzwi w blokach

mieszkalnych. Zwłaszcza w takiej dzielnicy jak ta.

- Pijakom się to zdarza. Są niedbali i rozkojarzeni. I nie mogą myśleć o dwóch rzeczach naraz. Drzwi były otwarte, może tylko lekko uchylone, ale zawsze. Morderca wszedł, wsunął rewolwer pod poduszkę i znalazł przypadkiem drugi. Zabrał go więc z sobą, żeby tym większe podejrzenie rzucić na Hencha.

- Możecie go sprawdzić — powiedziałem.

- Co? Rewolwer Hencha? Spróbujemy, ale Hench mówi, że nie pamięta numeru. Jeśli znajdziemy, może się uda coś zrobić. Ale wątpię. Spróbujemy sprawdzić ten pistolet, który mamy, ale wiesz, jak to bywa. Idziesz po śladach i myślisz, że już, już jesteś u celu, a tu nagle ślad się kończy. Ślepy zaułek.

Jest jeszcze coś, w czym moglibyśmy ci pomóc w twojej pracy?

- Czuje się zmęczony — odparłem. — Moja wyobraźnia nie pracuje tak, jak bym chciał.

- Jeszcze przed chwilą pracowała znakomicie — powiedział Breeze. — W związku ze sprawą Cassidy'ego.

Nie odpowiedziałem. Nabiałem fajkę ponownie, ale była jeszcze za gorąca, aby móc zapalić. Położyłem ją na brzegu stołu, żeby ostygła.

- Bóg mi świadkiem, że nie bardzo wiem, co z tobą zrobić — rzekł Breeze powoli. — Nie wyobrażam sobie, abyś mógł rozmyślnie coś ukrywać w sprawie dotyczącej morderstwa. A jednocześnie nie wydaje mi się, abyś mógł tak mało o tym wszystkim wiedzieć.

Znów nic nie powiedziałem.

Breeze pochylił się i póty okręcał cygaro w popielniczce, póki go nie zgasił. Dopił swoją szklankę, włożył kapelusz i wstał.

- Długo zamierzasz milczeć? — spytał.

- Nie wiem.

- To ja ci pomogę z tego wybrnąć. Daję ci czas do jutra, do południa. Więcej niż dwanaście godzin. I tak nie zdążą mi do tej pory dostarczyć raportu z sekcji zwłok. Daję ci ten termin, abyś mógł omówić sprawę z klientem i zdecydować się na

ujawnienie sprawy.

- A po tym terminie?

- Po tym terminie pójde do szefa Wydziału Detektywistycznego i powiem, że prywatny detektyw nazwiskiem Philip Marlowe wzbrania się przed udzieleniem informacji potrzebnych mi do śledztwa w sprawie o morderstwo. I co się stanie?

Myślę, że on cię potrafi tak przycisnąć, że popamiętasz.

- Aha — powiedziałem. — Przetrzęsnelście biurko Phillipsa?

- No pewnie. Bardzo pedantyczny młody człowiek. Nic tam nie było, oprócz czegoś w rodzaju dzienniczka. W dzienniczku też tylko takie sobie rzeczy, że chodził na plażę albo był z jakąś dziewczyną w kinie i nic z tego nie wyszło. Albo że siedział w biurze i żaden klient się nie zjawił. Kiedyś oburzył się na swoją pralnię i zapisał całą stronę. Bo przeważnie zapisywał tylko po parę linijek. Jedno jest tylko ciekawe. Pisał to wszystko drukowanymi literami.

- Drukowanymi literami?

- Tak. Piórem i atramentem. Nie takimi ogromnymi, kiedy ludzie nie chcą się zdradzić charakterem pisma. Ale małymi równymi literkami, jakby ten sposób pisania był dla niego równie łatwy, jak każdy inny.

- Nie użył drukowanego pisma na wizytówce, którą mi dał.

Breeze zastanowił się chwilę. Potem kiwnął głową,

- Prawda. I dzienniczek nie był podpisany. Może to pismo to była tylko taka zabawa.

- Jak stenogram Pepysa — powiedziałem.

- Co to takiego?

- Dziennik, który pewien człowiek pisał bardzo dawno te mu stosując własną metodę stenografowania.

Breeze spojrzal na Spanglera, który wstawszy z fotela dopił ostatnie krople ze szklanki.

- Lepiej uciekajmy — powiedział. — Facet się szykuje do opowiedzenia jakiejś nowej sprawy Cassidy'ego.

Spangler odstawił szklankę i obaj ruszyli ku drzwiom. Breeze zaszurał nogą i z ręką na klamce spojrzal na mnie

ukosa.

- Znasz jakieś wysokie blondynki?

- Musiałbym pomyśleć — odparłem. — Chyba tak. Bardzo wysoka?

- Po prostu wysoka. Nie wiem, jak bardzo. Tyle tylko, że mogłaby się wydać wysoka facetowi, który sam jest wysoki. Właścicielem tej kamienicy na Court Street jest makaroniarz nazwiskiem Palermo. Poszliśmy odwiedzić go w salonach pogrzebowych po drugiej stronie ulicy. One też należą do niego. Mówił, że widział wysoką blondynkę, jak wychodziła z kamienicy około wpół do czwartej. Dozorca Passmore nie zna żadnej wysokiej blondynki w tej kamienicy. Makaroniarz mówi, że to była istna lala. Przywiązuję dużą wagę do tego, co on mówi, bo dał mi dobry opis ciebie. Nie widział, jak ta wysoka blondynka wchodziła, tylko jak wychodziła. Była w spodniach, sportowym żakiecie i z opaską na włosach. Ale pod tą opaską miała jasnoblond włosy i to bardzo bujne.

- Nikt taki nie przychodzi mi na myśl • powiedziałem. — Ale przypomniałem sobie właśnie coś innego. Zapisałem na kopercie numer dowodu rejestracyjnego samochodu Phillipsa. To może wam pomóc w odnalezieniu jego poprzedniego adresu. Zaraz ci go dam. — Obaj policjanci stali czekając, a ja poszedłem do sypialnego, żeby wziąć kopertę z kieszeni marynarki. Podałem ją Breeze'owi, a on przeczytał i schował do portfela.

- Więc dopiero teraz sobie o tym przypomniałeś, co?

- Tak.

- No, no — powiedział. — No, no. — Ruszyli obaj korytarzem w stronę windy kręcąc głowami.

Zamknąłem drzwi i wróciłem do swojej ledwie napoczętej szklanki, Napój stał się niesmaczny. Zaniósłem go do kuchni i wzmocniłem dolewając whisky. Stałem ze szklanką w ręku i patrzyłem na eukaliptusy, których giętkie czubki poruszały się na tle ciemnogramatowego nieba. Wiatr chyba znów się wzmógł. Walił w północne okno i słychać było powolne łomotanie w ścianę domu, jakby jakiś gruby drut uderzał w tynk między izolatorami.

Spróbowałem drinka i pożałowałem, że wzmocniłem go świeżą whisky. Wylałem wszystko do zlewu, wziąłem czystą szklanę i napiłem się wody z lodem.

Dwanaście godzin na opanowanie sytuacji, w której nie zacząłem się jeszcze nawet wyznawać. W przeciwnym razie mam ujawnić klientkę, pozwolić policji, aby zaczęli się znęcać nad nią i jej rodziną. Złóż sprawę w ręce Marlowe'a, a w twoim domu zaroi się od policji. Po co się dręczyć? Żyć w niepewności i z wątpliwościami? Wystarczy zasięgnąć rady u wstawionego, niedbałego, niedołęznego rozwiązłego agenta, Philipa Marlowe, Glenview 7537. Przyjdź, a spotkasz najlepsze gliny w mieście. Po co rozpaczać? Uskarżać się na samotność? Zadzwoń do Marlowe'a i czekaj na pełen wóz policjantów.

Ale ta zabawa też mi nic nie dała. Wróciłem do pokoju i zapaliłem fajkę, która zdążyła już ostygnąć. Wciągnąłem wolno dym, ale wciąż mi nie smakował, przypominał zapach rozgrzanej gumy. Odłożyłem fajkę i stałem na środku pokoju odciągając dolną wargę palcami i strzelając nią o zęby.

Zadzwoił telefon. Podniosłem słuchawkę i burknąłem coś.

- Marlowe? — usłyszałem chrapliwy szept. Ten sam chrapliwy szept, który słyszałem przedtem.

- Dobra — powiedziałem. — Ktokolwiek jesteś, gadaj, co masz gadać. Komu tym razem wsadziłem rękę do kieszeni?

- Jak jesteś sprytny, koleś — mówił chrapliwym szeptem — To możesz podreperować własną.

- Bardzo?

- Powiedzmy na jakieś pół patola.

- To świetnie — powiedziałem. — Za co?

- Za frajer — odparł. — Chcesz o tym pogadać?

- Gdzie, kiedy i z kim?

- Klub Idle Valley. Morny. Kiedy tylko przyjedziesz.

- A kto ty jesteś?

W słuchawce rozległ się stłumiony chichot.

- Zapytaj przy bramie o Eddie'ego Prue. — Wyłączył się. Odłożyłem słuchawkę.

Było blisko wpół do dwunastej, kiedy wyjechałem na tylnym biegu z garażu i ruszyłem ku Przełęczy Cahuenga.

Jakieś trzydzieści kilka kilometrów na północ od przełęczy szeroki bulwar z kwitnącym mchem na poboczach zawracał ku wzgórzom. Ciągnął się jeszcze przez około pięć przecznic i tu się kończył – bez jednego domu na całej swej długości. Od jego krańca biegła wijąc się między wzgórzami asfaltowa droga. To zaczynała się Idle Valley.

Za grzbietem pierwszego wzgórza, przy drodze, stał niski biały budynek pokryty dachówką. Miał osłoniętą dachem werandę, a na niej oświetlony krzyżowym światłem reflektorów napis: „Posterunek Straży Idle Valley”. Brama była otwarta, a na środku drogi stała ukośnie biała kwadratowa tablica z napisem STOP, zaznaczonym światłami odblaskowymi. Inne reflektory oświetlały odcinek drogi przed znakiem.

Zatrzymałem się. Mężczyzna w mundurze, z gwiazdą i przypasanym rewolwerem w olstrze z plecionej skóry, spojrzał na mój samochód, a potem na tablicę na słupie. Podeszedł do mnie.

- Dobry wieczór. Nie mam w spisie pana samochodu. To prywatna droga. Pan do kogoś z wizytą?

- Do klubu.

- Do którego?

- Idle Valley.

- Osiemdziesiąt Siedem Siedemdziesiąt Siedem. Tak go tutaj nazywamy. Chodzi o lokal pana Morny'ego?

- Tak jest.

- Nie jest pan zapewne członkiem?

- Nie.

- Musi pan powołać się na kogoś, kto jest członkiem klubu albo tutaj mieszka. To prywatna własność, pan rozumie.

- Żadnych intruzów, co?

Uśmiechnął się.

- Żadnych.

- Nazywam się Philip Marlowe – powiedziałem. – Jadę do

pana Eddie'ego Prue.

- Prue?

- On jest sekretarzem pana Morny'ego. Albo czymś takim.

- Proszę chwileczkę zaczekać.

Podszedł do drzwi budynku i coś powiedział. Inny mężczyzna w mundurze, siedzący wewnątrz, włączył wtyczkę telefoniczną, zorientowałem się, że klub miał wewnętrzne telefony. Jakiś samochód stanął za moim i zaczął trąbić. Z otwartych drzwi budynku dolatywał stukot maszyny do pisania. Mężczyzna, z którym rozmawiałem, spojrzał na trąbiący samochód i machnięciem ręki zezwolił na przejazd. Samochód prześliznął się obok mnie i pomknął w ciemność — długi, zielony kabriolet z odsłoniętym dachem i trzema chyba podchmielonymi dziewczynami na przednim siedzeniu — papierosy w zębach, łukowate brwi, pewne siebie miny. Samochód błysnęło światłami na zakręcie i znikł.

Człowiek w mundurze wrócił i oparł się ręką o drzwiczki samochodu.

- Może pan jechać, panie Marlowe. Proszę się zgłosić u oficera w klubie. Jakies półtora kilometra stąd, po prawej stronie. Jest tam oświetlony parking i numer na ścianie. Tylko numer. Osiemdziesiąt Siedem Siedemdziesiąt Siedem. Proszę się zgłosić u oficera.

- Po co?

Był bardzo spokojny, bardzo grzeczny i bardzo stanowczy.

- Musimy wiedzieć dokładnie, gdzie pan jest. Jest czego pilnować w Idle Valley.

- A gdybym się nie zgłosił?

- Pan żartuje? — powiedział ostrym, bezwzględny tonem.

- Nie. Po prostu chcę wiedzieć.

- Kilka wozów patrolowych ruszyłoby zaraz na poszukiwanie.

- Po ilu ludzi w wozie?

- Bardzo mi przykro — odparł. — Półtora kilometra stąd, po prawej stronie.

Spojrzałem na jego przypasany do bioder rewolwer, specjalną odznakę przypiętą do koszuli.

- I to się nazywa demokracja — powiedziałem.

Obejrzał się za siebie, splunął na ziemię i oparł się o drzwiczki samochodu.

- Nie jest pan odosobniony — szepnął. — Znałem takiego, co należał do klubu malkontentów. To było na Boyle Heights.

- No właśnie — powiedziałem.

- Niezadowoleni zawsze sprawiają dużo kłopotu. To nie najprzyjemniejszy gatunek ludzi.

- Zgadza się — przyznałem.

- Aż drugiej strony — ciągnął — czy ci ludzie mogą być gorsi od zgrai bogaczy, którzy tu mieszkają?

- Może pan sam tutaj kiedyś zamieszka.

Splunął jeszcze raz.

- Nie mieszkałbym tutaj, choćby mi płacili pięćdziesiąt tysięcy na rok i dali sypiać w szyfonowej piżamie, ze sznurem prawdziwych pereł na szyi.

- Nie będę nawet próbował panu proponować.

- Niech mi pan zaproponuje — rzekł. — Choćby teraz zaraz. To pan zobaczy.

- No, to już pojedę i zgłoszę się u oficera w klubie.

- Niech mu pan powie, żeby sobie napluł przez lewą nogawkę. Niech mu pan powie, że ja tak mówiłem.

- Dobrze — obiecałem.

Od tyłu nadjechał jakiś samochód i zatrąbił. Ruszyłem. Ciemna długa limuzyna zdmuchnęła mnie klaksonem na pobocze i wyprzedziła z szelestem jakby spadających liści.

Tutaj nie było wiatru i księżyc świecił tak ostro, że cienie wyglądały jak wycięte grawerskim narzędziem, za zakrętem zobaczyłem dolinę jak na dłoni. Tysiąc białych domów na zboczach i stokach, dziesięć tysięcy okien gwiazdy świecące nad nimi grzecznie, nic za blisko, w obawie przed patrolami.

Ściana klubu od strony drogi pusta i biała, bez żadnych drzwi lub okien w części parterowej. Świecił tylko jasno nieduży, fiołkowy neon z numerem 8777. Nic ponadto. Z boku, pod szeregami osłoniętych, świecących w dół światel, stały rzędy samochodów oddzielonych białymi liniami na czarnym, gładziutkim asfalcie. W światłach kręciła się służba w

świeżutkich jak prosto spod igły uniformach.

Droga prowadziła na tyły budynku klubowego. Był tam głęboki betonowy taras przykryty dachem ze szkła i chromu, ale z przyćmionymi światłami. Wysiadłem z samochodu, otrzymałem karteczkę z numerem mego samochodu, podszedłem z nią do małego biureczka, za którym siedział mężczyzna w mundurze, i położyłem ją przed nim.

- Philip Marlowe — powiedziałem. — Gość.

- Dziękuję panu. — Zapisał sobie nazwisko i numer, oddał mi karteczkę i podniósł słuchawkę telefonu.

Murzyn w białym płóciennym mundurze gwardzisty, ze złotymi epoletami i w czapce z szerokim złotym otokiem, otworzył mi drzwi.

Hall wyglądał jak dobrze dofinansowany music-hall. Mnóstwo świateł i błyskotek, bogata oprawa sceniczna i dźwiękowa, wspaniałe stroje, doborowy zespół aktorski i akcja posiadająca tyle rozmachu i oryginalności, co kot napłakał. W pięknym, łagodnym świetle ukrytych lamp ściany pięły się jakby w nieskończoność, ginąc wśród roju lubieżnych gwiazd, które naprawdę mrugały. Dywan był tak puszysty, że bez szcudeł trudno było po nim stąpać. W głębi mieściły się schody pod łukowatym sklepieniem, zdobione chromem i białą emalią, o wyściełanych dywanem niskich a szerokich stopniach. U wejścia do sali restauracyjnej stał krępy maitre d'hôtel z saftynowymi, prawie pięciocentymetrowymi lamпасami na spodniach i plikiem złożonych menu pod pachą. Miał twarz, która bez poruszenia jednego mięśnia mogła zmienić się od uprzejmego uśmiechu do lodowatej furii.

Wejście do baru znajdowało się po lewej stronic. Był on mroczny i cichy i barmani poruszali się jak ómy na tle słabego odbłasku szkieł. Wysoka przystojna blondynka w sukni, która wyglądała jak morska woda posypana złotym pyłem, wyszła z damskiej toalety poprawiając szminką wargi i nucąc coś skierowała się ku schodom. Płynęły stamtąd dźwięki rumbi i blondynka poruszała złotą główką do taktu i uśmiechała się. Czekał na nią niski, gruby mężczyzna o czerwonej twarzy i błyszczących oczach, z białym szalem przewieszonym przez

rękę. Wpił się palcami w jej nagie ramię i uniósłszy głowę łypnął na nią lubieżnie.

Szatniarka w chińskiej piżamie koloru kwiatu brzoskwini podeszła, żeby wziąć ode mnie kapelusz, i spojrzała z dezaprobatą na moje ubranie. Po schodach zeszła dziewczyna sprzedająca papierosy. Miała we włosach kitkę z piór, a całe jej ubranie dałoby się schować pod wykałaczką. Oczy jej były niepokojące jak grzech, jedna śliczna, długa noga była srebrna, a druga złota. Miała ów niewypowiedzianie wzgardliwy wyraz twarzy damy, która umawia się na randki tylko za pośrednictwem centrali międzymiastowej.

Wszedłem do baru i usiadłem na pokrytym skórą a wypchanym puchem stołku. Szklanki podzwaniały cichutko, lampy rzucały łagodny blask, ciche głosy szeptały o miłości, dziesięcioprocentowych zyskach czy o czym się tam szepce w podobnych lokalach.

Wysoki, przystojny mężczyzna w szarym ubraniu, które mu szyli chyba sami aniołowie, wstał nagle od stolika przy ścianie, podszedł do baru i zaczął besztać jednego z barmanów. Klął go długą chwilę dźwięcznym, wyraźnym głosem,

używając przynajmniej dziewięciu słów, jakich zwykle wysocy, przystojni mężczyźni w świetnie skrojonych szarych ubraniach używają. Wszyscy przerwali rozmowę i patrzyli na niego w milczeniu. Jego głos przebijał się przez stłumione dźwięki sali jak szufla przez śnieg.

Barman stał jak skamieniały i patrzył na mężczyznę. Miał kręcone włosy, gładką skórę o ciepłym odcieniu i szeroko osadzone, uważne oczy. Nie poruszył się i nie odezwał ani słowem. Wysoki skończył go besztać i wyszedł z baru. Wszyscy odprowadzili go wzrokiem z wyjątkiem barmana, który wolno przeszedł w ten koniec baru, gdzie siedziałem, i stanął nie patrząc na mnie z twarzą nieprzeniknioną, bladą. Potem zwrócił się mnie i spytał:

- Słucham pana.

- Chciałbym porozmawiać z kimś, kto się nazywa Eddie Prue.

- No więc?

- On tu pracuje — powiedziałem.
- Ale co robi? — Jego głos był absolutnie obojętny i suchy jak suchy piasek.
- Jest chyba tym, który nie odstępuje ani na krok od szefa. Jeśli pan wie, co mam na myśli.
- Ach,. Eddie Prue. — Ściągnął wolno górną wargę i przetarł kontuar ściereczką robiąc nią małe kółka. — Pana nazwisko?
- Marlowe.
- Marlowe. Napije się pan czegoś?
- Wytrawne martini.
- Martini. Wytrawne. — I dodał afektowanym tonem: — Bardzo, bardzo wytrawne.
- Dobra.
- Zje go pan łyżeczką czy podać nóż i widelec?
- Pokrajać w paski. Będę jadł palcami.
- Po drodze do szkoły — rzekł. — Wrzucić oliwkę do torebki?
- Cisnąć mi nią w nos — powiedziałem. — Jeśli to panu ulży.
- Dziękuję panu — rzekł. — Wytrawne martini.
- Odszedł trzy kroki, a potem wrócił, nachylił się ku mnie i wyjaśnił:
- Pomyliłem się przyrządzając napój. Ten dżentelmen właśnie mi to wypomniał.
- Słyszałem.
- Załatwił to tak, jak dżentelmeni zwykle załatwiają takie sprawy. Wielcy dyrektorzy bardzo lubią wytykać komuś drobne błędy. Pan słyszał.
- Słyszałem — przytaknąłem zastanawiając się, jak długo jeszcze będzie to trwało.
- Mówił tak, że wszyscy słyszeli, A ja zachowałem się obraźliwie wobec pana.
- Rozumiem — powiedziałem.
- Podniósł w górę palec i zaczął mu się przyglądać w zamyśleniu.
- Tak ni stąd, ni zowąd. Wobec zupełnie obcego człowieka.
- Wszystkiemu winne moje piwne oczy — rzekłem. — Mają łagodny wyraz.

- Dziękuję przyjacielu — powiedział i odszedł.

Zobaczyłem, jak rozmawia przez telefon w drugim końcu baru, a potem przygotowuje mi koktajl w shakerze. Kiedy wrócił z koktajlem, był już zupełnie spokojny.

18

Zaniosłem koktajl na mały stolik przy ścianie, usiadłem i zapaliłem papierosa. Minęło pięć minut. Muzyka dolatująca zza przepierzenia niepostrzeżenie zmieniła tempo. Jakaś dziewczyna zaczęła śpiewać. Miała głęboki kontralt, bardzo przyjemny dla ucha, Śpiewała „Oczy czarne”, a towarzysząca jej orkiestra akompaniowała jej usypiająco. Kiedy skończyła, rozległy się burzliwe oklaski i trochę gwizdów.

Mężczyzna, siedzący przy stoliku obok, powiedział do swojej dziewczyny: Linda Conquest zaczęła znowu występować z tutejszą orkiestrą. Podobno wyszła za mąż za jakiegoś bogacza z Pasadeny, ale małżeństwo okazało się nieudane.

- Ładny głos — zauważyła dziewczyna. — Jeśli ktoś lubi sentymentalne pieśniarki.

Chciałem wstać, ale na mój stolik padł cień i zobaczyłem przed sobą mężczyznę. Facet był wysoki jak szubienica i miał zniszczoną twarz i szkliste prawe oko ze skrzepłą tęczówką i tępym wyrazem znamionującym ślepotę. Był tak wysoki, że musiał się schylić, żeby położyć rękę na oparciu krzesła. Stał taksując mnie spojrzeniem, a ja siedziałem, kończyłem martini i słuchałem kontraltu wykonującego nową pieśń. Tutejsi bywalcy zapewne lubili sentymentalną muzykę. Być może byli zmęczeni wyścigiem z czasem tam, gdzie pracowali.

- Jestem Prue — rzekł wysoki mężczyzna chrapliwym szeptem.

- Właśnie tak myślałem. Chcesz porozmawiać ze mną, a ja z tobą i jeszcze z tą dziewczyną, co akurat śpiewa.

- Chodźmy.

Z tyłu, za barem, były zamknięte na zatrask drzwi. Prue otworzył je i przytrzymał puszczając mnie przodem. Z lewej strony były wyłożone chodnikiem schody i weszliśmy po nich

na górę. Długi, prosty korytarz z kilkorgiem zamkniętych drzwi. W końcu korytarza jasna gwiazda mrugała przez drucianą siatkę w oknie. Prue zapukał do drzwi w pobliżu okna, otworzył je i odstepił na bok, żebym mógł wejść pierwszy. Był to przytulny gabinet, nie za wielki. W rogu, koło przeszklonych aż do podłogi drzwi od tarasu, mieściła się wbudowana kanapa w kształcie litery L. Koło niej, zwrócony tyłem do pokoju, stał mężczyzna w białym smokingu i wyglądał na dwór. Był siwy. W pokoju znajdował się jeszcze wielki czarny i świecący chromem sejf, kilka segregatorów, duży globus na podstawce, mały barek w ścianie i zwykle szerokie i masywne dyrektorskie biurko ze zwykłym krytym skórą fotelem z wysokim oparciem.

Spojrzałem na ozdoby stojące na biurku. Wszystko standardowe i wszystko mosiężne. Mosiężna lampka, przybory do pisania i podstawka na ołówki, szklana i oprawna w mosiądz popielniczka z mosiężnym słoniem stojącym na krawędzi, mosiężny nóż do rozcinania kopert, mosiężny termos na mosiężnej tacy, mosiężne rogi bibularza, W mosiężnej wazie bukiet groszków koloru zbliżonego do mosiądzu.

Za dużo tego mosiądzu jak na mój gust. Mężczyzna odwrócił się. Mógł mieć pod pięćdziesiątkę, zauważyłem, że jego gęste włosy są popielatoszarego koloru, a twarz przystojna i nie ma w niej nic niezwykłego prócz małej fałdzistej blizny na lewym policzku, która wyglądała niemal jak dość głęboki dołeczek. Przypomniałem sobie tę bliznę. Przypomniałem sobie, że widziałem tego człowieka kiedyś dawno, co najmniej dziesięć lat temu, w filmie. Nie pamiętałem filmu ani o czym był ten film i jaką ten człowiek grał w nim rolę, ale pamiętałem ciemną, przystojną twarz i fałdzistą bliznę. Miał wówczas ciemne włosy.

Podszedł do biurka, usiadł, wziął nóż do otwierania listów i zaczął postukiwać jego ostrzem w opuszkę kciuka. Spojrzał na mnie bez wyrazu i spytał:

- Pan Marlowe?

Kiwnąłem głową.

- Niech pan siada. — Usiadłem. Eddie Prue usiadł opodal przy ścianie i zaczął się bujać na dwóch nogach krzesła.

- Nie lubię wścibskich — powiedział Morny.

Wzruszyłem ramionami.

- Nie lubię ich z wielu powodów — ciągnął. — Nigdy ich nie lubilem i w żadnych okolicznościach. Nie lubię, jak naprzykrzają się moim przyjaciołom. Nie lubię, jak nachodzą moją żonę.

Nie odezwałem się.

- Nie lubię, jak wypytują mego kierowcę ani jak stawiają się moim gościom — mówił.

Nie odzywałem się nadal.

- Krótko mówiąc — rzekł — po prostu ich nie lubię.

- Zaczynam pojmować, o co panu chodzi — powiedziałem.

Zaczerwienił się i oczy mu błysnęły.

- A z drugiej strony — ciągnął — właśnie teraz pan może mi się przydać. Może się panu opłaci dojść ze mną do porozumienia. Może to niezła myśl. Może pan na tym skorzysta.

- Ile na tym skorzystam? — spytałem.

- Bardzo dużo... na czasie i zdrowiu.

- Zdaje się, że już słyszałem gdzieś tę płytę — powiedziałem.

— Tylko nie mogę przypomnieć sobie nazwy.

Położył nóż do rozcinania listów, otworzył drzwiczki biurka i wyjął karafkę z rżniętego kryształu. Nalał trochę płynu do kieliszka, wypił, zatkał karafkę korkiem i wstawił z powrotem do biurka.

- W mojej branży — powiedział — takich mocnych ceni się dycha za tuzin, a tych, którym się wydaje, że są mocni, po piątce za gros. Niech pan pilnuje swego nosa, a ja swego, to będziemy żyli w zgodzie. — Zapalił papierosa. Ręka mu trochę drżała.

Spojrzałem w drugą stronę pokoju, na wysokiego mężczyznę, który siedział na odchylonym w tył krześle przy ścianie jak wsiowy próżniak w sklepiu. Tkwił bez ruchu, z rękami zwieszonymi wzdłuż boków, a jego szara, pomarszczona twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

- Ktoś mi napomykał o pieniądzach — zwróciłem się do Morny'ego. — Za co? Bo wiem, do czego zmierza ta

dotychczasowa gadka. Pan usiłuje wmówić w siebie, że zdoła mnie nastraszyć.

- Mów pan tak dalej — rzekł Morny — a będzie pan miał guziki z ołowiu przy kamizelce.

- Niewiarygodne — powiedziałem. — Biedny Marlowe z ołowianymi guzikami przy kamizelce.

Eddie wydał suchy gardłowy dźwięk, który można by wziąć za chichot.

- A co do pilnowania własnego nosa — dodałem — niewykluczone, że zahaczy on nieco o pana. Wcale nie z mojej winy.

- Niech lepiej nie zahacza — rzekł Morny. — W jaki sposób? — Uniósł szybko wzrok i zaraz opuścił go znowu.

- No, na przykład, słyszał pan, jak ten tu osiłek dzwonił do mnie i próbował mnie nastraszyć. A potem, wieczorem, zadzwonił znowu i mówił coś o pięciu stówach i jak to ja na tym skorzystam, jeśli tu przyjadę i porozmawiam z panem. I jeszcze ten sam osiłek albo ktoś bardzo do niego podobny — co się wydaje niemożliwe — śledził pewnego człowieka z mojej branży i tak się złożyło, że człowiek ten został zastrzelony dziś po południu przy Court Street na Bunker Hill.

Morny wyjął z ust papierosa i mrużąc oczy spojrzał na jego koniuszek. Każdy jego ruch, każdy gest był prosto z żurnala.

- Kto został zastrzelony?

- Człowiek nazwiskiem Phillips, taki młody blondyn. Nie podobałby się panu. Był wścibski. — Opisałem mu Phillipsa.

- Nigdy o nim nie słyszałem — rzekł Morny.

- I widziano jeszcze, jak w chwilę po zabójstwie z domu Phillipsa wychodziła pewna wysoka blondynka — dodałem.

- Jaka wysoka blondynka? — Głos mu się nieco zmienił. Zabrzmiał w nim niepokój.

- Tego nie wiem. W każdym razie ją widziano i człowiek, który ją widział, mógłby ją zidentyfikować. Oczywiście, nie jest wcale powiedziane, że ta kobieta musi mieć coś wspólnego z Phillipsem.

- Ten Phillips był prywatnym detektywem?.

Kiwnąłem głową.

- Mówiłem panu dwa razy.

- Dlaczego został zabity i w jaki sposób?

- Został ogłuszony pałką i zastrzelony w swoim mieszkaniu. Nic wiemy czemu. Gdybyśmy wiedzieli, wiedzielibyśmy też prawdopodobnie, kto go zabił. Tak się przedstawia sytuacja.

- „My”, to znaczy kto?

- Policja i ja. Ja znalazłem zabitego. Muszę więc współdziałać.

Prue opuścił cicho przednie nogi krzesła na dywan i spojrzał na mnie. Jego zdrowe oko miało senny wyraz, który mi się nie podobał.

- Co pan powiedział glinom? — spytał Morny.

- Bardzo mało. Sądząc z pana wstępnych uwag, wie pan, że szukam Lindy Conquest. Żony Leslie Murdocka. Znalazłem ją. Ona tu śpiewa. Nie widzę powodu, żeby robić z tego tajemnicy. Pana żona i pan Vannier mogli mi to powiedzieć. Ale nie powiedzieli.

- Moja żona nie odpowiada na pytania wścibskich — oświadczył.

- Z pewnością ma swoje powody — powiedziałem. — Ale to już nie jest takie ważne. Właściwie nie jest nawet ważne, abym rozmawiał z panią Conquest. A mimo to chciałbym z nią porozmawiać. Jeśli pan nie ma nic przeciwko temu.

- Przypuśćmy, że mam — rzekł Morny.

- Mimo wszystko chciałbym z nią porozmawiać — odparłem. Wyjąłem papierosa i obracając go w palcach podziwiałem gęste i wciąż jeszcze ciemne brwi Morny'ego. Miały piękny kształt, szlachetne wygięcie.

Prue zachichotał. Morny spojrzał na niego i zmarszczył brwi, a potem wciąż ze zmarszczonymi brwiami popatrzył na mnie.

- Pytałem, co pan powiedział glinom?

- Powiedziałem, jak najmniej mogłem. Ten Phillips poprosił mnie, żebym do niego przyszedł. Dał mi do zrozumienia, że się zakopał w jakąś robotę, która mu się nie podoba, i potrzebuje pomocy. Kiedy przyszedłem do niego, już nie żył. Tak powiedziałem policji. Policja nie uwierzyła, że powiedziałem wszystko. I chyba słusznie. Dano mi czas do jutra do południa na uzupełnienie mojej wersji. Więc staram

się ją uzupełnić.

- Stracił pan czas przychodząc tutaj — rzekł Morny.

- Sądziłem, że zostałem zaproszony.

- Może pan każdej chwili iść sobie do diabła! — wykrzyknął Morny. — Albo zrobić coś dla mnie... za pięćset dolarów. A w każdym razie wykluczyć mnie i Eddie'ego ze swoich ewentualnych rozmów z policją.

- Co miałbym zrobić?

- Był pan w moim domu dziś rano. Powinien pan się domyślić.

- Nie zajmuję się sprawami rozwodowymi — powiedziałem. Pobladł.

- Kocham swoją żonę — rzekł. — Jesteśmy zaledwie osiem miesięcy po ślubie. Nie chcę żadnego rozwodu. To wspaniała dziewczyna i wie, co w trawie piszczy. Myślę jednak, że wpadła w złe towarzystwo.

- Pod jakim względem złe?

- Nie wiem. Właśnie chciałbym się dowiedzieć.

- Wyjašnjmy jedną rzecz — powiedziałem. — Czy chce pan mnie wciągnąć do jakiejś pracy... czy odciągnąć od tej, której mam?

Prue zachichotał na swoim krześle pod ścianą. Morny nalał sobie jeszcze koniaku i wypił jednym haustem. Bładość ustąpiła z jego twarzy. Nie odpowiedział na moje pytanie.

- I postawmy drugą sprawę jasno — rzekłem. — Nie przeszkadza panu, że żona się z kimś zabawia, ale nie chce pan, żeby się zabawiała z człowiekiem nazwiskiem Vannier, tak?

- Ufam jej sercu — odparł wolno — ale nie ufam rozsądkowi. Tak można to ująć.

- I chce pan, żebym się wywiedział o tym Manierze?

- Chcę wiedzieć, co on knuje.

- On coś knuje?

- Chyba tak. Nie wiem tylko, co.

- Pan naprawdę myśli, czy... chciałby myśleć, że on coś knuje?

Popatrzył mi chwilę prosto w oczy, a potem wyciągnął

środkową szufladę biurka, sięgnął do jej wnętrza i rzucił w moją stronę złożony papierek. Wziąłem papierek i rozłożyłem. Był to zrobiony przez kalkę duplikat rachunku, „Sp. Akc. Cal-Western. Dostawy materiałów dentystycznych” i adres. Rachunek dotyczył 30 funtów krystobalitu Kerra, 15 dol. 75 centów, i 25 funtów albastonu White'a, 7 dol. 75 centów plus podatek. Wystawiony był na nazwisko H. R. Teager, za pobraniem, i oznaczony stemplem: Zapłacone. W rogu był podpis: L.G. Vannier. Położyłem rachunek na biurku.

- Wypadł mi z kieszeni tego wieczoru, kiedy tu był — rzekł Morny. — Mniej więcej dziesięć dni temu. Eddie przykrył go swoim wielkim butem i Vannier nawet nie zauważył, że go zgubił.

Spojrzałem na Prue, potem na Morny'ego, a potem na swój kciuk.

- Czy ten rachunek ma mieć dla mnie jakieś znaczenie?

- Sądziłem, że jest pan sprytnym detektywem. Myślałem, że pan sam to oceni.

Spojrzałem jeszcze raz na rachunek, złożyłem go i wsunąłem do kieszeni.

- Zakładam, że pan by mi go nie dawał, gdyby on nie miał żadnego znaczenia.

Morny podszedł do lśniącego czernią i chromem sejfu i otworzył go. Po chwili wrócił z pięcioma nowiutkimi banknoty mi rozłożonymi w dłoni jak karty do pokera. Wyrównał ich krawędzie, zaszeleścił nimi i rzucił je na biurko przede mną.

- Oto pięć stów — rzekł. — Niech pan usunie Vanniera z życia mojej żony, a dostanie pan drugie tyle. Wszystko mi jedno, jak pan to zrobi, i nie chcę o tym wiedzieć. Ale niech pan to zrobi.

Postukałem wygłodniałymi palcami w nowiutkie, szeleszczące banknoty, a potem odsunąłem je od siebie..

- Zapłaci mi pan, kiedy — i jeżeli — wywiążę się z zadania — powiedziałem. — Dzisiaj za zapłatę wystarczy mi krótka rozmówka z panią Conquest.

Morny nie dotknął pieniędzy. Wyjął kwadratową karafki i nalał sobie koniaku. Tym razem nalał też i mnie i pchnął

kieliszek w moją stronę.

- A co do tego Phillipsa — powiedziałem — Eddie go śledził. Powie mi pan, czemu?

- Nie.

- Cały kłopot w tym, że w podobnych sprawach informacji może udzielić ktoś inny. Kiedy wiadomość o morderstwie dostanie się do gazet, nigdy nic wiadomo, co wyjdzie na jaw. Jeśli to się wyda, będzie pan winił mnie.

Spojrzał na mnie uważnie i rzekł:

- Nie sędzę. Byłem trochę szorstki wobec pana na początku, ale dobrze się pan zapowiada.

- Dziękuję. A może mi pan powiedziec, czemu kazał pan Eddie'emu zadzwonić do mnie z pogrózkami?

Spuścił oczy i zaczął bębnić palcami po stole.

- Linda jest moją starą przyjaciółką. Młody Murdock był tu u niej dzisiaj po południu. Mówił jej, że pan pracuje dla starszej pani Murdock. Ona zaś z kolei powiedziała to mnie. Nie wiedziałem, w jakim celu pana zaangażowano. Mówi pan, że nie przyjmuje się pan spraw rozwodowych, więc starsza pani nie mogła pana zaangażować w celu rozwiedzenie syna. — Przy tych słowach uniósł wzrok i spojrzał mi w oczy.

Ja też patrzyłem na niego i czekałem.

- Taki już jestem, że lubię swoich przyjaciół — powiedział. Nie chcę, aby ktokolwiek ich niepokoił.

- Murdock jest panu winien trochę pieniędzy, prawda?

Zmarszczył brwi.

- Nie rozmawiam o podobnych sprawach. — Dopił koniak, kiwnął głową i wstał. — Przyślę tu Linde, żeby porozmawiała panem. Niech pan weźmie te pieniądze.

Odwrócił się i wyszedł. Eddie Prue rozwinął swój długi korpus., wstał, obdarzył mnie mglistym, nijakim uśmiechem i podążył za swym szefem.

Zapaliłem drugiego papierosa i raz jeszcze przyjrzałem się rachunkowi ze spółki akcyjnej dostaw materiałów dentystycznych. Coś zaczęło mi świtać. Podszedłem do okna i stałem patrząc na rozciągający się w dole widok. Jakiś samochód piął się z boczem w górę do wielkiego domu z wieżą,

wzniesioną w połowie ze szklanych płyt, przez które prześwitywały światła. Samochód omiótł dom reflektorami i skręcił do garażu. Reflektory zgasły i dolina stała się jakby ciemniejsza. Było teraz bardzo cicho i wreszcie zrobiło się chłodniej. Orkiestra musiała znajdować dokładnie pode mną. Słyszałem jej stłumione dźwięki, ale melodia, którą grała, była nie do odróżnienia.

Przez otwarte drzwi weszła Linda Conquest. Zamknęła je za sobą i stała patrząc na mnie z chłodnym błyskiem w oczach.

19

Wyglądała jak na fotografii i jednocześnie inaczej. Miała te same szerokie zimne usta, krótki nos, te same wielkie zimne oczy, rozdzielone pośrodku głowy ciemne włosy z szeroką białą linią przedziałka. Była w białym płaszczu narzuconym na suknię, z postawionym kołnierzem. Stała z rękami w kieszeniach płaszcza i papierosem w ustach. Wydawała się straszna, oczy jej były surowsze, a usta jakby już zapomniały uśmiechu. Na pewno śmiały się kiedy śpiewała, tym sztucznym, scenicznym uśmiechem. Ale normalnie były wąskie, zaciśnięte i złe.

Podeszła do biurka i stanęła ze spuszczonej oczyma, jakby liczyła mosiężne ozdoby. Spozrzęła karafkę z rżniętego kryształu, wyjęła korek, nalała kieliszek koniaku i jednym szybkim ruchem ręki wlała sobie w usta.

- Pan się nazywa Marlowe? — spytała patrząc na mnie.

Oparła się biodrem o biurko i skrzyżowała nogi.

Odparłem, że tak, nazywam się Marlowe.

- Powiem panu na wstępie, że nie zdoła pan wzbudzić we mnie krzty sympatii. Niech więc pan mówi, co ma do powiedzenia, i spływa.

- Podoba mi się, że wszystko tutaj jest takie typowe — zacząłem. — Strażnik przy bramie, połysk na drzwiach, szatniarki i dziewczęta sprzedające papierosy, ten tłusty lubieżny facet z wysoką przystojną a znudzoną tancerką rewiiową, świetnie ubrany a okropnie chamowaty dyrektor,

który ruga barmana, milczący chłoptaş ze spluwą, siwiejący i o manierach z drugorzędnych filmów właściciel nocnego lokalu, a teraz jeszcze pani., wysoka ciemnowłosa śpiewaczka o drwiącym, niedbałym spojrzeniu, matowym głósie i niewybrednym słownictwie.

- Ach tak? — powiedziała. Włożyła w usta papierosa i zaciągnęła się powoli dymem. — A o szpiclu dowcipnisiu, który opowiada stare kawały z uwodzicielskim uśmiecem, pan zapomniał?

- Jakim więc prawem dostąpiłem zaszczytu rozmowy z panią?

- No właśnie, jakim?

- Ona chce to mieć z powrotem. Ale szybko, bo inaczej będzie źle.

- Myślałam... — zaczęła, i urwała. Patrzyłem, jak skrzętnie usuwa oznakę zainteresowania z twarzy bawiąc się papierosem i pochylając. — Co chce mieć z powrotem, proszę pana?

- Dublon Brashera.

Spojrzała na mnie i skinęła głową, przypomniawszy sobie - wyraźnie okazując mi, że sobie przypomina.

- Ach, Dublon Brashera.

- Zupełnie pani o nim zapomniała, co? — spytałem.

- Nie, nie. Widziałam go szereg razy. Ona chce go mieć z powrotem, pan powiedział. Myśli, że ja go zabrałam?

- Właśnie.

- To podła stara kłamczucha — powiedziała Linda Conquest.

- Jeśli się coś myśli, to nie znaczy zaraz, że się jest kłamcą— odparłem, — Można najwyżej się mylić. Czy ona się myli?

- Po cóż bym brała tę głupią monetę?

- No, cóż? Taka moneta jest warta mnóstwo pieniędzy. Sądziła, że mogła ich pani potrzebować. Nie była nazbyt hojna.

Zaśmiała się krótkim, drwiącym śmiecem.

- Nie była. Pani Elizabeth Brihgt Murdock nie może uchodzić za kobietę hojną.

- Może pani wzięła tę monetę tak tytko, żeby jej zrobić na złość? — powiedziałem z nadzieją w głosie.

- Może powinnam pana za to spoliczkować. — Zgasiła papierosa w oprawnym w mosiądzu akwariu Morny'ego, nadziała niedopałek na ostrze noża do rozcinania listów i wrzuciła do kosza na śmieci.

- Przechodząc do ważniejszych spraw — powiedziałem — czy da mu pani rozwód?

- Za dwadzieścia pięć tysięcy — odparła nie patrząc na mnie. — Nawet chętnie.

- Nie kocha go pani?

- Niech mi pan nie rani serca, Marlowe.

- On panią kocha — powiedziałem. — Bądź co bądź, wyszła pani za niego.

Spojrzała na mnie niechętnym wzrokiem.

- Panie, niech pan nie sądzi, że ta pomyłka nic ranie nie kosztowała. — Zapaliła nowego papierosa. — Dziewczyna musi żyć. A to nie zawsze jest takie łatwe, jak na to wygląda.

- Zatem dziewczyna może popełnić pomyłkę, poślubić nie takiego mężczyznę i nie taką rodzinę, jak trzeba, w poszukiwaniu tego, czego w nich nie ma. Bezpieczeństwa czy czegokolwiek innego.

- A do tego niepotrzebna jest miłość — powiedziałem.

- Nie chciałabym być zbyt cyniczna, panie Marlowe. Ale zdziwiłby się pan, gdyby pan wiedział, ile dziewcząt wychodzi za mąż, żeby znaleźć dom, zwłaszcza tych dziewcząt, które muszą się bronić przed różnymi zadowolonymi z życia mężczyznami, jacy przychodzą do takiej pełnej blichtru spelunki jak ta.

- A pani miała dom i porzuciła.

- Płaciłam za ten dom zbyt dużą cenę. Ta stara, przesiąknięta porto baba była ponad moje siły. Jak ona się panu podoba jako klientka?

- Miewałem gorsze.

Zdjęła z ust płatek tytoniu.

- Widział pan, co ona wyrabia z tą dziewczyną?

- Merle? Zauważyłem, że ją sztorcuje.

- To jeszcze mało. Ona ją doprowadza do wariactwa. Dziewczyna przeżyła kiedyś jakiś szok i ta stara jędra wykorzystuje skutki tego szoku, żeby ją omotać całkowicie. Przy ludziach wrzeszczy na nią, ale gdy jest z nią sam na sam, głaszcze ją po włosach i szepce czułe słówka. A małej aż ciarki przechodzą po plecach.

- Nie bardzo to rozumiem.

- Mała jest zakochana w Leslie'm, ale nie zdaje sobie z tego sprawy. Pod względem emocjonalnym jest jak dziesięcioletnie dziecko. Lepsza heca szykuje się w tym domu... Cieszę się, że mnie tam już nie ma.

- Jest pani bystrą dziewczyną, Lindo — powiedziałem. — Jest pani twarda i mądra. Przypuszczam, że wychodząc za niego za mąż, liczyła pani na jedwabne życie.

Skrzywiła usta.

- Sądziłam, że przynajmniej odetchnę sobie trochę. Ale nawet nie odetchnęłam. To sprytna i bezwzględna kobieta. Jeśli pana zaangażowała, to na pewno nie do tego, co panu powiedziała. Niech się pan ma na baczności.

- Czy byłaby zdolna zabić dwóch ludzi?

Zaśmiała się.

- Ja nie żartuję — powiedziałem. — Dwóch ludzi zostało zamordowanych, a co najmniej jeden z nich jest związany z rzadkimi monetarni.

- Nie rozumiem — spojrzała mi prosto w oczy. — Zamordowanych?

Skinąłem głową.

- Mówił pan Morny'emu?

- O jednym z nich.

- A glinom?

- Też o jednym. Tym samym.

Skierowała spojrzenie na moją twarz. Patrzyliśmy na siebie. Była trochę blada, a może tylko zmęczona. Zdawało mi się jednak, że teraz nieco przybladła.

- Pan to sobie zmyślił — wycedziła.

Uśmiechnąłem się i kiwnąłem głową. Przyjęła to jakby z ulgą.

- Więc co z tym Dublonem Brashera? — spytałem. — Nie

brała go pani. Dobrze. A co z rozwodem?

- To nie pana sprawa.

- Zgoda. Zatem dziękuję za rozmowę. Czy pani zna człowieka nazwiskiem Vannier?

- Tak. — Zesztywniała. — Niezbyt dobrze. Jest przyjacielem Lois.

- Bardzo bliskim przyjacielem.

- Żeby tylko nie zmienił się któregoś dnia w głównego bohatera cichego pogrzebu.

- Padały już takie aluzje powiedziałem. — Coś w tym człowieku musi być. Ilekroć pada jego nazwisko, wszyscy zaczynają się mieć na baczności.

Patrzyła na mnie w milczeniu. Zdawało mi się, że na dnie jej oczu dostrzegłem jakąś myśl, ale jeśli tak, to nie zdradziła mi jej.

- Jeżeli się nie odczepi od Lois — powiedziała cicho — Morny zabije go jak nic.

- Banialuki. Lois kładzie się na każde skinienie palcem.. Każdy to widzi.

- Może Alex jest jedynym człowiekiem, który tego nie dostrzega.

- Vannier nie ma jednak nic wspólnego ze sprawą, którą się zajmuję. Nie ma żadnego powiązania z Murdockami.

Uniosła kąciki ust i powiedziała:

- Nie? To ja panu coś powiem. Nie wiem zresztą, czemu to robię. Chyba dlatego, że jestem po prostu szczerą duszą. Vannier zna Elizabeth Bright Murdock i to bardzo dobrze. Kiedy tam mieszkałam, odwiedził ją tylko jeden raz, ale telefonował bardzo często. Przyjęłam kilka jego telefonów. Zawsze prosił Merle.

- Hm, to dziwne — powiedziałem. — Merle?

Schyliła się, żeby zgasić papierosa, i znów nadziała niedopałek na ostrze noża do rozcinania listów i wrzuciła do kosza. — Jestem bardzo zmęczona — powiedziała nagle. — Proszę już iść.

Chwilę stałem patrząc na nią i zastanawiając się. A potem powiedziałem:

- Dobranoc i dziękuję. Powodzenia. — Zostawiłem ją stojącą tak z rękami w kieszeniach białego płaszcza, spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w podłogę, i wyszedłem.

Była godzina druga, kiedy wróciłem do Hollywood, odstawiłem samochód i wszedłem po schodach do swego mieszkania. Wiatr ustał zupełnie, ale w powietrzu czuło się wciąż pustynną suchość. Natomiast w mieszkaniu było duszno, a pozostawiony przez Breeze'a niedopałek cygara wcale nie polepszał atmosfery. Otworzyłem okno i wietrzyłem mieszkanie, u sam rozebrałem się i opróżniłem kieszenie swojego ubrania. Między innymi wyjąłem rachunek biura dostaw materiałów dentystycznych. Nadal pozostawał dla mnie zwykłym rachunkiem wystawionym na nazwisko jakiegoś H. R. Teagera za 30 funtów krystobalitu i 25 funtów albastonu.

Wywindowałem książkę telefoniczną na biurko i poszukałem Teagera. Wtedy zawodząca mnie pamięć nagie się odezwała. Teager mieszkał pod numerem 422 przy ulicy Dziewiątej Zachodniej. H. R. Teager, Laboratoria Dentystyczne, to jedna z tabliczek, które spostrzegłem na drzwiach szóstego piętra gmachu Belfonta, kiedy wymykałem się tylnymi schodami z biura Elishy Morningstara.

Ale nawet słynny detektyw Pinkerton musiał kiedyś sypiać, a ja potrzebowałem snu bardziej niż Pinkerton. Położyłem się do łóżka.

W Pasadenie było tak samo gorąco, jak poprzedniego dnia i wielki dom z ciemnej cegły podobnie nęcił chłodem, a Murzynek przy słupku do uwiązywania koni miał tak samo smutny wyraz twarzy. Ten sam motylek usiadł na tym samym krzaku hortensji — albo zdawało mi się tylko, że ten sam — i ten sam ciężki zapach lata przesyczał poranne powietrze, i ta sama baba w średnim wieku, o głosie dragona i ze skwaszoną gębą, otworzyła mi drzwi.

Zaprowadziła mnie tymi samymi korytarzami na tę samą

ponurą werandę. Na werandzie pani Elizabeth Bright Murdock siedziała na tym samym szezlongu i kiedy wchodziłem, nalewała sobie właśnie porto z pozoru z tej samej butelki, a w rzeczywistości najprawdopodobniej wnuczki butelki wczorajszej.

Służąca zamknęła drzwi, a ja usiadłem i położyłem kapelusz tak jak poprzedniego dnia na podłodze; pani Murdock spojrzała mi tak jak poprzedniego dnia surowo prosto w oczy i spytała:

- A więc?

- Źle jest — powiedziałem. Policja depcze mi po piętach.

Było w niej tyle podniecenia, co w połciu słoniny.

- Ach tak. Sądziłam, że jest pan lepszym detektywem.

Puściłem to mimo uszu.

- Kiedy wyszedłem stąd wczoraj rano, zaczął mnie śledzić jakiś człowiek w kabriolecie. Nie wiem, co tutaj robił ani jak tu trafił. Przypuszczam, że dotarł tutaj za mną, ale wątpię, aby było tak w istocie. Zgubiłem go po drodze, ale pojawił się znowu w hallu przed moim biurem. Śledził mnie, więc zmusiłem go do wyjaśnienia, dlaczego to robi, a on mi powiedział, że wie, kto ja jestem, że potrzebuje pomocy, i poprosił, abym przyszedł do jego mieszkania na Bunker Hill i porozmawiał z nim. Poszedłem tam po wizycie u pana Morningstara i znalazłem tego człowieka martwego w łazience. Został zastrzelony.

Pani Murdock przełknęła nieco porto. Zdawało mi się, że ręka jej trochę drżała, ale było za ciemno, żeby mieć całkowitą pewność. Chrząknęła.

- Niech pan mówi dalej.

- Nazywał się George Anson Philips. Młody blondyn, i raczej tępawy. Podawał się za prywatnego detektywa.

- Nigdy o nim nie słyszałam — oświadczyła pani Murdock chłodno. — Nigdy go nie widziałam i nic o nim nie wiem. Sądził pan, że zaangażowałam go, aby pana śledził?

- Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Mówił, abyśmy sprzęgli siły, i sprawiał wrażenie, jakby pracował dla kogoś z pani

rodziny. Nie powiedział mi tego wprost.

- Nie pracował. Może pan być całkiem pewien. — Jej baryton był nieugięty jak skała.

- Nie sądzę, żeby pani wiedziała tyle o swojej rodzinie, jak się pani wydaje.

- Wiem, że wypytywał pan mego syna... wbrew memu zakazowi — powiedziała chłodno.

- Nie wypytywałem go. To on mnie wypytywał. Albo raczej usiłował wypytać.

- Przejdziemy do tej sprawy później — powiedziała szorstko. — Co z tym zabitym, którego pan znalazł? Czy to z jego powodu wdał się pan w powikłania z policją?

- Naturalnie. Oni chcą wiedzieć, dlaczego mnie śledził, nad czym pracowałem, czemu ze mną rozmawiał, czemu zaprosił mnie do siebie i po co tam poszedłem. Ale to tylko połowa sprawy.

Dokończyła porto i naląła sobie nową porcję.

- Jak z pani astmą? — spytałem.

- Źle — odparła. — Niech pan mówi dalej.

- Byłem u Morningstara. Mówiłem pani o tym przez telefon. Udał, że nie ma Dublonu Brashera, ale powiedział, że proponowano mu jego kupno i że może go zdobyć. To już pani mówiłem. A pani mi wtedy powiedziała, że odzyskała

pani już monetę, więc sprawa upada. — Czekałem, myśląc, że mi powie, jak ta moneta została zwrócona, ale ona tylko patrzyła na mnie zimno znad kieliszka. — Ponieważ

jednak zawarłem coś w rodzaju układu z panem Morningstarem, że mu zapłacę tysiąc dolarów za tę monetę...

- Nie upoważniłam pana do zawierania podobnych układów — warknęła.

Kiwnąłem głową przyznając jej rację.

- Może chciałem trochę z niego zadrwić — powiedziałem. — Teraz wiem, że zadrwiłem z siebie. W każdym razie po tym, co mi pani powiedziała przez telefon, postanowiłem porozmawiać z nim i wycofać się z tej całej sprawy. W książce telefonicznej nie ma domowego numeru telefonu pana Morningstara, tylko biurowy. Poszedłem do biura. Było już

dość późno. Windziarz powiedział mi, że Morningstar jeszcze tam jest. Leżał na plecach na podłodze martwy. Zmarł najwyraźniej od uderzenia w głowę i doznanego wstrząsu. Starzy ludzie łatwo umierają. Cios nie musiał być obliczony na to, aby go zabić. Zadzwoiłem na pogotowie, ale nie podałem swojego nazwiska.

- To bardzo mądrze z pana strony — oświadczyła.

- Mądrze? Bardzo ładnie z mojej strony, ale nie mądrze. Staram się być uprzejmy, proszę pani. Mam nadzieję, że pani to rozumie. Ale oto w ciągu paru godzin zdarzyły się dwa morderstwa i oba ciała znalazłem ja. I obie ofiary były związane w jakiś sposób z Dublonem Brashera.

- Nie rozumiem. Ten drugi, młodszy, też?

- Tak. Czy nie mówiłem pani tego przez telefon? Byłem pewien, że mówiłem. — Zmarszczyłem czoło starając się sobie przypomnieć. Wiedziałem, że mówiłem.

- Możliwe — odparła spokojnie. — Nie zwracałam zbyt uważnie na to, co pan mówi. Miałam już wówczas dublon w rękach, a pan sprawiał wrażenie troszkę pijanego.

- Nie byłem pijany. Mogłem się czuć lekko wstrząśnięty, ale nie byłem pijany. A pani jakoś przyjmuje to wszystko ogromnie spokojnie.

- A pan by chciał, żebyśmy co robiła?

Zaczerpnałem głęboko powietrza w płuca.

- Jestem już uwikłany w jedno morderstwo, przez to, że znalazłem ciało i doniosłem o tym policji. Wkrótce mogę zostać uwikłany w inne, przez znalezienie ciała i niedoniesienie o tym policji. Co jest dla mnie znacznie poważniejszą sprawą. W obecnym stanie rzeczy będę musiał dziś po południu wyjawić nazwisko swojego klienta.

- To byłoby — powiedziała, zbyt spokojnie na mój gust — nadużyciem mego zaufania. Jestem pewna, że pan tego nie zrobi..

- Wolałbym, żeby pani wreszcie zostawiła to cholerne porto i postarała się zrozumieć sytuację — burknąłem.

Wyglądała na lekko zaskoczoną i odsunęła kieliszek.

- Ten Phillips był prywatnym detektywem — powiedziałem.

— Jak to się stało, że znalazłem jego trupa? Bo śledził mnie, ja jego zaczepiłem, a wtedy on zaprosił mnie do siebie do mieszkania. A kiedy tam przyszedłem, już nie żył. Policja o tym wszystkim wie. Może nawet wierzy, że tak było. Ale nie wierzy, że związek pomiędzy mną a Phillip sem był sprawą czystego przypadku. Sądzi, że ten związek jest głębszy, i domaga się, abym jej powiedział, co robię i dla kogo pracuję. To chyba jasne?

- Znajdzie pan jakieś wyjście — rzekła. — Oczywiście, liczę się z tym, że będzie mnie to nieco więcej kosztowało.

Poczułem się, jakbym dostał prztyczka w nos. Miałem sucho w ustach. Brakło mi powietrza. Zrobiłem znów głęboki oddech i przypuściłem jeszcze jeden szturm na ten wór tłuszczu rozwalony po drugiej stronie pokoju na trzciniowym szezlongu, a tak niewzruszony, jak prezes banku odmawiający pożyczki.

- W tej chwili, w tym tygodniu, dzisiaj pracuję dla pani — powiedziałem. — A w przyszłym tygodniu, mam nadzieję, będę pracował dla kogoś innego. A w jeszcze następnym dla kogoś jeszcze innego. Żeby móc to robić, muszę być we względnie dobrych stosunkach z policją. Policja nie musi mnie kochać, ale musi mieć pewność, że jej nie wprowadzam w błąd. Przyjmijmy, że Anson nie wiedział nic o Dublonie Brashera. Przyjmijmy nawet, że wiedział, ale jego śmierć nie miała z dublonem nic wspólnego. Mimo to muszę powiedzieć glinom, co o nim wiem. A oni mogą wziąć na spytki każdego, kogo tylko zechcą. Czy pani tego nie może zrozumieć?

- Czy prawo nie gwarantuje panu możliwości ochrony swojego klienta? — warknęła. — Bo jeżeli nie, to jaką się ma korzyść z angażowania prywatnego detektywa?

Wstałem, obszedłem krzesło dokoła i znowu usiadłem. Pochyliłem się i ścisnąłem palcami kolana, aż mi zatrzeszczały stawy.

- Prawo, poza wszystkim innym, jest kwestią kompromisu, proszę pani. Jak większość innych rzeczy. Jeżeli nawet mam prawne podstawy, żeby nie puszczać pary i odmówić zeznań i ujdzie mi to na sucho, będzie to koniec mojej kariery. Stanę się tym, którego należy mieć na oku. Prędzej czy później

policja się do mnie dobierze. Bardzo cenię pani interesy, proszę pani, ale nie aż tak, żeby podciąć sobie gardło i wykrwawić się na pani łonie.

Sięgnęła po kieliszek i opróżniła go.

- Nieźle pan pogmatwał całą sprawę — rzekła. — Nie znalazł pan mojej synowej i nie znalazł pan Dublonu Brashera. Ale znalazł pan dwa trupy, z którymi nie mam nic wspólnego, tak zrećcznie wszystkim pokierował, że będę zmuszona wyjawić policji moje prywatne i osobiste sprawy, aby ochronić pana przed jego własną nieudolnością. Oto, jak to widzę. Jeśli się myślę, proszę mnie wyprowadzić z błędu.

Nalała sobie jeszcze porto, połknęła je za szybko i dostała ataku kaszlu. Trzęsącą się dłonią odstawiła kieliszek na stół rozchlapując wino. Pochyliła się gwałtownym rzutem ciała ku przodowi i twarz jej oblała się purpurą. Zerwałem się na nogi, podszedłem do niej i przyłożyłem w tłusty kark takiego kuksańca, że ratusz miejski by się zatrząsł. Wydała z siebie przeciągły jęk i wciągnęła powietrze do płuc z charkotem. Nacisnąłem jeden z guzików na dyktafonie, a kiedy ktoś się odezwał, głośno i z metalicznym podźwięciem, przez metalową osłonę głośnika powiedziałem: — Proszę przynieść pani Murdock szklankę wody, szybko! — i puściłem guzik.

Usiadłem na swoim miejscu i patrzyłem, jak powoli przychodzi do siebie. Kiedy jej oddech się wyrównał i stał się spokojniejszy, powiedziałem:

- Pani nie jest twarda. Pani się tylko zdaje, że jest pani twarda. Za długo pani żyła pośród ludzi, którzy się pani boją. Ale niech się pani tylko spotka z przedstawicielami prawa. Ci chłopcy to zawodowcy. A pani jest po prostu marną amatorką.

Drzwi się otworzyły i weszła służąca z dzbankiem wody, lodem i szklanką. Postawiła je na stoliku i wyszła. Nalałem pani Murdock szklankę wody i włożyłem do ręki.

- Niech pani ją popije, a nie pije duszkiem. Nie będzie pani smakowała, ale też nie zaszkodzi.

Popijała wodę małymi łykami i wypila tak pół szklanki, u potem odstawiła ją na stół i wytarła usta.

- I pomyśleć — rzekła chrapliwie — że ze wszystkich

szpiclów do wynajęcia, których mogłam zaangażować, musiałam wybrać takiego, co ma czelność znęcać się nade mną w moim własnym domu.

- To pani też do niczego nie doprowadzi — powiedziałem. — Nie mamy wiele czasu. Co powiemy policji?

- Policja dla mnie nic nie znaczy. Absolutnie nic. A jeśli pan poda jej moje nazwisko, uznam to za oburzające naruszenie mego zaufania.

Znalazłem się więc w punkcie, z którego wyszliśmy.

- Morderstwo zmienia całą sprawę, proszę pani. Nie można milczeć w sprawie o morderstwo. Będziemy musieli im powiedzieć, dlaczego pani mnie zaangażowała i w jakim celu. Oni tego nie ogłoszą w prasie, proszę się nie obawiać. To znaczy, jeżeli w to uwierzą. A na pewno nie uwierzą, że pani

mnie zaangażowała, bym miał na oku Elishę Morningstara tylko dlatego, że zadzwonił i chciał kupić dublon. Mogą nie wiedzieć, że pani nie byłaby w stanie sprzedać tej monety, gdyby pani chciała, bo mogą o tym po prostu nie pomyśleć.

Ale nie uwierzą, że zaangażowała pani prywatnego detektywa, żeby śledził ewentualnego nabywcę. Bo i po co?

- To chyba moja sprawa.

- Nie. Nie nabije ich pani w ten sposób w butelkę. Musi ich pani zadowolić wzbudzając w nich przekonanie, że jest pani całkowicie szczerą i nie ma pani nic do ukrywania. Póki będą uważali, że pani coś ukrywa, poty nie popuszczą. Niech pani im przedstawi jakąś rozsądną, przekonującą historyjkę, a wtedy odejdą uradowani. A zawsze najrozsądniejszą i najbardziej przekonującą historią jest prawda. Ma pani coś przeciwko temu, żeby ją wyznać?

- Bardzo wiele — powiedziała. — Ale nie wydaje mi się, aby to miało jakieś znaczenie. Czy musimy im powiedzieć, że podejrzewałam synową o kradzież monety i że się myliłam?

- Lepiej tak.

- I że moneta do mnie wróciła i w jaki sposób?

- Lepiej tak.

- To będzie dla mnie wielkie upokorzenie.

Wzruszyłem ramionami.

- Jest pan nieczułym brutalem — powiedziała. — Zimnokrwistą rybą. Nie cierpię pana. Szczerze żałuję, że pana poznałam.

- Wzajemnie — odparłam.

Sięgnęła grubym paluchem do guzika dyktafonu i warknęła:

- Merle. Poproś mego syna, żeby tu natychmiast przyszedł. Możesz przyjść razem z nim.

- Puściła guzik, złożyła grube paluchy razem i opuściła dłonie ciężko na uda. Jej zimne oczy skierowały się ku sufitowi. Głos był cichy i pełen smutku gdy mówiła: — To mój syn wziął monetę, panie Marlowe. Mój syn. Mój własny syn.

Nic nie powiedziałem. Siedzieliśmy patrząc na siebie wrogo. Za chwilę weszli oboje i pani Murdock warknęła, aby usiedli.

21

Leslie Murdock miał na sobie zielonkawę luźne ubranie, jego włosy wydawały się wilgotne, jakby dopiero co wyszedł spod prysznicu. Siedział zgarbiony, patrząc na swoje białe pantofle z koźlęcej skóry i obracając obrączkę na palcu. Nie miał swojej długiej czarnej cygarniczki i wyglądał bez niej jak osamotniony. Nawet wąsik miał trochę bardziej opuszczony niż przedtem, w moim biurze.

Merle Davis wyglądała tak, jak poprzedniego dnia. Prawdopodobnie zawsze wyglądała tak samo. Jej miedziane blond włosy były tak samo mocno ściągnięte w tył głowy, okulary w szylkretowej oprawce wydawały się tak samo ogromne i puste, a wyraz oczu za nimi tak samo niezdecydowany. Miała nawet tę samą płócienną sukienkę z krótkimi rękawkami i bez żadnych ozdób.

Odniosłem dziwne wrażenie ponownego przeżywania, czegoś, co już się raz zdarzyło.

Pani Murdock popiła trochę porto i powiedziała spokojnie:

- No, dobrze synu. Powiedz panu Marlowe o dublonie. Myślę, że trzeba mu powiedzieć.

Murdock obrzucił mnie szybkim spojrzeniem i znowu spuścił wzrok. Usta mu drżały. Gdy zaczął mówić, miał głos

bezbarwny, jednostajny, zmęczony, jak na spowiedzi, po stoczeniu długiej wyczerpującej walki ze swoim sumieniem.

- Jak mówiłem panu wczoraj w biurze, jestem winien Morny'emu mnóstwo pieniędzy. Dwanaście tysięcy dolarów. Wyparłem się tego później, ale to prawda. Jestem je winien. Nie chciałem, żeby matka się o tym dowiedziała. Morny naciskał, żebym spłacił dług. Wiedziałem, że w końcu będę musiał jej powiedzieć, ale starałem się jak najbardziej odwlec tę chwilę. Któregoś dnia, gdy matka spała, a Merle nie było, wziąłem klucze i zabrałem dublon. Dałem Morny'emu, a on zgodził się go wziąć jako poręczenie, bo wytłumaczyłem mu, że nie dostanie za niego dwunastu tysięcy dolarów, jeżeli nie przedstawi udokumentowanej historii dublonu i nie udowodni, że wszedł w jego posiadanie legalną drogą.

Umilkł i spojrzał na mnie, żeby zobaczyć, jak przyjmuję jego słowa. Pani Murdock, nie odrywała ode mnie oczu, jakby się do mnie przylepiła wzrokiem. Dziewczyna patrzyła na Murdocka. Usta miała rozchylone, wyraz cierpienia na twarzy, Murdock ciągnął dalej:

- Morny dał mi pokwitowanie, w którym stwierdził, że zgadza się zatrzymać tę monetę jako gwarancję i nie spienięży jej bez uprzedzenia mnie i bez mojej zgody. Coś w tym rodzaju. Nie znam się na zagadnieniach prawnych. Kiedy Morningstar zadzwonił i zapytał o monetę, zacząłem podejrzewać, że Morny zamierza ją sprzedać albo przynajmniej zastanawia się nad jej sprzedażą i próbuje dowiedzieć się u znawcy, ile taka moneta może kosztować. Bardzo się przestraszyłem.

Spojrzał na mnie i wykrzywił twarz. Może to miała być mina bardzo przestraszonego człowieka. Wyjął chusteczkę, wytarł nią sobie czoło i siedział trzymając ją w rękach.

- Kiedy Merle powiedziała mi, że matka zaangażowała detektywa... nie powinna była tego mówić, ale matka obiecała mi, że nie będzie się za to na nią gniewała... — Spojrzał na swoją matkę, Stary dragon zacisnął szczęki i zrobił ponurą minę. Dziewczyna nie odrywała wzroku od twarzy Murdocka i nie wydawała się bardzo zmartwiona gniewem jego matki.

Tymczasem on mówił dalej: —...wtedy nabrałem pewności, że matka odkryła brak dublonu i właśnie dlatego pana zaangażowała. Wcale nie wierzyłem, że chodziło o odnalezienie Lindy. Wiedziałem cały czas, gdzie ona przebywa. Przyszedłem więc do biura pana, żeby spróbować wywiedzieć się czegoś. Ale niewiele się dowiedziałem. Wczoraj po południu poszedłem do Morny'ego i powiedziałem mu o wszystkim. Początkowo roześmiał mi się w twarz, ale kiedy mu wytłumaczyłem, że nawet moja matka nie mogłaby sprzedać tej monety bez naruszenia zastrzeżeń zawartych w testamencie Jaspera Murdocka i że z pewnością napuści na niego policję, gdy tylko jej powiem, gdzie się moneta znajduje, wówczas Morny zmiękł, Wstał, podszedł do sejfu, wyjął monetę i wręczył mi bez słowa, zwróciłem mu jego pokwitowanie, a on je podarł. Przyniosłem więc monetę do domu i opowiedziałem wszystko matce.

Umilkł i znowu wytarł twarz. Dziewczyna wodziła oczami za ruchem jego ręki.

W ciszy, która nastąpiła, spytałem: — Czy Morny panu groził?

Pokręcił głową.

- Nie. Powiedział, że chce zwrotu pieniędzy, że ich potrzebuje, więc niech się o nie staram. Ale nie groził mi. Zachował się naprawdę bardzo przyzwoicie. Zważywszy na okoliczności.

- Gdzie to było?

- W klubie Idle Valley, w jego prywatnym biurze.

- Czy był przy tym Eddie Prue?

Dziewczyna oderwała oczy od jego twarzy i spojrzała na mnie. Pani Murdock zapytała głuchym głosem:

- Kto to jest Eddie Prue?

- To jeden z obstawy Morny'ego — powiedziałem. — Jak pani widzi, niezupełnie straciłem wczorajszy dzień. — Spojrzałem na jej syna z wyczekiwaniem.

- Nie, nie widziałem go — odparł. — Oczywiście, znam go z widzenia. Wystarczy zobaczyć go raz, żeby go na zawsze zapamiętać. Ale wczoraj go nie było.

- Czy to już wszystko? — spytałem.

Spojrzał na matkę.

- A czy to nie dość? — powiedziała ostro.

- Może dość. Gdzie jest teraz moneta?

- A gdzie miałyby być? — szczeknęła.

O mało jej nie powiedziałem, żeby zobaczyć, jak podskoczy. Ale ugryzłem się w język.

- A więc sprawa wygląda na załatwioną — powiedziałem.

- Pocałuj mamę, synku, i zmykaj — zagrzmiała pani Murdock.

Leslie posłusznie wstał, podszedł i pocałował ją w czoło. Poglaskała go po rękę. Wyszedł z pokoju z opuszczoną głową i zamknął cicho za sobą drzwi.

- Powinna pani raczej kazać mu to sobie podyktować — zwróciłem się do Merle — ściśle tak, jak to opowiedział, zrobić kopię i kazać mu podpisać.

Spłoszyła się. Stara warknęła:

- Nie będzie nic takiego robiła. Wracaj do swojej pracy, Merle. Chciałam, żebyś to słyszała. Ale jeżeli jeszcze raz cię przyłapię na podobnej sprawce, to wiesz, co się stanie.

Dziewczyna wstała i uśmiechnęła się do niej rozpromieniona.

- O tak, proszę pani. To się nigdy, nigdy nie powtórzy. Może mi pani ufać.

- Mam nadzieję — mruknął stary smok. — Zmykaj.

Merle cicho wyszła.

Dwie łzy utworzyły się w oczach pani Murdock i wolno upłynęły po policzkach, dopłynęły do końca mięsistego nosa i ześliznęły się po wardze. Poszukała po omacku chustki i wytarła oczy. Potem odłożyła chustkę, sięgnęła po kieliszek i powiedziała spokojnie:

- Bardzo kocham swego syna, panie Marlowe. Bardzo. I ta sprawa mnie bardzo smuci. Czy sądzi pan, że będzie musiał opowiedzieć to wszystko policji?

- Niech lepiej nie opowiada — odparłem. — Bo będzie musiał bardzo się nabiedzić, żeby policja mu uwierzyła.

Otworzyła usta i w mglistym świetle zaśniły jej zęby.

Zamknęła je następnie, mocno zacisnęła i spojrzała na mnie groźnie spode łba.

- Co pan chce przez to powiedzieć? — warknęła.

- To, co powiedziałem. Ta opowieść brzmi fałszywie. Jest sztuczna i zbyt prosta. Czy on ją sam wymyślił, czy wymyśliła ją pani, a potem kazała mu ją powtórzyć?

- Panie Marlowe — rzekła bezlitosnym tonem — stąpa pan po bardzo cienkim lodzie.

Machnąłem ręką.

- A pani nie? Dobrze, załóżmy, że to prawda. Ale Morny zaprzeczy i znajdziemy się z powrotem w miejscu, z którego wyszliśmy, a Morny będzie zmuszony zaprzeczyć, bo inaczej byłby uwikłany w sprawę dwóch morderstw.

- Czyżby ta możliwość była aż tak nieprawdopodobna? — wrzasnęła.

- Po cóż by Morny, człowiek cieszący się poparciem, protekcją i posiadający wpływy, miał się wikłać w sprawę drobnych morderstw, aby uniknąć odpowiedzialności za taką drobną rzecz, jak sprzedaż zastawu? Według mnie to byłoby bezsensowne.

Patrzyła na mnie nic nie mówiąc. Uśmiechnąłem się, ponieważ po raz pierwszy to, co zamierzałem powiedzieć, mogło jej się spodobać.

- Znalazłem pani synową, proszę pani. Wydaje mi się nieco dziwne, że pani syn, który jest pod tak wielkim pani wpływem, zataił przed panią, gdzie ona jest.

- Bo go nie pytałam — odparła dziwnie cicho jak na nią.

- Wróciła tam skąd wyszła. Śpiewa z orkiestrą w klubie Idle Valley. Rozmawiałem z nią. To na swój sposób twarda dziewczyna. Nie bardzo panią lubi. Niewykluczone, że to właśnie ona wzięła monetę, aby zrobić pani na złość. A jeszcze bardziej prawdopodobne, że Leslie wiedział o tym albo to wykrył i wymyślił tę bajeczkę, aby ją osłonić. Mówi, że bardzo ją kocha.

Uśmiechnęła się. Nie był to piękny uśmiech, zwłaszcza na takiej twarzy, ale zawsze uśmiech.

- Tak — powiedziała łagodnie. — Tak. Biedny Leslie. Jego

stać na to. Ale wobec tego... — urwała. Tym razem jej usta rozszerzyły się w uśmiechu graniczącym niemal z ekstazą — wobec tego moja kochana synowa mogłaby być uwikłana w morderstwo.

Patrzyłem, jak raduje się tą myślą przez chwilę

- A to by panią bardzo ucieszyło.

Kiwnęła głową, ciągle uśmiechnięta, póki nie dotarła do niej szorstkość mego tonu. Potem twarz jej zeszywniała i usta się zacisnęły.

- Nie podoba mi się pana ton — wycodziła. — Wcale mi się nie podoba.

- Nie mam pani tego za złe — odciąłem się. — Mnie też się nie podoba. Nic mi się nie podoba. Nie podoba mi się ten dom i pani, i panująca tu atmosfera represji, i przybita twarz tej dziewczyny, i pani zwariowany synalek, i ta sprawa, którą przede mną ukrywacie, i kłamstwa, które mi wmawiacie, i...

I wtedy zaczęła wrzeszczeć. Na jej rozwścieczoną twarz wystąpiły plamy, oczy wybałuszyły się w furii, a z gardła dobył się ostry z nienawiści głos:

- Niech się pan wynosi! Niech pan wynosi się z tego domu natychmiast! Niech się pan wynosi!

Wstałem, sięgnąłem po leżący na dywanie kapelusz i powiedziałem:

- Z radością to uczynię.

Obrzuciłem ją drwiącym spojrzeniem, otworzyłem drzwi i wyszedłem. Zamknąłem drzwi za sobą delikatnie, przytrzymując gałkę sztywną dłonią, aby zapadka zamka cicho zaskoczyła. Sam nie wiem, z jakiego powodu.

Za moimi plecami rozległ się odgłos szybkich kroków t usłyszałem swoje nazwisko, ale nie zatrzymałem się, póki się nie znalazłem na środku salonu. Wówczas pozwoliłem się dogonić. Była bez tchu i oczy o mało jej nie wyskoczyły przez szkła okularów, a na miedziano-blond włosach igrały zabawne blaski padające z wysokich okien.

- Panie Marlowe! Proszę pana! Niech pan nie odchodzi, ona pana potrzebuje. Naprawdę potrzebuje!

- Patrzcie państwo. Pani ma dziś szminkę na ustach. Ładnie z nią pani..

Chwyliła mnie za rękaw.

- Proszę!

- Niech ją diabli wezmą — powiedziałem. — Niech się utopi w jeziorze. Marlowe też ma prawo się rozżłościć. Niech się utopi w dwóch, jeżeli w jednym się nie zmieści. — Mówię niezbyt mądrze, ale muszę sobie ulżyć.

Spojrzałem na jej rękę na moim rękawie i pogłaskałem ją. Cofnęła dłoń szybko, a po wyrazie jej oczu poznałem, że to nią wstrząsnęło.

- Błagam pana, panie Marlowe. Ma kłopoty. Potrzebuje pana.

- Ja też mam kłopoty — burknąłem. — Mam kłopotów aż po same uszy. Czego pani płacze?

- Och, bo ja ją naprawdę kocham. Wiem, że jest szorstka i krzykliwa, ale serce ma szczerzłote.

- Do diabła z jej sercem — powiedziałem. — Nie zamierzam z nią wchodzić w aż taką zażyłość, żeby to mogło mieć dla mnie znaczenie. Stara kłamczucha. Mam jej dość. Wiem, że na pewno ma kłopoty, ale nie jestem od tego, żeby je wydobywać jak spod ziemi. Mnie trzeba mówić wprost, jak jest.

- Och, jestem pewna, że gdyby pan okazał trochę cierpliwości...

Zupełnie bez zastanowienia objąłem ją ramieniem. Podskoczyła pół metra w górę i wlepiła we mnie oczy pałające trwogą. Staliśmy patrząc na siebie wzajem w milczeniu — ja z otwartymi ustami, jak mi się to aż nazbyt często zdarza, ona z ustami zaciśniętymi mocno i drżącymi białymi nozdrzami. Twarz miała tak bladą, jak tylko jej niezdarny makijaż na tej pozwalał.

- Czy przypadkiem — powiedziałem wolno — nie przydarzyło się pani coś w dzieciństwie?

Kiwnęła głową potakując żywo.

- Jakiś mężczyzna panią wystraszył czy coś w tym guście?

Znowu kiwnęła głową. Zagryzła dolną wargę swymi

drobnymi ząbkami.

- I to już pani zostało?

Stała nieruchomo z bladą twarzą.

- Niech pani słucha — powiedziałem. — Nigdy nie zrobię nic, co mogłoby panią nastraszyć. Nigdy. — Jej oczy rozplywały się we łzach. — Kiedy panią dotknąłem — mówiłem dalej — zrobiłem to tak, jakbym dotykał krzesła albo drzwi, bez jakichkolwiek zamiarów. Rozumie pani?

- Tak — wyjąkała wreszcie. Lęk wciąż nie opuszczał jej oczu za zasłoną łez.

- Więc ze mną spokój. Ze mną jest jasna sprawa. Mnie może się pani zupełnie nie lękać. Weźmy z kolei takiego Leslie. Leslie ma na głowie inne sprawy. Jest w porządku... pod tym względem. Tak?

- O tak! — potwierdziła. — Tak, tak. — Leslie był szczytem przyzwoitości. Dla niej. Dla mnie był ptasim łajnem.

- A weźmy tę starą bekę wina — powiedziałem. — Jest szorstka i opryskliwa i myśli, że potrafi burzyć skały, i uważa, że nie istnieją dla niej żadne przeszkody, wrzeszczy na panią, ale w gruncie rzeczy jest dla pani dobra, prawda?

- O tak, proszę pana. Właśnie próbowałam to panu powiedzieć.

- Wiem, wiem. Więc czemu pani nie może pozbyć się lęku? Czy on jeszcze się kręci koło pani? Ten ktoś, kto panią skrzywdził?

Przyłożyła dłoń do ust i ścisnęła zębami jej mięsistą część u nasady kciuka, patrząc na mnie jakby z oddali.

- On nie żyje — powiedziała. — Wypadł z... z okna.

Zatrzymałem ją swoją wielką łapą.

- Ach, ten. Słyszałem o nim. Nie może pani o nim zapomnieć?

- Nie — odparła potrząsając głową z powagą. — Nie mogę. Nie mogę zapomnieć ani przez chwilę. Pani Murdock zawsze mi mówi, żebym o tym zapomniała. Rozmawia ze mną całymi godzinami i mówi, żebym o tym zapomniała. Ale ja nie mogę.

- Byłoby znacznie lepiej — burknąłem — żeby całymi godzinami trzymała swoją tłustą gębę zamkniętą na kłódkę.

Bo to właśnie ona nie pozwala pani o tym zapomnieć.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem i w dodatku z urazą.

- Nie wie pan wszystkiego — powiedziała. — Ja byłam jego sekretarką, a ona żoną. To był jej pierwszy mąż. Jasne, że ona też nie może tego zapomnieć. Bo jakże?

Podrapałem się w ucho. Było to coś w rodzaju wymijającej odpowiedzi. Twarz jej nie wyrażała nic szczególnego, ale odniosłem wrażenie, że dziewczyna nie zdaje sobie tak naprawdę sprawy z mojej obecności. Byłem dla niej jakby głosem skądś płynącym, ale bezosobowym. I wtedy doznałem nagle jednego ze swych śmiesznych i często złudnych przeczuc.

- Czy widuje pani kogoś, kto wzbudza w pani ten lęk? To znaczy, większy lęk niż inni?

Rozejrzała się dokoła. Ja też się rozejrzałem. Nikt nie siedział ukryty za jakimś fotelem,

nikt nie podglądał nas przez' drzwi ani okna.

- Czy muszę to panu powiedzieć? — spytała szeptem.

- Nie. Może pani, ale nie musi.

- Obieca mi pan, że nie powie nikomu... nikomu na świecie, nawet pani Murdock?

- Ona byłaby ostatnią osobą... — odparłem. — Obiecuję.

Otworzyła usta i na jej twarzy wypłynął śmieszny uśmiešek zwierzenia i nagle wszystko się popsuło. Głos utknął jej w krtani. Z ust wydobył się chrapliwy dźwięk. Zęby zaszczeły, j

Chętnie bym nią potrząsnął, ale bałem się jej dotknąć. Staliśmy. Czulem się bezradny. Odwróciła się na pięcie i wybiegła z pokoju. Słyszałem jej kroki w korytarzu. Potem odgłos zamykanych drzwi.

Udałem się za nią korytarzem i doszedłem do tych drzwi, Dobiegło mnie jej łkanie. Stałem i słuchałem tego łkania. Nie mogłem nic na to poradzić. Zastanawiałem się, czy w ogóle ktokolwiek mógłby na to poradzić.

Wróciłem na oszkloną werandę, zapukałem do drzwi, otworzyłem i wetknąłem przez nie głowę. Pani Murdock siedziała dokładnie tak, jak ją zostawiłem. Jakby od tego czasu nie drgnęła.

- Kto wywołuje w tej dziewczynie taki śmiertelny strach? —

zapytałem.

- Niech pan się wynosi z mego domu! — wycedziła spoza tłustych warg.

Nie poruszyłem się z miejsca. Wówczas zaśmiała się chrapliwie.

- Czy pan uważa się za sprytnego człowieka, panie Marlowe?

- Nie do przesady — odparłem.

- Czemu pan tego sam nie odkryje?

- Na pani koszt?

Wzruszyła opasłymi ramionami.

- Możliwe. To zależy. Kto wie?

- Nic pani na tym nie zyska — powiedziałem. — Będę musiał mimo wszystko porozmawiać z policją.

- Nic nie zyskam — odparła — i za nic nie zapłacę, tylko za odzyskanie monety. Niech pan to zrobi w ramach honorarium, które już pan otrzymał. A teraz proszę sobie już iść. Pan mnie nudzi. Niewymownie.

Zabrałem się i poszedłem. Za drzwiami nie słychać już było łkania. Kompletna cisza. Ruszyłem dalej.

Wyszedłem przed dom. Chwilę stałem nasłuchując, jak słońce przypieka trawę. Za domem zawarczał silnik i zza węgła wytoczył się szary Merkurs. Za kierownicą siedział Leslie Murdock. Ujrzawszy mnie zatrzymał samochód. Wsiadł i szybko podszedł do mnie. Był teraz dobrze ubrany - spodnie z kremowej gabardyny, czarno-białe pantofle z polerowanymi czarnymi noskami, sportowa marynarka w czarno-białą pepitkę, czarno-biała chusteczka, kremowa koszula bez krawata. Na nosie miał ciemne okulary przeciwsłoneczne. Stał tuż przy mnie i powiedział cichym, lęklwym głosem:

- Pan pewnie myśli, że jestem strasznym łajdakiem.

- Czy dlatego, że opowiedział mi pan te historyjkę z dublonem?

- Tak.

- To nie wpłynęło w najmniejszym stopniu na moje zdanie o panu — zapewniłem go.

- Hm.

- A co by pan chciał, żebym powiedział?

Wzruszył ramionami w świetnie skrojonej marynarce. Jego idiotyczny ryży wąsik lśnił w słońcu.

- Ja chyba po prostu chciałbym być lubiany — rzekł.

- Przykro mi, Murdock. Podoba mi się, że jest pan tak oddany swojej żonie. Jeżeli tak jest w istocie.

- Och, nie uważa pan, że powiedziałem prawdę? To znaczy, sądzi pan, że powiedziałem to wszystko, aby osłonić żonę?

- Istnieje taka możliwość.

- Rozumiem. — Włożył papierosa do długiej czarnej cygarniczki, którą wyjął zza chusteczki w małej kieszonce marynarki. — Chyba muszę się z tym pogodzić, że pan mnie nie lubi. — Dostrzegłem poza zielonymi szklami nieznaczny ruch oczu, jak poruszenie ryby w głębokiej wodzie.

- To głupi temat — powiedziałem. — Całkiem bez znaczenia. Dla nas obu.

Przypalił papierosa od zapalki i wciągnął dym w płuca.

- Rozumiem — rzekł cicho. — Przepraszam za nietakt, że w ogóle go poruszyłem.

Obrócił się na pięcie i wsiadł do samochodu. Patrzyłem, jak odjeżdża. Potem podszedłem

do malowanego Murzynka i pogłaskałem go po głowie przed ruszeniem w drogę.

- Synu — powiedziałem. — Jesteś jedyną zdrową na umyśle osobą w tym domu.

23

Wiszący na ścianie głośnik policyjny zaskrzeczał i ktoś w nim powiedział: — Uwaga, próba: Raz, dwa, trzy, cztery... — Stuknięcie i głos zamarł. Detektyw porucznik Jesse Breeze wyciągnął ramiona w górę, ziewnął i rzekł:

- Spóźniłeś się dwie godziny.

- Tak — odparłem. — Ale zostawiłem wiadomość, że się spóźnię. Musiałem pójść do dentysty,

- Siadaj.

Miał małe, zavalone papierami biurko w kącie pokoju. Siedział za nim mając z lewej strony wielkie nie osłonięte okno, a z prawej duży kalendarz ścienny na wysokości oczu. Dni, które poszły do piachu, były pilnie wykreślone czarnym ołówkiem, tak że Breeze, rzuciwszy okiem na kalendarz, zawsze, wiedział nieomylnie, którego dziś mamy.

Spangler siedział z boku przy mniejszym i dużo schludniejszym biurku. Na biurku był zielony bibularz i onyksowy komplet do pisania, mały, oprawny w mosiądz kalendarz i muszla słuchotki kalifornijskiej pełna popiołu, wypalonych zapalek i niedopalków papierosów. Spangler trzymał garść obsadek ze stalówkami i ciskał nimi, jak meksykański nożownik, w licową poduszkę krzesła opartą pionowo o ścianę. Marnie mu to jednak szło. Stalówki nie chciały się wbijać.

Pokój miał jakiś obcy, bezduszny, nie bardzo czysty i nie bardzo brudny, nie bardzo ludzki zapach, jak zwykle takie pokoje. Wystarczy dać policji nowiuteńki dom, a w trzy miesiące później wszystkie pokoje będą tak pachniały. Zapewne było w tym coś symbolicznego. Pewien nowojorski reporter policyjny napisał kiedyś, że gdy się wchodzi za zielone światła komisariatu dzielnicowego, człowiek opuszcza ten świat i wkracza w obszar ponad prawem.

Usiadłem. Breeze wyjął z kieszeni opakowane w celofan cygaro i rozpoczął rytuał zapalania. Obserwowałem ten rytuał, szczególnie po szczególe, nieodmienny, precyzyjny. Wciągnął dym, zgasił zapalną, położył ją delikatnie na popielniczce z czarnego szkła i rzekł:

- Hej, Spangler!

Spangler odwrócił głowę i Breeze odwrócił głowę. Uśmiechnęli się do siebie. Breeze wskazał cygarem na mnie.

- Patrz, jak się poci — powiedział.

Spangler musiał obrócić się cały, żeby zobaczyć, jak ja się pocę. Jeżeli się pocilem, to nie wiedziałem o tym.

- Ale jesteście rozkoszni... jak szczypiopek na wiosnę. Jak wy to, chłopcy, robicie?

- Zostaw dowcipy na boku — rzekł Breeze. — Miałeś

pracowity ranek?

- Średnio — odparłem.

Nie przestawał się uśmiechać. Spangler też się uśmiechał. Cokolwiek mi Breeze szykował, niełatwo mu było zacząć. Wreszcie odchrząknął, przyoblekł wielką piegowatą twarz w powagę, odwrócił głowę tak, żeby nie patrzeć na mnie, a mimo to móc mnie widzieć, i rzekł niezdecydowanym, bezbarwnym głosem:

- Hench się przyznał.

Spangler okręcił się o sto osiemdziesiąt stopni, żeby zobaczyć, jakie to wywrze na mnie wrażenie. Pochylił się na brzeżku krzesła i rozdziawił usta w na pół ekstatycznym uśmiechu który mi się wydał wręcz nieprzyzwoity.

- Coście na niego użyli... Kilofa?

- Nie,

Milczeli obaj patrząc na mnie.

- Makaroniarza — powiedział Breeze.

- Co?

- Chłopie, czy się nie cieszysz? — spytał Breeze.

- Chcesz mi powiedzieć, o co chodzi, czy masz zamiar siedzieć i przyglądać się, jak się cieszę?

- Miło popatrzeć, jak się ktoś cieszy. Nieczęsto nam się trafia taka okazja.

Włożyłem w usta papierosa i kołysałem nim leciutko.

- Użyliśmy na niego makaroniarza — rzekł Breeze. — Makaroniarza nazwiskiem Palermo.

- Och, wiesz co?

- Co? — zapytał Breeze.

- Dopiero teraz zrozumiałem, czemu z policjantami tak trudno rozmawiać.

- No, czemu?

- Bo oni myślą, że każde zdanie to już pointa.

- I każdy aresztowany to słusznie aresztowany — rzekł Breeze spokojnie. — Chcesz się dowiedzieć czy tylko dowcipkować?

- Chcę się dowiedzieć.

- A więc było tak. Hench się upił. To znaczy, spił się o

całkiem na umór, a nie tylko trochę. Nieprzytomnie. Trwało to od tygodni. Prawie nie sypiał i nie jadł. Nic, tylko pił. Doszedł do stanu, kiedy alkohol pozwala człowiekowi nie upić się, ale zachować trzeźwość. Był jego ostatnią więzią ze światem realnym. Kiedy facet doprowadzi się do tego stanu, a ty mu zabierzesz alkohol i nie dasz nic, co by go utrzymało na wodzy, to taki facet dostaje fioła.

Nie odzywałem się. Spangler miał wciąż ten sam lubieżny uśmiech na twarzy. Breeze postukał palcem w cygaro, ale popiół nie spadł, więc włożył cygaro z powrotem w usta i mówił dalej:

- To psychopata, ale nie chcemy, żeby robiono z niego psychopatę. Stawiamy sprawę jasno. Potrzebny nam facet bez psychopatycznych obciążzeń.

- A przecież byłeś pewien, że Hench jest niewinny — powiedziałem. Breeze zrobił niejasny ruch głową.

- To było wczoraj, A zresztą mogłem sobie trochę pożartować. W każdym razie w nocy nagle awantura! Hench wpadł w szal. Więc zawlekli go na oddział szpitalny i naszpikowali narkotykami. Lekarz więzienny. Ale to tylko między nami. W raporcie nie ma nic o narkotykach. Kapujesz?

- Aż za dobrze — powiedziałem.

- Tak. — Przyjął tę uwagę nieco podejrzliwie, ale zbyt był pochłonięty tematem, by tracić na nią czas. — No więc dziś z rana czuł się nieźle. Narkotyki wciąż działały, chłopak był blady, ale spokojny. Poszliśmy go odwiedzić. Jak ci jest chłopie? Potrzebujesz czegoś? Nic a nic? Chętnie ci to załatwimy. Dobrze cię tu traktują? Znasz tę śpiewkę.

- Tak — odparłem. — Znam tę śpiewkę.

Spangler oblizwał wargi w nieprzyjemny sposób.

- No i po pewnej chwili otwiera jadaczkę, żeby wydusić tylko jedno słowo: „Palermo”. Palermo to nazwisko makaroniarza z przeciwnej strony ulicy, który ma ten zakład pogrzebowy i jest właścicielem tej kamienicy i różnych innych. Pamiętasz? Tak, pamiętasz. Ten, co wspominał o wysokiej blondynce. Wszystko bzdura. Tym makaroniarzom tylko wysokie blondynki w głowie. Całe pęczki. Ale Palermo to

ważny gość. Rozpytywałem o niego. Na niego tam głosują. Taki facet nie da sobą pomiatać. Ale nie zamierzałem wcale nim pomiatać. Pytam Hencha: „Chcesz powiedzieć, że ten Palermo to twój przyjaciel?” A on: „Dawajcie Palermo”. No to wróciliśmy tutaj i zadzwoniliśmy do Palermo, a Palermo mówi, że zaraz będzie. Dobra. Przyleciał raz-dwa. Mówię mu: „Hench chce się z panem widzieć, panie Palermo. Nie wiem, po co”. „To biedny chłopak — mówi Palermo. — Miły. Na pewno jest w porządku. Chce się ze mną widzieć, dobra. Pójdę do niego. Ale sam. Bez glin”. „Dobra, panie Palermo” — mówię i idziemy razem na oddział szpitalny. Palermo rozmawia z Henchem

i nikt tego nie słyszy. Po pewnym czasie wraca i mówi: „W porządku. On się chce przyznać. Ja płacę adwokata. Lubię tego biedaka”. Tylko tyle. I poszedł.

Nie powiedziałem nic. Nastąpiła przerwa. Z głośnika na ścianie zaczęły płynąć słowa biuletynu i Breeze przechyliwszy głowę posłuchał kilku zdań, po czym zignorował resztę.

- Weszliśmy ze stenotypistą i Hench powiedział nam, jak i co. Phillips zaczął dziewczynę Hencha. To było przedwczoraj, na korytarzu. Hench widział to z pokoju, ale Phillips wszedł do swojego mieszkania i zatrzaskał drzwi, zanim Hench zdołał go dopaść. Hench był wściekły. Przyłożył dziewczynie w oko, ale to go nie uspokoiło. Zaczyna rozmyślać, tak jak pijacy potrafią. Mówi sobie: ten facet nie będzie podskakiwał do mojej dziewczyny. Jak mu dam, to mnie popamięta. I od tej pory ma Phillipsa na oku. Wczoraj po południu widzi, że Phillips wchodzi do swojego mieszkania. Mówi więc dziewczynie, żeby wyszła na spacer. Dziewczyna nie chce iść na spacer, więc Hench jej podbija drugie oko. Dziewczyna idzie. Hench puka do drzwi Phillipsa i Phillips otwiera. Hencha to trochę dziwi, ale powiedziałem mu, że Phillips spodziewał się Twojej wizyty. Tak czy tak drzwi się otwierają i Hench wchodzi, i mówi Phillipsowi, jaki jest oburzony i co ma zamiar zrobić, a Phillips, przerażony, chwyta za rewolwer. Hench wali go pałką w łeb, Phillips pada. ale Henchowi mało tego. Trzasnął faceta w głowę, facet upadł,

i to ma wystarczyć? Żadna satysfakcja, żadna zemsta. Hench schyla się po rewolwer leżący na podłodze, a jest bardzo pijany i niezadowolony i wtedy Phillips łapie go za kostkę u nogi. Hench nie wie, czemu wówczas zrobił to, co zrobił. Mąci mu się w głowie. Wciąga Phillipsa do łazienki i strzela mu w łeb z jego własnego rewolweru. Jak ci się to podoba?

- Bardzo — powiedziałem. — Ale jaka w tym satysfakcja dla Hencha?

- Wiesz, jacy są pijacy. W każdym razie załatwił go. Rewolwer nie był jego, ale Hench nie mógł pozorować samobójstwa. Nie miałby wtedy żadnej satysfakcji. Więc zabrał rewolwer, wsadził pod poduszkę, a swego się pozbył. Nie chce po wiedzieć jak. Prawdopodobnie dał jakiemuś oprychowi z sąsiedztwa. Potem odnalazł dziewczynę i poszli coś zjeść.

- To śliczne — powiedziałem — że schował ten rewolwer pod poduszkę. Mnie nigdy w życiu nie przysłoby coś takiego do głowy.

Breeze rozparł się w krzesle i wznosił oczy ku sufitowi. Spangler, skoro główny punkt rozrywki się skończył, obrócił się tyłem, wziął parę piór i cisnął jednym z nich w poduszkę.

- Spójrz na to od tej strony — rzekł Breeze. — Jaki był efekt tej imprezy? Zwróć uwagę, jak Hench to zrobił. Był pijany, ale postąpił sprytnie. Wyciągnął rewolwer spod poduszki i pokazał, jeszcze nim znaleziono ciało Phillipsa. Najpierw znajdujemy rewolwer, z którego trachnięto faceta, a w każdym

razie strzelano, a dopiero potem trupa. Uwierzaliśmy w jego tłumaczenie, Wydawało się rozsądne. Nie przyszło nam do głowy, że ktoś może być tak głupi, żeby zrobić to, co zrobił Hench. To byłoby bez sensu. Więc uwierzaliśmy, że ktoś wsadził Henchowi pod poduszkę swój, a zabrał jego rewolwer i gdzieś go spławił. A gdyby Hench pozbył się rewolweru, z którego zabił Phillipsa, to czy poprawiłby swoją sytuację? Musielibyśmy i tak go podejrzewać. I nie mógłby nas wprowadzić w błąd. A tak sprawił, że uważaliśmy go za nieszkodliwego pijaka, który wyszedł i zostawił drzwi otwarte, a ktoś podrzucił mu rewolwer.

Czekał z ustami lekko otwartymi i cygarem w mocnej piegowatej ręce. W jego bladoniebieskich oczach czaiło się zadowolenie.

- Jeżeli miał się i tak przyznać — powiedziałem — to co za różnica? Przyzna się w sądzie do winy?

- Na pewno. Chyba tak. Myślę, że Palermo mógłby go jakoś wybronić przed zarzutem zabójstwa.

- A czemu Palermo miałby go przed czymś wybraniać?

- Bo lubi tego Hencha. A Palermo to facet, którego my nie możemy przycisnąć.

- Rozumiem — powiedziałem. Wstałem. Spangler spojrział na mnie z ukosa błyszczącymi oczyma. — A co z dziewczyną?

- Nie chce powiedzieć ani słowa. To spryciara. Nic jej nie możemy zrobić. Ładna, czysta robota. Chyba nie narzekasz, co? Możesz sobie dalej prowadzić swoją sprawę, bez względu na to, jaka ona jest. Rozumiesz mnie?

- Poza tym ta dziewczyna jest wysoką blondynką — powiedziałem. — Nie pierwszej świeżości, ale zawsze. Chociaż tylko jedną, a nie całym pęczkiem. Może Palermo jakoś to znieśie.

- Do licha, nie przyszło mi to do głowy — rzekł Breeze.

Chwilę pomyślał i potrząsnął głową. — To niemożliwe, Marlowe. Nie ta klasa.

- Jakby była trzeźwa i zadbana, to nigdy nie wiadomo — powiedziałem. — Klasa szybko się rozpuszcza w alkoholu. To wszystko, czego ode mnie chciałeś?

- Chyba tak. — Przekrzywił cygaro mierząc nim w moje oko. — Chociaż nie mogę powiedzieć, że nie chciałbym usłyszeć, co ty masz o tym do powiedzenia. Ale w obecnym stanie rzeczy nie mam prawa wymagać tego od ciebie.

- To cacy z twojej strony, Breeze — rzekłem. — I z twojej też, Spangler. Powodzenia, chłopcy, niech wam się wiedzie jak najlepiej.

Patrzyli na mnie z lekko otwartymi ustami, kiedy wychodziłem. Zjechałem windą do wielkiego marmurowego hallu, wyszedłem na zewnątrz i zabrałem swój samochód z policyjnego parkingu.

Pan Pietro Palermo siedział w pokoju, który gdyby nie mahoniowe biurko z zamknięciem żaluzjowym, wielki krucyfiks z hebanu i kości słoniowej i tryptyk w złożonych ramach, wyglądałby jak salon wiktoriański. Była w nim sofa w kształcie podkowy i rzeźbione, mahoniowe fotele z narzutkami z koronki. Nad kominkiem, na półce z zielono szarego marmuru stał zegar z połączanego brązu, w kącie tykał leniwie wielki zegar wiszący, a na owalnym stoliku z marmurowym blatem i elegancko zakrzywionymi nóżkami było pod szklaną kopułą trochę woskowych kwiatów. Gruby dywan na podłodze ozdobiły wzory z kwiatów. Była nawet gablotka na różne antyczne drobiazgi, a w niej mnóstwo antycznych drobiazgów, filiżaneczki z pięknej porcelany, figurynki ze szkła i porcelany, różne ozdóbki i z kości słoniowej i ciemnego drzewa różanego, malowane talerzyki, wczesnoamerykański komplecik z łabędziami do soli i pieprzu, i temu podobne rzeczy.

W oknach wisały długie, koronkowe firanki, ale pokój wychodził na południe, więc światła było dosyć. Po drugiej stronie ulicy widziałem okna mieszkania, w którym zabito George'a Ansona Phillipsa. Ulica była słoneczna i cicha. Wysoki Włoch o ciemnej cerze i stalowo szarych włosach przeczytał moją wizytówkę i rzekł:

- Ja za dwanaście minut mam biznes. Czego pan chce, panie Marlowe?

- Jestem tym, który wczoraj znalazł zabitego w domu po drugiej stronie ulicy. Był moim przyjacielem.

Zimne, czarne oczy przyjrzały mi się w milczeniu.

- Nie tak powiedział pan Luke'owi.

- Luke'owi?

- Luke zarządza kamienicą. To mój pracownik.

- Nie lubię za dużo rozmawiać z obcymi, panie Palermo.

- To dobrze. A mówi pan ze mną, he?

- Bo pan się cieszy poważaniem, jest pan nie byle kim. Z panem mogę rozmawiać. Pan mnie wczoraj widział. Opisał

pan mój wygląd policji. Policja mi mówiła, że bardzo dokładnie.

- Si. Ja dużo widzę — odparł niewzruszenie.

- Pan widział też wysoką blondynkę, jak wychodziła stamtąd wczoraj.

Spojrzał na mnie uważnie.

- Nie wczoraj. To było dwa, trzy dni temu. Powiedziałem gliniarzom, że wczoraj. — Strzepnął długimi ciemnymi palcami. — Gliniarze, phi!

- A widział pan wczoraj jakichś innych obcych?

- Z tyłu jest drugie wejście — rzekł. — I schody od pierwszego piętra w górę. — Spojrzał na zegarek.

- Więc nie — powiedziałem. — A dziś rano widział się pan z Henchem.

Uniósł wzrok i przebiegł nim leniwie po mojej twarzy.

- Gliniarze panu powiedzieli, he?

- Powiedzieli mi, że pan namówił Hencha, żeby się przyznał. Powiedzieli, że Hench jest pana przyjacielem. Jak bliskim przyjacielem, oczywiście, nie wiedzieli.

- Hench się przyznał, he? — Uśmiechnął się nagle promiennie.

- Tylko, że Hench nie dokonał tego zabójstwa — powiedziałem.

- Nie?

- Nie.

- To ciekawe. Niech pan mówi dalej, panie Marlowe.

- To przyznanie się do winy to lipa. Pan go namówił do przyznania się z własnych powodów.

Palermo wstał, podszedł do drzwi i krzyknął:

- Tony! — po czym znowu usiadł. Do pokoju wszedł niski Włoch o surowej twarzy, spojrzał na mnie i usiadł na zwykłym krześle przy ścianie. — Tony, ten pan to pan Marlowe. Spójrz, weź tę wizytówkę. — Tony podszedł, wziął wizytówkę i usiadł z powrotem na swoim miejscu. — Przyjrzyj się temu człowiekowi bardzo dobrze, Tony. Nie zapomnisz go, he?

— Niechaj pan będzie o to spokojny, panie Palermo — rzekł Tony.

- To był przyjaciel pana, hę? Dobry przyjaciel, hę?

- Tak.

- To niedobrze. Tak. To niedobrze. Ja panu coś powiem. Przyjaciel to przyjaciel. Więc ja panu powiem. Ale niech pan nikomu nie mówi. A w pierwszym rzędzie tym cholernym glinom, hę?

- Nie powiem.

- Trzymam za słowo, panie Marlowe. Niech pan pamięta. Nie zapomni pan, hę?

- Nie zapomnę.

- Tony nie zapomni. Pan rozumie?

- Dałem panu słowo. To, co mi pan powie, pozostanie między nami.

- To dobrze. Okay. Moja rodzina jest duża. Dużo sióstr i braci. Jeden brat strasznie niedobry. Prawie taki niedobry jak Tony.

Tony uśmiechnął się.

- Okay. Ten brat żyje sobie spokojnie. Po drugiej stronie ulicy. Musiał się wyprowadzić. Okay, zaczynają przyłazić gliniarze. Nie za dobrze. Za bardzo się dopytują. Niedobrze dla interesów, niedobrze dla tego niedobrego brata. Rozumie pan

- Tak — odparłem. — Rozumiem.

- Okay, ten Hench też nie za dobry, ale biedny chłop, pijak, bez pracy. Nie płaci za mieszkanie, ale co dla mnie pieniądze. Więc mu mówię: słuchaj, Hench, przyznaj się. Chory z ciebie człowiek. Pochorujesz trzy tygodnie. Staniesz przed

sądem. Mam dla ciebie adwokata. Powiesz, niech diabli wezmą zeznanie. Byłem pijany. I cholerne gliny zostaną na lodzie. Sędzia każe cię puścić, a ty wrócisz do mnie i ja się tobą zajmę. Okay? I Hench mówi okay, i się przyznaje. To wszystko.

- A po dwóch, trzech tygodniach ten niedobry brat jest daleko stąd i ślad po nim ginie, a policja najprawdopodobniej musi spisać śledztwo w sprawie zabójstwa Philipsa, jako nie rozstrzygnięte, na straty. Tak?

- Si. — Uśmiechnął się znowu. Ciepłym, promiennym uśmiechem, jak pocałunek śmierci.

- To załatwia sprawę Hencha, panie Palermo — powiedziałem. — Ale nie załatwia sprawy mojego przyjaciela.

Potrząsnął głową i jeszcze raz spojrzął na zegarek. Wstałem. Tony też wstał. Nie zamierzał nic zrobić, ale zawsze lepiej wstać. Człowiek się szybciej rusza.

- Cały kłopot z takimi jak wy, ptaszkami — powiedziałem — to, że robicie z niczego tajemnicę. Bez wypowiedzenia hasła nie ugryziecie kęsa chleba. Gdybym poszedł na komendę i powiedział chłopakom, co tu usłyszałem, toby roześmiali mi się w nos. I ja śmiałybym się z nimi.

- Tony nie śmieje się dużo — rzekł Palermo.

- Ziemia jest pełna ludzi, którzy nie śmieją się dużo, panie Palermo — powiedziałem. — Powinien pan to wiedzieć. Wielu z nich sam pan w niej ułożył.

- Taki mój biznes — rzekł, wzruszywszy ramionami.

- Dotrzymam słowa — powiedziałem. — Ale na wypadek, gdyby pan w to wątpił, radzę nie próbować robić na mnie biznesu. Bo w mojej dzielnicy nie jesteście dla mnie mocni i nie on ze mnie, tylko ja z niego zrobię panu klienta. A to dla pana żaden biznes. To byłoby wyłącznie na koszt firmy.

Palermo roześmiał się.

- Dobrze. Tony, jeden pogrzeb na koszt firmy. Okay.

Wstał i wyciągnął do mnie rękę, mocną, ciepłą rękę.

25

W hallu gmachu Belfonta, w jedynej windzie, w której paliło się światło, na kawałku złożonego worka siedział nieruchomo ten sam zabytek przeszłości o wodnistych oczach, wzór człowieka zapomnianego. Wszedłem do windy i powiedziałem:

- Szóste.

Winda podskoczyła i zaczęła wlec się z łoskotem na górę. Zatrzymała się na szóstym piętrze. Wysiadłem, a staruszek się wychylił, żeby splunąć, i powiedział głuchym głosem:

- Co się kroi?

Obróciłem się jak na sprężynie. Wytrzeszczyłem na niego oczy.

- Ma pan dziś szare ubranie.
- A tak — przyznałem.
- Ładne — rzekł. — To granatowe, które pan miał wczoraj, też mi się podoba.
- No i co? — spytałem. — Mów pan śmiało.
- Pojechał pan na ósme — ciągnął dalej. — Dwa razy pan jeździł. Za drugim razem późno wieczorem. A wracał pan z szóstego. I wkrótce potem wpadli granatowi chłopcy.
- Jest tam teraz który?
- Potrząsnął przecząco głową. Twarz miał zupełnie bez wyrazu.
- Nic im nie mówiłem — rzekł. — Teraz też już za późno. Daliby mi łupnia.
- Czemu? — spytałem.
- Czemu im nie powiedziałem? Niech ich diabli wezmą. Pan był dla mnie grzeczny. To się teraz rzadko zdarza. A ja i tak wiem, że pan nie ma nic wspólnego z tym morderstwem.
- Brzydko się wobec pana zachowałem — powiedziałem. — Bardzo brzydko. — Wyjąłem wizytówkę i dałem mu ją. Wyłowił z kieszeni okulary w drucianej oprawce, wsadził na nos i przytrzymał wizytówkę blisko oczu. Przeczytał ją wolno poruszając ustami, spojrzął na mnie spoza okularów i zwrócił mi wizytówkę.
- Niech pan ją zatrzyma — powiedział — bo mogę w roztargnieniu zgubić. Pan musi mieć bardzo ciekawe życie.
- I tak, i nie. Przepraszam, jak nazwisko?
- Grandy. Niech mi pan mówi Pop. Kto go zabił?
- Nie wiem. Czy zauważył pan kogoś, kto wjeżdżał na górę albo zjeżdżał na dół — kogoś, kto się wydał panu niezwykłym tu gościem albo zupełnie obcym?
- Ja na nikogo nie zwracam uwagi — odparł. — Zauważyłem tylko pana.
- A na przykład, wysoką blondynkę albo wysokiego szczupłego mężczyznę około trzydziestu pięciu lat?
- Nie.
- Każdy udający się na górę lub na dół, mniej więcej w tym czasie, musiałby jechać pana windą?
- Kiwnął utrudzoną głową.

- Chyba żeby wszedł po zapasowych schodach. One wychodzą na zaulek z tyłu domu, ale tam są drzwi zamykane na sztabę. Ten człowiek musiałby wejść tędy, ale za windą są schody na drugie piętro. A stamtąd mógłby już pójść zapasowymi schodami. To nic wielkiego.

Przytaknąłem.

- Panie Grandy, czy przyjmie pan ode mnie pięciodolarowy banknot... nie w formie jakiegokolwiek przekupstwa, ale jako wyraz szacunku od szczerego przyjaciela?

- Czy przyjmę? Synu, przyjmę i tak puszczę w ruch, że stary Abe Lincoln aż się spoci.

Dałem mu tę piątkę. Ale przyjrzałem się jej najpierw. Na banknocie rzeczywiście był

Lincoln. Złożył banknot w kilkoro i schował głęboko do kieszeni.

- To bardzo ładnie z pana strony — rzekł. — Tylko niech pan nie myśli, że chciałem pana naciągnąć na forszę.

Potrząsałem głową i ruszyłem korytarzem odczytując nazwiska na drzwiach. Dr E. J. Blaskowitz. Kręgarz. Dalton i Rees. Biuro Przepisywania na Maszynie. L. Pridview, Rachunkowość. Czworo drzwi bez napisów. Biuro Wysyłkowe Mossa. Dwoje drzwi bez napisów. H. R. Teager, Laboratoria Dentystyczne. Mniej więcej w tym samym pionie, co biuro Morningstara, o dwa piętra wyżej, ale pokoje miały inny rozkład. Teager miał tylko jedno drzwi i między tymi drzwiami a następnymi była większa przestrzeń.

Klamka nie drgnęła. Zapukałem. Nie było odpowiedzi. Zapukałem po raz drugi mocniej — ten sam skutek. Wróciłem do windy. Stała wciąż na szóstym piętrze. Pop Grandy patrzył, kiedy szedłem, jakby mnie widział po raz pierwszy w życiu.

- Wie pan coś o H. R. Teagerze?

Zamyślił się.

- Mocno zbudowany, starszawy, niedbale ubrany, brud za paznokciami, jak u mnie. Przyszło mi na myśl, że nie widziałem go dzisiaj.

- Myśli pan, że dozorca zgodziłby się wpuścić mnie do jego biura, żebyśmy mogli rzucić na nie okiem?

- Dozorca to człowiek wścibski, nie radziłbym zwracać się do niego. — Obrócił głowę wolniutko i spojrzął na ściankę windy. Nad jego głową wisiał na wielkim metalowym kółku klucz. Uniwersalny. Pop Grandy spojrzął znowu na mnie, wstał ze swego stołka i rzekł: — Właśnie muszę iść do kibla.

Poszedł. Gdy drzwi się za nim zamknęły, wziąłem klucz ze ściany windy, otworzyłem drzwi biura H. R. Teagera i wszedłem do środka.

Wewnątrz była mała poczekalnia bez okien, na której wyposażeniu zaoszczędzono mnóstwo pieniędzy. Dwa krzesła, popielniczka z drugorzędnego drugstore'u, lampa stojąca z sutereny jakiegoś sklepu z bublami, niski stolik drewniany z kilkoma egzemplarzami starych pism ilustrowanych. Drzwi automatycznie zatrzasnęły się za mną i zrobiło się ciemno, tylko przez szybkę z mrożonego szkła nad drzwiami dochodziło nieco światła. Pociągnąłem łańcuszek lampy i podszedłem do wewnętrznych drzwi. Widniał na nich napis: H. R. Teager. Wstęp wzbroniony. Nie były zamknięte na klucz.

Za drzwiami znajdował się kwadratowy pokój z dwoma wychodzącymi na wschód oknami bez firanek i z bardzo zakurzonymi parapetami. Fotel obrotowy, dwa proste drewniane krzesła i prawie kwadratowe biurko stanowiły całe umeblowanie. Na biurku nie było nic prócz starego bibularza i taniego kompletu do pisania. W szufladach znalazłem trochę zakurzonego papieru, którym byty wyłożone, kilka drucianych spinaczy, gumowych opasek, wypisanych ołówków, obsadek i zardzewiałych stalówek, zużytych bibułek, cztery znaczki dwucentowe i trochę papieru listowego z nadrukiem, kopert i kwitariuszy.

Kosz na papiery był pełen śmieci. Straciłem z dziesięć minut na przejrzenie jego zawartości. W każdym razie stwierdziłem to, czego już uprzednio się domyślałem: że H. R. Teager prowadził niewielki interes jako technik dentystyczny, wykonując prace laboratoryjne dla różnych dentystów w uboższych dzielnicach miasta, dentystów, którzy mają marne gabinety na pięterkach nad sklepami i nie posiadają ani odpowiednich umiejętności, ani aparatury, by móc wykonywać

te prace samemu, i wolą zlecać je takim samym ludziom jak oni niż wielkim, prosperującym laboratorium, gdzie nie udziela się kredytu.

Znalazłem jednak coś. Adres domowy Teagera na kwicie za gaz — ulica Tobermana 1354B.

Wyprostowałem się, wsadziłem śmieci z powrotem do kosza i podszedłem do drewnianych drzwi z napisem „Laboratorium”. Był w nich nowy zamek yale'owski i mój klucz uniwersalny do niego nie pasował. Musiałem więc poprzestać na tym, co zrobiłem. Zgasilem światło w poczekalni i wyszedłem.

Winda była na dole. Zadzwoiłem po nią, a kiedy nadjechała, przeszedłem boczkim koło staruszka kryjąc za plecami kółko z kluczem i powiesiłem je nad jego głową. Kółko zadzwoniło trącając o ścianę windy. Staruszek uśmiechnął się.

- Już go nie ma — powiedziałem. — Musiał się wynieść wczoraj wieczorem. Pewnie zabrał sporo rzeczy. Biurko jest doszczętnie opróżnione.

Grandy kiwnął głową.

- Niósł dwie walizki. Ale nie zwróciłem na to uwagi. Prawie zawsze chodził z walizką. Pewnie przynosił i odnosił robotę.

- Jaką robotę? — spytałem, gdy winda z jękiem zjeżdżała na dół. Tylko tak sobie, żeby coś powiedzieć.

- Sztuczne zęby, które nie pasują — odparł Grandy. — Dla takich starych frajerów jak ja.

- Uśmiechnął się. — Co on przekrobał?

- Jadę do jego mieszkania, żeby się dowiedzieć — odparłem.

— Ale najprawdopodobniej przysnął już gdzieś w świat.

- Chętnie zamieniłbym się z nim na miejsce — rzekł Grandy.

— Zamieniłbym się, choćby zdążył dotrzeć tylko do Frisco, zanim go przymkną, i tak bym się z nim zamienił.

Ulica Tobermana. Szeroka, pełna kurzu ulica w bok od Pico. Znalazłem mieszkanie oznaczone numerem 1354B na piętrze żółto-białego drewnianego domu, od strony południowej.

Drzwi wejściowe znajdowały się na ganku obok innych, na których widniał numer 1352B. Drzwi do mieszkań na pai' terze mieściły się w bocznych ścianach ganku naprzeciwko siebie. Nie przestawałem dzwonić, mimo że wiedziałem, iż nikt mi nie otworzy. W takim sąsiedztwie zawsze się znajdzie jakaś ciekawska osoba, która wiecznie siedzi w oknie.

Nie omyliłem się, bo drzwi mieszkania 1354A nagle się otworzyły i wyjrzała z nich drobna jasnooka kobieta. Jej ciemne włosy były świeżo umyte i całe w lokówkach.

- Pan do pani Teager? — spytała piskliwie.

- Pani albo pana.

- Wczoraj wieczorem wyjechali na urlop. Spakowali się i wyjechali. Późnym wieczorem. Kazali odwołać mleko i gazetę. Bardzo się spieszyli. Zupełnie nagle.

- Dziękuję. Jakim samochodem oni jeżdżą?

Z pokoju za nią dobiegł rozdzierający serce dialog jakiegoś mchowego romansu w odcinkach i chlasnął mnie w twarz jak mokrą ścierką.

Jasnooka zapytała: — Pan jest ich znajomym? — W jej głosie było tyle samo podejrzliwości, ile szumu w jej radiu.

- Drobiazg — powiedziałem ostrym tonem. — Chcemy tylko odzyskać nasze pieniądze. Jest mnóstwo sposobów, żeby się dowiedzieć, jakim samochodem jeżdżą.

Kobieta nastawiła ucha.

- To Beula May — wyjaśniła ze smutnym uśmiechem. — Nie chce iść na tańce z doktorem Myersem. Właśnie się obawiałam, że nie pójdzie.

- Do licha! — powiedziałem, wróciłem do samochodu i pojechałem do Hollywood.

Biuro było puste. Pootwierałem okna i usiadłem.

Nowy dzień zbliża się ku końcowi, w powietrzu czuć ospałość i zmęczenie, na bulwarze ciężki pomruk samochodów wiozących ludzi do domów, a Marlowe siedzi w swoim biurze popijając whisky i przegląda pocztę. Cztery reklamówki; dwa i rachunki; ładna kolorowa pocztówka z hotelu w Santa Rosa, gdzie spędziłem w zeszłym roku cztery dni w związku z jakąś sprawą; długi, kiepsko napisany na

maszynie list od niejakiego Peabody, z Sansualito. Ogólny i nieco mglisty sens listu był taki, że pismo podejrzanego człowieka poddane wnikliwym badaniom pana Peabody ujawnia wewnętrzny charakter emocjonalny jednostki, sklasyfikowany według systemu zarówno Freuda, jak i Junga.

Wewnątrz była zaadresowana koperta z naklejonym znaczkiem. Kiedy oderwałem znaczek i wyrzuciłem list i kopertę do kosza, nagle wyobraziłem sobie wzruszającego staruszka z długimi włosami, w czarnym filcowym kapeluszu i z czarną muszką, który kołysze się na bujaku na rozwalającym się ganku, a obok z drzwi wydobywa się zapach gotowanej golonki z kapustą.

Westchnąłem, wyjąłem z kosza kopertę, przepisałem nazwisko i adres na nowej kopercie, złożyłem arkusik papieru, napisałem na nim: „Jest to zdecydowanie ostatni mój wkład”, włożyłem do środka banknot jednodolarowy, zakleiliśmy kopertę, nalepiłem znaczek i nałapałem sobie jeszcze whisky.

Nabiłem i zapaliłem fajkę i siedziałem sobie paląc. Nikt nic wszedł, nikt nie zadzwonił, nic się nie działo, nikogo nie obchodziło, czy nie umarłem albo pojechałem do El Paso.

Z wolna odgłosy ruchu ulicznego ustawały. Niebo utraciło swój oślepiający blask. Na zachodzie z pewnością się zaczerwieniło. Nie opodał, ukośnie nad dachami, zabłysnął wczesny neon. W ścianie pobliskiej jadłodajni wirował z głuchym pomrukiem wentylator. Jakaś ciężarówka zawarczała w zaułku w dole i wyjechała na wstecznym biegu na bulwar. Nagle zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę i usłyszałem głos:

- Pan Marlowe? Tu Shaw z Bristol Apartments.

- Tak. Jak zdrówko, panie Shaw?

- Dziękuję, dobrze. Mam nadzieję, że u pana też. Przyszła tutaj pewna młoda dama i prosi, żeby ją wpuścić do pańskiego mieszkania. Nie mam pojęcia, po co.

- Ani ja, panie Shaw. Niczego w tym guście nie zamawiałem. Czy powiedziała, jak się nazywa?

- O, tak. Nazywa się Davis. Panna Marle Davis. Jest., jak by to powiedzieć... o krok od hysterii.

- Proszę ją wpuścić — powiedziałem szybko. — Będę za dziesięć minut. To sekretarka mojej klientki. Sprawa jest całkowicie urzędowa.

- O, tak. Rozumiem. Czy mam... hm... pozostać z nią?

- Jak pan uważa — odparłem i odłożyłem słuchawkę. Przechodząc obok otwartych drzwi łazienki zobaczyłem w lustrze napiętą z podniecenia twarz.

27

Kiedy obróciłem klucz w zamku i otwierałem drzwi swojego mieszkania, Shaw już wstawał z kanapy. Był wysokim mężczyzną w okularach z wysoko sklepioną łysą głową, co sprawiało, że jego uszy wyglądały jakby zsunięte w dół. Na twarzy nieodłączny uśmiezek grzecznego idioty. Dziewczyna siedziała na moim fotelu za stolikiem szachowym. Nie robiła nic, po prostu siedziała.

- Ach, już pan jest, panie Marlowe — szczebiotał Shaw. — I tak. No właśnie. Bardzo ciekawie nam się rozmawiało z panną Davis. Opowiedziałem pannie Davis, że moja rodzina pochodzi z Anglii. A panna Davis... nie powiedziała mi, skąd pochodzi. — Mówiąc to był już prawie przy drzwiach.

- To bardzo uprzejmie z pana strony.

- Ach, drobiazg — terkotał Shaw. — Drobiazg. Muszę już uciekać. Mój obiad...

- Bardzo panu dziękuję — powiedziałem.

Kiwnął głową i już go nie było. Nawet gdy zamknął za sobą drzwi, atmosferę pokoju zdawała się przesycać nienaturalna żywość jego uśmiechu.

- Witam panią — zwróciłem się do dziewczyny.

- Dzień dobry — odparła.

Jej głos brzmiał całkiem spokojnie, poważnie. Ubrana była w brązowy lniany żakiet i taką samą spódnicę, słomkowy kapelusz z szerokim rondem ozdobiony aksamitną wstążką, która świetnie pasowała do koloru jej pantofli i skórzanych aplikacji na lnianej kopertowej torbie. Kapelusz miała zsunięty na bakier w dość śmiały, jak na nią, sposób. Była bez okularów.

Gdyby nie twarz, wyglądałaby całkiem normalnie. Więc przede wszystkim miała zupełnie błędne oczy. Widać w nich było całe tęczówki okolone białkiem. Kiedy się poruszały, to tak jakoś sztywno, że niemal słyszało się, jak coś w nich skrzypi. Kąciki ust miała mocno zaciśnięte, ale środkowa część górnej wargi wciąż podnosiła się, jakby pociągana niewidocznymi nitkami. Podnosiła się wysoko, a potem przez dolną część twarzy przebiegały kurcze i po chwili cały proces zaczynał się z wolna od nowa. Na dodatek coś dziwnego działo się z jej szyją, tak że głowa skręcała się powoli o jakieś czterdzieści pięć stopni w lewo. Wtedy zatrzymywała się, przez szyję przechodziły drgawki i głowa wracała do dawnej pozycji. Widok tych dwóch ruchów w połączeniu z nieruchomym ciałem, mocno zaciśniętymi dłońmi na kolanach i nieruchomym spojrzeniem wystarczył, aby się zdenerwować.

Puszka z tytoniem stała na biurku, a między nim i jej fotelem był stolik szachowy z szachami w pudełku. Wyjąłem fajkę z kieszeni i podszedłem do puszki, żeby ją nabić tytoniem. Znalazłem się więc tak blisko dziewczyny, że dzielił nas tylko stolik. Jej torebka leżała na brzegu stolika, trochę z boku. Dziewczyna drgnęła, kiedy się zbliżyłem, ale siedziała dalej tak samo. Próbowwała nawet się uśmiechnąć.

Nabiłem fajkę, zapaliłem i stałem trzymając zdmuchniętą zapalną w rękę.

- Nie ma pani okularów — powiedziałem.

- Och, wkładam je tylko w domu i do czytania — odparła. Jej głos był spokojny, opanowany. — Mam je w torebce.

- Jest pani teraz w domu — powiedziałem. — Powinna je pani włożyć.

Sięgnąłem niedbałym ruchem po torebkę. Dziewczyna nie ruszyła się. Nie patrzyła mi na ręce. Wzrok miała utkwiony w mojej twarzy. Otwierając torebkę, odwróciłem się nieznacznie. Wyjąłem futerał i położyłem koło niej na stoliku.

- Proszę je włożyć — powiedziałem.

- Dobrze, włożę. Ale chyba będę musiała zdjąć kapelusz.

- Tak, proszę zdjąć kapelusz.

Zdjęła i położyła go na kolanach. Potem przypomniała sobie

o okularach i zapomniała o kapeluszu. Upadł na podłogę, kiedy sięgnęła po okulary. Włożyła je. To poprawiło znacznie jej wygląd.

Kiedy to wszystko robiła, wyjąłem z torebki pistolet i wsunąłem do tylnej kieszeni. Chyba nie zauważyła. Pistolet wyglądał na ten sam samopowtarzalny, Colt .25 z orzechową okładziną, który widziałem w prawej górnej szufladzie jej biurka poprzedniego dnia.

Wróciłem na kanapę, usiadłem i powiedziałem:

- No, dobrze. Co teraz zrobimy? Jest pani głodna?

- Byłam u pana Vanniera — rzekła.

- Aha.

- On mieszka w Sherman Oaks. Przy końcu Escamillo Drive. Na samiutkim końcu.

- Pewnie tam spokojnie — rzuciłem bez sensu i zamierzałem puścić kółko, ale mi nie wyszło. Jakiś nerw w policzku próbował mi brzdąkać jak napięty drut. Nieprzyjemna sprawa.

- Tak — powiedziała opanowanym głosem, a jej górna warga wciąż wyprawiała te dziwne harce, a głowa przekrzywiła się i wracała na miejsce. — Bardzo tam spokojnie. Pan Vannier mieszka tam już od trzech lat. Przedtem mieszkał na wzgórzach hollywoodzkich, przy Diamond Street. Z jakimś panem, ale pan Vannier mówił, że nie bardzo się z sobą zgadzali.

- Myślę, że jestem w stanie to zrozumieć — zauważyłem. — Od jak dawna zna pani Vanniera?

- Od ośmiu lat. Nie znałam go specjalnie dobrze. Musiałam mu nosić od czasu do czasu... pakieciki. Lubił, żebym przynosiła mu je sama.

Spróbowałem znowu puścić kółko dymu. Nie udało się. ,

- Oczywiście — mówiła dalej — nigdy go nie lubiłam. Bałam się, że... że on będzie...

- A on nie był — powiedziałem.

Po raz pierwszy jej twarz wyrażała naturalne ludzkie uczucie — uczucie zdziwienia.

- Nie — powiedziała. — Nie. To znaczy, naprawdę nie, Ale

był w piżamie.

- Nie przemęcza się — zauważyłem. — Wyleguje się całymi popołudniami. Niektórym się powodzi, co?

- No cóż, tacy muszą coś wiedzieć — rzekła z powagą. — Coś, dzięki czemu ludzie muszą płacić. Pani Murdock jest dla mnie bardzo dobra, nie uważa pan?

- Z pewnością. Ile mu pani dzisiaj zaniósła?

- Tylko pięćset dolarów. Pani Murdock powiedziała, że więcej dać nie może i naprawdę nie stać jej nawet na tę sumę. Powiedziała, że to musi się już skończyć. Nie może tak trwać dalej... Pan Vannier zawsze obiecywał, że przestanie, i nigdy nie przestawał.

- Oni tak zawsze.

- Więc można było zrobić tylko jedno. Wiedziałam o tym od lat. To była wyłącznie moja wina i pani Murdock jest dla mnie taka dobra. Czyż mogłam stać się przez to gorsza, niż byłam dotąd?

Podniosłem rękę i mocno potarłem policzek, żeby uspokoić nerwy. Dziewczyna tymczasem zapomniała, że jej nie odpowiedziałem, i mówiła dalej.

- Więc zrobiłam — powiedziała. — Siedział w piżamie ze szklanką obok, na stoliku. Patrzył na mnie tak jakoś z ukosa. Nawet nie wstał, żeby mnie wpuścić. Ale w zamku drzwi frontowych był klucz. Ktoś go tam zostawił. Ten... Ten... — głos uwiązał jej w gardle.

- Ten klucz był we frontowych drzwiach, więc mogła pani dostać się do środka.

- Tak. — Kiwnęła głową i znów się prawie uśmiechnęła. — To było bardzo proste. Nie pamiętam nawet, czy słyszałam huk. Ale oczywiście huk być musiał. Dosyć głośny huk.

- Wyobrażam sobie — powiedziałem.

- Podeszłam bliźiutko do niego, żeby nie spudłować — mówiła dalej.

- A co Vannier wtedy zrobił?

- W ogóle nic. Tylko patrzył na mnie tak jakoś z ukosa. I to już wszystko. Nie chciałam wracać do pani Murdock, żeby nie sprawiać jej kłopotu. Ani panu Leslie. — Przy tym imieniu

głos jej lekko przycichł i uwiązł w krtani, a przez ciało przeszedł dreszcz. — Więc przyszedłam tutaj — mówiła dalej. — A jak zadzwoniłam i pan nie otwierał, poszukałam dozorczy i poprosiłam, żeby mnie tu wpuścił. Byłam pewna, że pan będzie wiedział, co zrobić.

- A czego pani tam dotykała, jak pani tam była? — spytałem. — Potrafi pani sobie przypomnieć? To znaczy oprócz drzwi frontowych. Czy tylko pani weszła i wyszła niczego nie dotykając?

Zamyśliła się i jej twarz przestała drgać.

- Och, pamiętam jedno. Zgasiłam światło, zanim wyszłam. To była jedna z tych lamp z wielkimi żarówkami, które świecą do góry. Zgasiłam ją.

Kiwnąłem głową i uśmiechnąłem się. Marlowe, promienny Marlowe, cały w uśmiechach.

- Która to była godzina?... Kiedy to było?

- Och, tuż przed moim przyjściem tutaj. Jeździłam tam samochodem. Miałam samochód pani Murdock. Ten, o który pan wczoraj pytał. Zapomniałam panu powiedzieć, że ona go nie wzięła odchodząc. A może powiedziałam? Nie, pamiętam, że mówiłam.

- Więc obliczmy — zastanowiłem się. — Tak czy tak musiała pani jechać pół godziny. Tutaj jest już pani prawie godzinę. Wynika z tego, że musiało być około wpół do szóstej, kiedy pani wychodziła od Vanniera. I zgasiła pani światło.

- Właśnie. — Kiwnęła głową pogodnie, zadowolona, że pamięta. — Zgasiłam światło.

- Napije się pani czegoś? — spytałem.

- Nie, nie. — Potrząsnęła głową energicznie. — Nigdy nie pijam alkoholu.

- A nie ma pani nic przeciwko temu, że ja się napiję?

- Ależ skąd.

Wstałem i obrzuciłem ją badawczym wzrokiem. Jej górna warga wciąż się unosiła, a głowa skręcała, ale wydało mi się, że już trochę mniej. Jakby powoli zanikający rytm. Nie wiadomo, co w takiej sytuacji robić. Możliwe, że im więcej mówiła, tym lepiej. Nikt nie wie, jak długo może trwać absorbcja szoku.

- Gdzie jest pani dom? — spytałem.
- Jak to... ja mieszkam u pani Murdock. W Pasadenie.
- Chodzi mi o prawdziwy dom. Dom rodzinny.
- Moi rodzice mieszkają w Wichita — powiedziała. Ale ja nigdy tam nie jeżdżę. Pisuję czasami, ale nie widziałam ich od lat.

- Czym się zajmuje pani ojciec?
- Prowadzi klinikę dla psów i kotów. Jest weterynarzem. Chyba nie trzeba będzie ich o tym powiadamiać. Poprzednim razem też nic nie wiedzieli. Pani Murdock zataiła to przed wszystkimi.

- Może nie będzie trzeba — odparłem. — Pójdę po coś do picia.

Obszedłem jej fotel i w kuchni nalałem sobie sporo whisky. Wypiłem ją jednym haustem, wyjąłem z kieszeni malutki pistolet i stwierdziłem, że jest zabezpieczony. Powąchałem lufę, wyjąłem magazynek. W komorze był nabój, ale pistolet należał do tych, które nie wypalają, jeśli magazynek jest wyjęty. Przytrzymałem pistolet w taki sposób, aby móc zajrzeć do zamka. Pocisk miał nieodpowiedni kaliber i tkwił zakrzywiony trzonem w zamku. Wyglądał na .32. Pociski z magazynku były odpowiedniego kalibru .25. Złożyłem pistolet i wróciłem do pokoju.

Nie słyszałem żadnego odgłosu. Musiała się po prostu zsunąć i leżała teraz bezwładnie na swoim ślicznym kapeluszu. Była zimna jak lód.

Ułożyłem ją trochę wygodniej, zdjąłem okulary i upewniłem się, czy nie zadławiła się językiem. Wcisnąłem jej złożoną chusteczkę między zęby, żeby się nie ugryzła w język, jak się ocknie. Podeszedłem do telefonu i zadzwoniłem do Carla Mossa.

- Mówi Phil Marlowe. Masz jeszcze pacjentów czy skończyłeś już na dziś?

- Właśnie skończyłem i wychodzę — odparł. — Jakiś kłopot?

- Jestem u siebie w domu — powiedziałem. — Bristol Apartments czterysta osiem, jeśli zapomniałeś. Mam tu dziewczynę, która zemdląca. Nie to mnie martwi, tylko boję się, że wpadnie w szal, jak oprzytomnieje.

- Nie dawaj jej alkoholu — odrzekł. — Już jadę.

Odłożyłem słuchawkę i ukląknęłem przy dziewczynie. Zacząłem rozcierać jej skronie. Otworzyła oczy. Wargę zaczęła się znów unosić, wyjąłem jej chusteczkę z ust. Dziewczyna popatrzyła na mnie i powiedziała:

- Byłam u pana Vanniera. On mieszka w Sherman Ośka...

- Podniosę panią i umieszczę na kanapie, dobrze? Jestem Marlowe... ten wielki drab, który wszędzie się pcha i zadaje nieodpowiednie pytania.

- Dzień dobry — powiedziała.

Podniosłem ją. Trochę zeszytniała, ale nie zaprotestowała ani słowem. Położyłem ją na kanapce, poprawiłem spódnicę, żeby zakryć nogi, włożyłem poduszkę pod głowę i podniosłem kapelusz z podłogi. Był płaski jak flądra. Zrobiłem, co mogłem, żeby nadać mu pierwotny wygląd, i odłożyłem na biurko.

Patrzyła na mnie bokiem, kiedy to robiłem.

- Czy wezwał pan policję? — spytała cicho.

- Jeszcze nie — odparłem. — Byłem zbyt zajęty.

Zdziwiła się. Nie jestem pewien, ale zdawało mi się, że była również nieco urażona.

Otworzyłem torebkę i obróciłem się tyłem, żeby włożyć nieznacznie pistolet. Jednocześnie sprawdziłem, co jeszcze jest w torebce. Zwykle drobiazgi, parę chusteczek, szminka, srebrna puderniczka zdobiona czerwoną emalią, kilka kleeneków, portmonetka z bilonem, i kilkoma banknotami, żadnych papierosów, zapalek lub biletów do kina czy teatru. Otworzyłem boczną przegródkę zamykaną na suwak. Znalazłem w niej prawo jazdy i płaski pakiet banknotów, dziesięć pięćdziesięciodolarówek. Przejrzałem je. Wszystkie używane. Pod gumką, którą były spięte, złożony arkusik papieru. Wyjąłem go, rozłożyłem i przeczytałem. Schludnie wypisane na maszynie, opatrzone dzisiejszą datą pokwitowanie. Było to normalne pokwitowanie odbioru i wraz z podpisem stanowiłoby dowód wpłaty 500 dolarów.

Nie wyglądało na to, że zostanie kiedykolwiek podpisane. Wsunąłem pieniądze i pokwitowanie do swojej kieszeni. Zamknąłem torebkę i spojrzałem na kanapę. Dziewczyna leżała ze wzrokiem wlepionym w sufit i znowu twarz jej wyprawiała

owe dziwne harce. Wszedłem do sypialni i wziąłem koc, żeby ją okryć. Potem poszedłem do kuchni, żeby się jeszcze napić.

28

Doktor Carl Moss był wysokim, krzepkim mężczyzną z wąsikami a la Hitler, wyłupiastymi oczyma i spokojnym usposobieniem góry lodowej. Położył kapelusz i torbę lekarską na fotelu, podszedł i spojrzał nieprzeniknionym wzrokiem na dziewczynę na kanapie.

- Jestem doktor Moss — powiedział. — Jak się pani ma?

- Nie jest pan z policji? — spytała.

Pochylił się, zbadał jej puls, a potem wyprostował się i patrzył, jak dziewczyna oddycha.

- Gdzie panią boli, panno...

- Davis — przedstawiłem ją. — Panna Merle Davis.

- Nic mnie nie boli — odparła patrząc na niego. — Ja... ja nawet nie wiem, czemu tu leżę. Myślałam, że pan jest policjantem. Bo ja zabiłam człowieka.

- To normalny ludzki odruch — rzekł. — Ja zabiłem ich całe dziesiątki. — Nie uśmiechnął się.

Uniosła górną wargę i pokręciła głową.

- Pani wcale nie musi tego robić — rzekł dość łagodnie. — czuje pani tu i ówdzie drganie nerwu i zaczyna je pani podsycać i dramatyzować. To drganie można opanować, jeśli się chce.

- Można? — wyszeptała.

- Jeżeli pani chce — odparł. — Wcale pani nie musi. Mnie jest wszystko jedno. Nic panią w ogóle nie boli?

- Nie. — Potrząsnęła głową.

Poklepał ją po ramieniu i wyszedł do kuchni. Pospieszyłem za nim. Oparł się udem o zlew i spojrzał na mnie chłodnym wzrokiem.

- O co chodzi?

- Jest sekretarką mojej klientki. Niejakiej pani Murdock z Pasadeny. Klientka jest osobą dość brutalną. Jakies osiem

lat temu do Merle zabrał się ostro pewien mężczyzna. Nie mam pojęcia jak. A potem, to znaczy nie bezpośrednio, ale też mniej więcej w tym samym czasie, wypadł czy wyskoczył z okna. Od tej pory Merle nie pozwala się dotknąć żadnemu mężczyźni.. nawet niechcący.

- Aha. — Jego wylupiaste oczy nie przestawały wpatrywać się badawczo w moją twarz. — Czy ona myśli, że ten mężczyzna wyskoczył przez nią?

- Nie wiem. Pani Murdock jest wdową po tym facecie. Wyszła ponownie za mąż i ten drugi mąż też nie żyje. Merle pozostała u niej. Stara traktuje ją jak surowy rodzic niegrzeczne dziecko.

- Rozumiem. Regresja.

- Co to takiego?

- Wstrząs emocjonalny i podświadoma próba ucieczki w dzieciństwo. Jeśli ta pani Murdock sporo ją łaje, ale nie za dużo, to powiększa jeszcze tę tendencję. Identyfikacja dziecięcej uległości z dziecięcym poczuciem bezpieczeństwa.

- Czy musimy wgłębiać się w te zagadnienia? — burknąłem.

Uśmiechnął się do mnie spokojnie.

- Słuchaj, stary. Ta dziewczyna najwyraźniej cierpi na nerwicę. Przypadłość ta jest częściowo zawiniona i niezawiniona. Chcę powiedzieć, że dziewczyna w pewnym sensie nawet się z niej cieszy. Nawet jeżeli nie zdaje sobie sprawy, że tak jest, Jednak nie to jest teraz najważniejsze. Co z tym zabiciem człowieka?

- Chodzi o faceta nazwiskiem Vannier, który mieszkał w Sherman Oaks. Zdaje się, że w grę wchodzi szantaż. Merle musiała mu nosić pieniądze od czasu do czasu. Bała się go, Widziałem tego faceta. Paskudny typ. Była u niego dziś po południu i mówi, że go zabiła.

- Dlaczego?

- Mówi, że patrzył na nią tak jakoś z ukosa.

- Czym go zabiła?

- Miała pistolet w torebce. Nie pytaj mnie, czemu. Nie mam pojęcia. Ale jeżeli go zabiła, to nie tym pistoletem. Ten pistolet ma nieodpowiedni pocisk w zamku. Po prostu nie można z

niego oddać strzału. Stwierdziłem też, że nikt z niego nie strzelał.

- To dla mnie zbyt zawikłane — odparł. — Jestem tylko lekarzem. Co chcesz, żebym z nią zrobił?

- Mówiła też — ciągnąłem dalej ignorując jego pytanie — że lampa była zapalona, a było w pół do szóstej w piękne letnie popołudnie. I facet miał na sobie piżamę, a w zamku drzwi wejściowych tkwił klucz. Poza tym facet nie wstał, żeby jej otworzyć. Siedział tylko i jakby patrzył tak jakoś z ukosa.

Pokiwał głową i rzekł:

- Aha. — Wsadził sobie papierosa między grube wargi i zapalił. — Jeżeli oczekujesz, że ci powiem, czy ona naprawdę sądzi, iż go zabiła, to cię zmartwię. Nie mogę tego zrobić. Z twojego opisu wnoszę, że facet nie żyje. Słusznie?

- Ja tam nie byłem, bracie. Ale to chyba wynika dość jasno.

- Jeżeli ona myśli, że go zabiła, a nie gra po prostu komedii... Boże, jak takie typy umieją grać komedie!... to znaczy, że pomysł nie był dla niej czymś nowym. Mówisz też, że miała przy sobie pistolet. Więc może myślała o tym. Niewykluczone też, że ma kompleks winy. Chce być ukarana, chce odcierpieć za jakąś prawdziwą lub wyimaginowaną zbrodnię. Pytam cię jeszcze raz, co chcesz, żebym z nią zrobił? Nie jest ani chora, ani obłąkana.

- Ona nie może wrócić do Pasadeny.

- Aha. — Przyjrzał mi się ciekawie. — Ma rodzinę?

- W Wichita. Ojciec jest weterynarzem. Zadzwoń do mego, ale będzie musiała zostać tutaj na noc.

- Ja nie chcę się do tego wtrącać. Czy ona ma do ciebie tyle zaufania, żeby spędzić noc w twoim mieszkaniu?

- Przyszła tu z własnej nieprzymuszonej woli i nie w celach towarzyskich. Więc chyba ma.

Wzruszył ramionami i dotknął palcem swego ostrego czarnego wąsika.

- No dobrze, dam jej trochę nembutalu i położymy ją do łóżka. A ty chodź całą noc po mieszkaniu i walcz z własnym sumieniem.

- Ja muszę wyjść — powiedziałem. — Muszę tam pójść i

zobaczyć, co się stało. A ona nie może tu zostać sama. I żaden mężczyzna, choćby nawet był lekarzem, nie będzie jej kładł do łóżka. Sprowadź pielęgniarkę. Ja prześpię się gdzie indziej.

- Marlowe — rzekł Carl — błędny rycerz z przeceny. Dobra. Zaczekam tu, póki nie przyjdzie pielęgniarka.

Wrócił do pokoju i zadzwonił do Biura Pośrednictwa Pracy Pielęgniarek. Potem zatelefonował do żony. Podczas gdy to robił, Merle usiadła na kanapie i złożyła ręce sztywno na kolanach.

- Nie rozumiem, czemu lampa była zapalona — powiedziała. — W domu nie było wcale ciemno. Nie aż tak.

- Jak ma na imię pani ojciec? — spytałem.

- Wilbur, doktor Wilbur Davis. Czemu pan pyta?

- Zje pani coś?

Carl Moss odwrócił się od telefonu i powiedział do mnie:

- Jutro powinno już być dobrze. To prawdopodobnie chwilowe. — Skończył rozmawiać, odłożył słuchawkę, podszedł do miejsca, gdzie leżała jego torba, i wrócił z paroma żółtymi kapsułkami na kawałku ligniny. Przyniósł szklanekę wody, podał dziewczynie kapsułki i rzekł:

- Proszę to połknąć.

- Nie jestem chyba chora? — powiedziała unosząc na niego oczy.

- Połknij to, dziecko, połknij.

Wzięła kapsułki do ust i popiła wodą ze szklanki.

Włożyłem kapelusz i wyszedłem.

Jadąc windą przypomniałem sobie, że w torebce Merle nie było żadnych kluczy, więc wysiadłem w hallu i wyszedłem na stronę Bristol Avenue. Nietrudno było znaleźć jej samochód. Stał zaparkowany krzywo o ponad pół metra od krawężnika. Szary Mercury, kabriolet z numerem rejestracyjnym 2X1111. Pamiętałem, że taki właśnie był numer rejestracyjny samochodu Lindy Murdock.

W stacyjce tkwił kluczyk ze skórzanym futerałem. Wsiadłem, włączyłem silnik, stwierdziłem, że jest dość benzyny, i pojechałem. Był to przyjemny, zrywny wozik. Za Przełęczą Caliuenga mknął, jakby miał skrzydła ptaka.

Escamillo Drive miała z niezrozumiałych dla mnie względów aż trzy progi na swojej krótkiej przestrzeni. Była bardzo wąska, miała przeciętnie po pięć domów między przecznicami i przebiegała u stóp krzaczastego, brunatnego wzgórza, na którym o tej porze roku nic nie rosło, prócz szaławii i manzanity. Za czwartą i ostatnią przecznicą Escamillo Drive skręcała lekko w lewo uderzając wprost w podstawę wzgórza i tam zamierała z jękiem. Na tym ostatnim odcinku były trzy domy, dwa na przeciwległych rogach przecznicy i jeden przy samym końcu. Ten właśnie należał do Vanniera. Reflektor samochodu pozwolił mi stwierdzić, że klucz wciąż tkwi w zamku drzwi frontowych.

Był to wąski bungalow w stylu angielskim, z wysokim dachem, oprawionymi w ołów szybami w oknach od frontu, garażem nieco z boku i zaparkowanym koło garażu trailerem. Wczesny księżyc rzucał swój łagodny blask na niewielki trawnik. Duży dąb wyrastał niemal prosto z ganku. W domu nie było teraz światła, w każdym razie widocznego od ulicy.

Sądząc z ukształtowania terenu, na którym stał dom, palenie światła w salonie za dnia nie byłoby całkiem nie uzasadnione. Mogło w nim być jasno tylko rano. Jako gniazdko miłosne dom mógł mieć swoje zalety, ale moim zdaniem nie bardzo się nadawał na siedzibę szantażysty. Nagła śmierć może człowieka spotkać wszędzie, ale Vannier zbyt ją sobie ułatwił.

Skręciłem w podjazd, włączyłem wsteczny bieg, żeby zawrócić i nie zostawiać samochodu skierowanego przodem w ślepy zaułek, a potem dojechałem do rogu ulicy i dopiero tam zaparkowałem. Wróciłem piechotą po jezdni, bo ulica nie miała chodników. Frontowe drzwi były zrobione z dębowych desek, ściętych ukośnie w miejscu złączenia i ujętych w żelazne sztaby. Zamiast galki miały klamkę. Z zamka wystawała główka płaskiego kluczyka. Zadzwoiłem i usłyszałem odległy dźwięk dzwonnka dzwoniącego w nocy w pustym domu. Obszedłem

rosnący obok dęb i poświeciłem latarką kieszonkową między skrzydła drzwi garażu. W środku stał samochód. Przeszedłem na tyły domu i zajrzałem do małego ogrodu, w którym nic nie rosło, otoczonego niskim murem z polnych kamieni. Zobaczyłem trzy dęby, stół i parę metalowych krzeseł pod jednym z nich. W głębi żelazny kosz do palenia śmieci. Zanim przeszedłem za front domu, zaświeciłem do środka trailera. Nie wyglądało na to, aby ktoś w nim był. Drzwiczki były zamknięte.

Otworzyłem frontowe drzwi domu pozostawiając klucz w zamku. Nie miałem zamiaru robić jakichkolwiek matactw w tym mieszkaniu. Co było, to było. Chciałem się tylko upewnić. Pomacałem ręką ścianę za framugą drzwi, znalazłem kontakt i pstryknąłem światło. Dokoła pokoju rozbłysły słabe świecowe żarówki kinkietów, po dwie w każdym, ukazując wielką lampę, o której mówiła Merle, a także inne rzeczy.

Podszedłem i zaświeciłem tę lampę, a potem zgasilem kinkiety. Lampa miała dużą żarówkę osłoniętą kloszem z mlecznego szkła. Można ją było włączyć na trzy stopnie natężenia światła. Pstryknąłem parę razy guziczek nastawiając ją na najjaśniejsze światło.

Pokój obejmował całą szerokość domu, od frontowej ściany do tylnej, w głębi, z lewej strony, były drzwi, a z prawej bliżej frontu, łukowata wnęka. Wnęka służyła za jadalnię. Połowę jej łuku zakrywała ciężka, brokatowa, bladozielona zasłona, mocno już podniszczona. Kominek mieścił się w połowie lewej ściany, a po obu stronach i naprzeciw niego były półki na książki. W rogach pokoju stały ukośne dwie kanapy, poza tym jeden złotawy fotel, jeden różowy, jeden brązowy i jeden kryty brązowo-złotą tkaniną żakardową, z podnóżkiem.

Na podnóżku wspierały się nogi okryte żółtymi nogawkami piżamy, nagie kostki, na stopach pantofle ranne. Mój wzrok wędrował od stóp w górę, powoli, badawczo. Ciemnozielony jedwabny szlafrok przewiązany sznurem zakończonym frędzlą. W rozchyleniu szlafrocka monogram na kieszeni piżamy. W małej kieszonce chusteczka — dwa rożki białego płótna. Żółta szyja, twarz obrócona w bok, w stronę lustra na ścianie. Podszedłem i spojrzałem w lustro.

Rzeczywiście popatrywał tak jakoś z ukosa. Lewa ręka zwiśla między kolanem a poręczą krzesła. Prawa wisała na zewnątrz fotela, końce jej palców dotykały dywanu. Dotykały też kolby małego rewolweru, kalibru mniej więcej .32, bębenkowca, niemal bez lufy. Prawa część twarzy przylegała do oparcia fotela, ale prawe ramię było ciemnobrązowe od krwi, która widniała również na rękawie. Także na fotelu. Na fotelu było jej mnóstwo.

Nie wydawało mi się, by głowa przyjęła tę pozycję w sposób naturalny. Pewnie jej prawa strona nie podobała się komuś wrażliwemu.

Pchnąłem lekko podnózek nogą. Stopy w pantoflach rannych nie przesunęły się wraz z nim, lecz prześliznęły się po zakardowym obiciu. Facet był sztywny jak kolek. Wyciągnąłem więc rękę i dotknąłem jego nogi. Była zimniejsza od lodu.

Na stole przy jego prawym łokciu stała na wpół opróżniona szklanka ze zwietrzałym drinkiem, popielniczka pełna popiołu i niedopalków. Na trzech niedopalkach była jasno czerwona szminka. Taka, jakiej używają blondynki. Obok drugiego fotela stała jeszcze jedna popielniczka. Było w niej dużo popiołu, zapalki, ale żadnych niedopalków.

W powietrzu unosił się zapach mocnych perfum, który ścierał się z zapachem śmierci i przegrał to starcie. Choć pokonany, nie ustępował jednak. Wetknąłem nos do innych pomieszczeń zapalając i gasząc w nich światła. Dwie sypialnie, jedna wyposażona w jasne meble, druga w meble z czerwonego klonu. Jasny pokój wyglądał na nie używany. Ładna łazienka wykładana morwowymi i ciemno-beżowymi kafelkami, z prysznicem za drzwiami ze szkła. Mała kuchnia. W zlewozmywaku mnóstwo butelek. Mnóstwo butelek, mnóstwo kieliszków, mnóstwo odcisków palców, mnóstwo dowodów. Albo, co bardzo możliwe, wcale nie.

Wróciłem do salonu i stanąłem na środku oddychając głęboko ustami, zastanawiając się, jak bym wyglądał, gdybym zgłosił to morderstwo. Zgłosił to morderstwo oraz zameldował, że to ja znalazłem Morningstara i uciekłem. Wyglądał bym bardzo, bardzo kiepsko. Marlowe i trzy

morderstwa, Marlowe po kolana w trupach. I brak jakiegokolwiek rozsądnego, logicznego wytłumaczenia całej sprawy. Ale to jeszcze nie byłoby najgorsze. Gdybym zaczął mówić, utraciłbym wolność działania. Musiałbym skończyć robić to, co robię, rozstać się z myślą, że odkryję, co chcę odkryć. Carl Moss może by zechciał osłonić Merle swoim płaszczem Eskulapa, oczywiście do pewnego stopnia. Albo mógłby uznać, że byłoby dla niej z większym pożytkiem, aby zrzuciła z serca ten kamień, który ją ugniata, bez względu na to, co to było.

Podszedłem do żakardowego fotela, zacisnąłem zęby, chwyciłem za włosy Vanniera i odciągnąłem jego głowę od oparcia. Kula ugodziła w skroń. Być może chodziło o upozorowanie samobójstwa. Ale tacy ludzie jak Louis Vannier nie popełniają samobójstw. Szantażysta, nawet wystraszony szantażysta, ma poczucie władzy i rozkoszuje się nim.

Puściłem głowę trupa wolno i schyliłem się, żeby wytrzeć rękę o dywan. Schylając się spostrzegłem róg ramki niewielkiego obrazka pod dolnym blatem stolika u łokcia Vanniera. Podszedłem i wziąłem obrazek przez chusteczkę.

Szkoło było pęknięte. Obrazek spadł ze ściany. Widziałem mały gwoździak. Odgadłem, jak to się stało. Ktoś, kto stał z prawej strony Vanniera, pochylał się nawet nad nim, ktoś, kogo Vannier znał i kogo się nie bał, wyciągnął nagle rewolwer i strzelił mu w prawą skroń. A potem, przestraszony tryskającą krwią lub kopnięciem broni, odskoczył w stronę ściany i strącił obrazek. Obrazek uderzył rogiem o podłogę i wpadł pod stolik. A morderca zbyt był ostrożny, aby go dotykać, lub zbyt przestraszony.

Spojrzałem na obrazek. Nic szczególnego. Jakiś facet w kubraku i obcisłych spodniach, z koronką przy mankietach i w krągłym, wydętym aksamitnym kapeluszu z piórkiem wychyla się mocno z okna i najwyraźniej krzyczy coś do kogoś w dole. Dołu nie widać na obrazku. Kolorowa reprodukcja czegoś, co nikomu nie mogło się chyba na nic przydać.

Rozejrzałem się po pokoju. Były tam również inne obrazy — kilka dość ładnych akwarel, parę sztychów — bardzo

niemodnych w tym roku, a może modnych? Cóż? Jeżeli Vannier lubił ten obrazek, to co z tego? Mężczyzna wychylny z okna. Dawno, dawno temu. Spojrzałem na Vanniera. On mi nie mógł pomóc. Mężczyzna wychylny z okna. Dawno, dawno temu...

Ta pierwsza myśl była tak zwiewna, że omal jej nie zlekceważyłem. Jak dotknięcie piórka lub czegoś jeszcze lżejszego. Płatka śniegu. Wysokie okno — człowiek z niego wychylny — dawno, dawno temu. Nagłe olśnienie. Dawno, dawno temu — przed ośmiu laty — z wysokiego okna — wychylił się mężczyzna — wychylił się za daleko — spadł i zabił się. Mężczyzną tym był Horacy Bright.

- Panie Vannier — powiedziałem z lekkim podziwem w głosie — pan to rozegrał dość zgrabnie.

Obróciłem obrazek na drugą stronę. Na odwrocie były wypisane daty i sumy pieniędzy. Daty obejmujące niemal osiem lat, sumy wynoszące przeważnie 500, 750 i dwie po 1000 dolarów. Drobne cyferki wyznaczały ogólną sumę. Wynosiła ona 11 tysięcy dolarów. Pan Vannier nie otrzymał ostatniej raty. Był już martwy, kiedy mu ją przyniesiono. Nie było to dużo pieniędzy jak na tak długi okres. Klientka pana Vanniera mocno się targowała.

Tekturowa podkładka była przymocowana do ramki pinezkami. Dwie z nich wypadły. Odczepiając tekturę lekko ją naderwałem. Między obrazkiem a tekturą była biała koperta. Zaklejona, bez napisu. Rozerwałem ją. Zawierała dwie kwadratowe fotografie i negatyw. Fotografie były identyczne. Ukazywały mężczyznę wychylnego z okna, z otwartymi do krzyku ustami. Dłonie trzymał na krawędzi cegieł w obramowaniu okna. Nad jego ramieniem widniała twarz kobiety. Był chudym, ciemnowłosym mężczyzną. Ani jego twarz, ani twarz kobiety za nim nie były wyraźne. Wychylał się z okna i krzyczał lub wołał do kogoś.

Stałem trzymając fotografię w ręku i przyglądałem się jej. Na razie nie mogłem dopatrzeć się w niej żadnego sensu. Wiedziałem, że musi coś oznaczać. Tylko nie wiedziałem, co. Ale wciąż patrzyłem na nią. Nagle dopatrzyłem się. Był to

drobiazg bardzo istotny. — Pozycja rąk mężczyzny opartych o krawędź muru w miejscu, gdzie był wycięty tworząc obramowanie okna. Dłonie nie trzymały nic, niczego nie dotykał. To ich przeguby dotykały krawędzi cegieł. Same dłonie były już w powietrzu. Ten człowiek nie wychylał się. Spadał.

Włożyłem zdjęcia do koperty, którą wraz z tekturą wsadziłem do kieszeni. Ukryłem ramkę, szkło i obrazek w szafie pod ręcznikami. Wszystko to zajęło mi za dużo czasu.

Na zewnątrz zatrzymał się samochód. Rozległy się kroki. Wcisnąłem się za zasłonę oddzielającą wnękę od salonu.

30

Drzwi frontowe otworzyły się i cicho zamknęły. Nastąpiła cisza wisząca w powietrzu jak oddech na mrozie, a potem rozległ się kobiecy krzyk zakończony pełnym rozpaczą zawodzeniem. Następnie usłyszałem zduszony wściekłością głos mężczyzny:

- Ani źle, ani dobrze. Spróbuj jeszcze raz.

Kobiecy głos powiedział:

- Boże, to Louis! On nie żyje!

Głos męski rzekł:

- Może się myłę, ale to mi się wciąż wydaje kiepskie.

- Boże! On nie żyje, Alex. Zrób coś, na miłość boską, zrób coś!

- Tak — usłyszałem twardy, napięty głos Alexa Morny'ego — powinienem. Powinienem ciebie tak samo urządzać. Żebyś tak samo wyglądała. Żebyś była tak samo martwa, tak samo zimna i tak samo gnijąca. Nie, nie muszę tego robić. Bo ty już gnijesz. W osiem miesięcy po ślubie oszukiwać mnie z takim mydłkiem! Boże! Że też mi przyszło do głowy żenić się z taką dziwką! — kończąc te słowa niemal wrzeszczał.

Kobieta znowu wydała zawodzący głos.

- Przestań mnie zwodzić — rzekł Morny z goryczą. Jak myślisz, po co cię tu przyprowadziłem? Nikogo nie oszukasz. Obserwuję cię od tygodni. Byłaś tu wczoraj wieczorem. Sprawdziłem wszystko. Twoją szminkę na niedopałkach,

szkłankę, z której piłaś. Widzę, jak siedzisz na poręczy jego fotela, głaszczesz go po tłustych włosach i nie czekając, aż przestanie mruczeć, ładujesz mu kule w skroń. Dlaczego?

- Och, Alex... kochanie... nie mów takich strasznych rzeczy.

- Początkująca Lillian Gish — rzekł Morny. — Bardzo wczesna Lillian Gish. Oszczędź mi tej męki, kwiatuszku. Muszę wiedzieć, jak się za to wziąć. Po co, u licha, bym tu przychodził? Guzik mnie teraz obchodzisz. Przestałaś, kwiatuszku, przestałaś mnie obchodzić, mój słodki blond aniele, morderczyni mężczyzn. Ale obchodzi mnie moja osoba i moja reputacja, i mój biznes. Na przykład, czy wytarłaś rewolwer?

Milczenie. Potem odgłos uderzenia. Kobieta zapłakała. Była urażona, okropnie urażona. Urażona do głębi duszy, Tym razem wypadło to dość naturalnie.

- Słuchaj, aniołeczku — warknął Morny. — Przestań się przede mną zgrywać. Ja grywałem w filmach. Znam się na komedianctwie. Skończ z tym. Powiesz, jak do tego doszło, choćbym miał cię wlec po tym pokoju za włosy. Więc jak... wytarłaś rewolwer?

Kobieta nagle roześmiała się. Był to nienaturalny śmiech, ale czysty i o miłym zabarwieniu. Potem równie nagle przestała się śmiać.

- Tak — powiedziała.

- I szkłankę, z której piłaś?

- Tak. — Tym razem bardzo chłodno, bardzo spokojnie.

- I odcisnęłaś jego palce na rewolwerze?

- Tak.

Pomyślał chwilę.

- Prawdopodobnie nie dadzą się tym zwięść — powiedział.

— Odcisnięcie palców zabitego w sposób przekonywający jest rzeczą prawie niemożliwą. Co jeszcze wytarłaś?

- Nic. Och, Alex. Przestań być brutalny.

- Dość tego. Dość! Pokaż, jak to zrobiłaś, gdzie stałaś, jak trzymałaś rewolwer.

Nie poruszyła się.

- Nie martw się o odciski palców — rzekł Morny. Ja zrobię

lepsze. Dużo lepsze.

Przeszła wolno parę kroków i zobaczyłem ją przez szczelinę między zasłonami. Miała na

sobie bladozielone gabardynowe spodnie, luźny jasny żakiet i szkarłatny turban spięty złotym węzem. Jej makijaż był rozmazany łzami.

- Podnieś rewolwer! — wrzasnął Morny. — Pokaż!

Schyliła się koło fotela i wyprostowała z rewolwerem w dłoni i obnażonymi zębami. Skierowała lufę w stronę drzwi. Nie wydała żadnego dźwięku. Ręka blondynki zaczęła się trząść i rewolwer śmiesznie podrygiwał w powietrzu. Usta jej zadrżały i ramię opadło.

- Nie mogę — wyszeptała. — Powinam cię zastrzelić, ale nie mogę. — Palce rozwarły się i broń upadła z łoskotem na podłogę.

W pole mego widzenia między zasłonami wszedł szybko Morny, odepchnął ją i kopnął Colta na miejsce.

- Nie mogłaś tego zrobić — rzekł głucho. — Nie mogłaś. Popatrz. — Wyjął chusteczkę, schylił się i podniósł rewolwer. Nacisnął coś i rozłożył go. Sięgnął prawą ręką do kieszeni, wyjął nabój i pocierając go palcami wsunął w bębenek. Powtórzył tę czynność jeszcze cztery razy, złożył broń, potem ponownie rozłożył, pokręcił bębenek, aby go odpowiednio ustawić i znów złożył. Umieścił Colta na podłodze i zabierając chusteczkę wyprostował się.

- Nie mogłaś mnie zastrzelić — szydził — bo w bębenu nie było nic, prócz jednej pustej łuski. Teraz jest znów naładowany. Przy czym jeden nabój jest wystrzelony. A na rewolwerze są twoje odciski palców.

Blondynka stała jak wrośnięta w ziemię patrząc na niego nieprzytomnymi oczami.

- Zapomniałem ci powiedzieć — rzekł cicho — że sam wytarłem ten rewolwer. Wolałem mieć pewność, że są na nim twoje odciski palców. Byłem tego pewien, ale wolałem być całkowicie pewien. Rozumiesz?

Spytała cicho:

- Oddasz mnie w ręce policji?

Stał tyłem do mnie. Ciemne ubranie. Mocno nasunięty na głowę filcowy kapelusz. Nie widziałem więc twarzy. Ale słyszałem w jego głosie drwinę, kiedy mówił:

- Tak, mój aniele, oddam.

- Rozumiem — powiedziała patrząc mu prosto w oczy. W jej zbyt wyrazistej twarzy dziewczyny z rewii pojawił się nagle wyraz pełen powagi i godności.

- Oddam cię w ręce policji, aniołeczku — rzekł wolno cedząc słowa, jakby się tym lubował. — Niektórzy będą mi współczuli, inni będą się ze mnie śmiali. Ale to nie zaszkodzi moim interesom. Nic a nic. W mojej branży trochę rozgłosu nie zaszkodzi.

- A więc mam teraz dla ciebie wartość jedynie reklamową — powiedziała. — Niezależnie, oczywiście, od niebezpieczeństwa, że sam mógłbyś być podejrzanym.

- Właśnie — odparł. — Właśnie.

- A jaki był motyw mojej zbrodni? — spytała ciągle opanowana, ciągle patrząc mu w oczy z taką powagą, że nie dostrzegł w niej wcale bezmiaru pogardy.

- Nie wiem — odparł. — I nic mnie to nie obchodzi. Knułś coś z nim. Eddie cię śledził, jak jeździłaś do śródmieścia gdzieś na Bunker Hill i spotkałaś się z pewnym blondasem w brązowym ubraniu. Dałaś mu jakiś przedmiot. Więc Eddie zostawił cię, a zaczął śledzić tego faceta i przekonał się, że on mieszka w pobliskim domu czynszowym. Eddie próbował go dalej śledzić, ale wydało mu się, że facet go zauważył, więc musiał zaprzestać. Nie wiem, o co chodziło. Wiem natomiast co innego. Że wczoraj w tym domu zastrzelono młodego faceta nazwiskiem Phillips. Czy wiesz coś o tym, kochanie?

- Nie wiem — odparła. — Nie znam nikogo o nazwisku Phillips i choć to dziwne, nie zabijam ludzi ot, tak, z kobiecego kaprysu.

- Ale zabiłaś Vanniera, kochanie — rzekł Morny niemal czule.

- O, tak — powiedziała przeciągle. — Oczywiście. Mówiliśmy o motywie zbrodni. Czy już coś wymyśliłeś?

- Porozmawiasz o tym z gliniarzami — warknął. — Możesz

powiedzieć, że to była kłótnia między kochankami. Możesz powiedzieć, co tylko zechcesz.

- Że na przykład — rzekła — kiedy się upił, był troszkę podobny do ciebie. Może to był motyw zbrodni.

- Ach, ty... — powiedział i wciągnął powietrze z sykiem.

- Przystojniejszy — ciągnęła dalej. — Młodszy, z mniejszym brzuchem. Ale z takim samym cholernym wyrazem zadowolenia z siebie na twarzy.

- Ach, ty... — powtórzył Morny z wyraźnym cierpieniem.

- Czy to by wystarczyło? — spytała cicho.

Zrobił krok do przodu i zamachnął się pięścią. Pięść ugodziła w szczękę i dziewczyna zachwiała się i siadła na podłodze z nogą wyciągniętą przed siebie, trzymając się za twarz i patrząc na niego z dołu bardzo niebieskimi oczyma.

- Nie powinienes być tego robić — powiedziała. — Bo teraz może nie zechcę się w to wplątywać.

- Zechcesz, zechcesz. Nie masz innego wyboru. Ale wyjdiesz z tego obronną ręką. Chryste, jestem pewien. Z twoją urodą. Ale będziesz musiała zechcieć, aniele. Na rewolwerze są twoje odciski.

Wstała powoli, nie odrywając ręki od twarzy. Potem uśmiechnęła się.

- Wiedziałam, że on nie żyje — powiedziała. — Ten klucz w drzwiach jest mój. Chętnie pójde na policję i powiem, że go zastrzeliłam. Ale trzymaj swoje białe rączki z dala... jeżeli chcesz, żebym to zrobiła. Tak, chętnie pójde i powiem glinom. Czuję się przy nich bezpieczniejsza niż przy tobie.

Morny odwrócił się i zobaczyłem, jak twarz mu pobladła, a blizna przypominająca dołeczek drgała. Przeszedł koło szpary między zasłonami. Drzwi frontowe znów się otworzyły. Blondynka postąa chwilę, spojrząa przez ramię na trupa, zadrząa lekko i zniknęła z pola mego widzenia.

Drzwi się zamknęły. Usłyszałem kroki na podjeździe, potem odgłos otwieranych i zatraskiwanych drzwiczek samochodu. Zawarcząa silnik i samochód odjechał.

Po długiej chwili wyszedłem z ukrycia i rozejrzałem się jeszcze raz po pokoju. Podniosłem rewolwer, wytarłem go dokładnie i położyłem znowu. Wyjąłem z popielniczki trzy poplamione szminką niedopałki, zaniósłem do łazienki, wrzuciłem i spuściłem wodę. Potem rozejrzałem się za drugą szklanką z odciskami palców pani Morny, ale nie znalazłem drugiej szklanki. Tę, która była do połowy napełniona zwietrzałym drinkiem, zaniósłem do kuchni, opłukałem i wytarłem ścierką.

Potem zabrałem się do przykrego zadania. Ukłakłem na dywanie koło fotela, wziąłem rewolwer i sięgnąłem po zwisającą, sztywną jak kość rękę. Odbitki nie będą dobre, ale nie będą też odbitkami palców Lois Morny. Rewolwer miał na kolbie gumowe kratkowane okładziny, z których jedna, z lewej strony, była odłamana poniżej śrubki. Tu nie trzeba odbitek. Palec wskazujący na prawej stronie lufy, dwa palce na osłonie języka spustowego, odbitka kciuka na gładkim miejscu z lewej strony, za bębenkiem. Nieźle.

Rozejrzałem się jeszcze raz po pokoju.

Nastawiłem lampę na mniejsze światło. Mimo to zbyt mocno oświetlała poźółkłą twarz trupa. Otworzyłem frontowe drzwi, wyjąłem klucz, wytarłem i wsadziłem z powrotem do zamka. Zamknąłem drzwi, wytarłem klamkę i poszedłem wzdłuż bloku do miejsca, gdzie stał Mercury.

Wróciłem do Hollywood, zamknąłem samochód i ruszyłem chodnikiem wzdłuż zaparkowanych wozów do wejścia do Bristolu. Z ciemności, z któregoś z samochodów, zagadnął mnie ktoś chrapliwym szeptem. Wymówił moje nazwisko. Pod samym dachem małego Packarda ujrzałem długą, pozbawioną wyrazu twarz Eddie'ego Prue. Był sam. Schyliłem się nad nim i spojrzałem mu w oczy.

- Jak sobie radzisz, detektywie?

Cisnąłem na ziemię zapalną i dmuchnąłem mu w twarz dymem.

- Kto zgubił ten rachunek, który mi dałeś wczoraj

wieczorem? — spytałem. — Vannier czy ktoś inny?

- Vannier.

- Co miałem z nim zrobić... zbadać życiorys człowieka nazwiskiem Teager?

- Nie lubię tępaków — rzekł Eddie Prue.

- Po co go nosił w kieszeni wiedząc, że może zgubić? — spytałem. — A jeżeli zgubił, to czemu go nie oddałeś? Innymi słowy, skoro wiesz, że jestem tępy, wytłumacz mi, jak rachunek za materiały dentystyczne może kogoś do tego stopnia podniecić, że próbuje angażować prywatnych detektywów. Zwłaszcza taki człowiek jak Alex Morny, który nie lubi prywatnych detektywów.

- Morny ma głowę — rzekł Eddie chłodnym tonem.

- On jest tym facetem, dla którego, ukuto powiedzenie „głupi jak aktor”.

- Zamknij się. Nie wiesz, do czego używa się materiałów dentystycznych?

- Wiem. Zbadałem to. Albastonu używa się do robienia odlewu zębów i podniebienia. Jest bardzo twardy, bardzo miałki i utrwała najdrobniejsze szczegóły. Tego drugiego, krystobalitu, używa się przy odlewach metodą traconego wosku. A to dlatego, że krystobalit znosi wysokie temperatury nie ulegając odkształceniu. Powiedz, że nie wiem, o czyni mówię.

- Więc wiesz, jak się robi odlewy ze złota — rzekł Eddie. Na pewno wiesz.

- Straciłem dziś dwie godziny na to, żeby się dowiedzieć. Jestem ekspertem w tej dziedzinie. Ale co mi to daje?

Eddie pomilczał chwilę, a potem rzekł:

- Czytujesz gazety?

- Od czasu do czasu.

- Więc może czytałeś, że pewien starszy facet nazwiskiem Morningstar dostał w czapę w gmachu Belfonta na ulicy Dziewiątej, dwa piętra nad biurem H. R. Teagera. Czytałeś?

Nie odpowiedziałem. Popatrzył na mnie przez chwilę, a potem wyciągnął rękę i nacisnął guzik startera. Silnik zaskoczył i Eddie zaczął popuszczać sprzęgło.

- Nie wiem, czy może być ktoś aż tak tępy, jakiego ty zgrywasz — powiedział cicho. — Chyba nie. Dobranoc. — Samochód ruszył spod krawężnika i spłynął w dół wzgórza ku alei Franklina. Stałem uśmiechając się w przestrzeń, gdy niknął mi z oczu.

Poszedłem na górę do swego mieszkania, otworzyłem drzwi i uchyliłem na kilka cali, a potem zapukałem cicho. Usłyszałem ruch w pokoju. Drzwi otworzyła krzepka dziewczyna z czarnym paskiem na czepku białego stroju pielęgniarki.

- Nazywam się Marlowe. Mieszkam tutaj.

- Wiem, doktor Moss mi mówił. Proszę wejść.

Zamknąłem drzwi cicho i zaczęliśmy rozmawiać przyciszonym głosem.

- Jak ona się czuje? — spytałem.

- Śpi teraz. Była już senna, kiedy przyszłam. Nazywam się Lymiahton. Niewiele o niej wiem, oprócz tego, że ma normalną temperaturę i puls dość przyśpieszony, ale już się uspokaja. Zaburzenie nerwowe, jak się domyślałam.

- Znalazła zabitego człowieka — wyjaśniłem. — Bardzo to nią wstrząsnęło. Czy śpi tak mocno, że mógłbym wejść i wziąć parę rzeczy? Idę spać do hotelu.

- Tak. Jeżeli będzie pan się cicho zachowywał. Prawdopodobnie się nie zbudzi. A jeśli nawet, to nic nie szkodzi.

Położyłem trochę pieniędzy na biurku.

- Ma pani tu kawę, bekon, jaja, sok pomidorowy, pomarańcze i alkohol — powiedziałem.

- Jeżeli chce pani. czegoś więcej, proszę zatelefonować i kazać przywieźć.

- Zdażyłam już zbadać pana zapasy — odparła uśmiechając się. — Mamy wszystko, czego nam trzeba aż do jutrzejszego obiadu. Czy ona tu zostanie?

- To zależy od doktora Mossa. Sądzę, że gdy tylko dojdzie trochę do siebie, pojedzie do domu. Ma rodziców dość daleko stąd, w Wichita.

- Jestem tylko pielęgniarką — powiedziała. — Ale sądzą, że nie jest z nią nic takiego wielkiego, czego nie wyleczyłaby

jedna dobrze przespana noc.

- Dobrze przespana noc i zmiana towarzystwa — odrzekłem, ale panna Lymington nie mogła tego rozumieć.

Zajrzałem do sypialni. Ubrali Merle w moją piżamę. Leżała prawie na wznak z jedną ręką na pościeli. Rękaw piżamy był podwinięty. Mała rączka wystająca z rękawa była zaciśnięta mocno w pięść. Twarz mizerna i blada, ale spokojna. Zajrzałem do szafy, wyjąłem walizkę i wrzuciłem do niej trochę ciuchów. Wychodząc spojrzałem jeszcze raz na Merle. Otworzyła oczy i patrzyła w sufit. Potem poruszyła nimi, dostrzegła mnie i lekki uśmiech poruszył kąciki jej ust.

- Dobry wieczór. — Powiedziała to słabiutkim, zmęczonym głosikiem, który wiedział, że jego właścicielka leży w łóżku i ma koło siebie pielęgniarkę i tak dalej.

- Dobry wieczór.

Podszedłem i spojrzałem na nią ze swoim zwykłym promiennym uśmiechem i pogodną twarzą.

- Nic mi nie jest — szepnęła. — Jestem zdrowa, prawda?

- Oczywiście.

- Czy ja leżę w pana łóżku?

- To nic. Ono pani nie ugryzie.

- Ja się nie boję — odparła. Jej ręka z odwróconą w górę dłonią podpełzła do mnie po pościeli, aby ją wziąć. Wziąłem.

- Nie boję się pana. Żadna kobieta nie mogłaby się pana bać, prawda?

- Biorąc pod uwagę, że to mówi pani — rzekłem — należy uznać to za komplement.

Uśmiechnęła się oczami, a potem znów spoważniała.

- Nakłamałam panu — powiedziała cicho. — Ja... ja nikogo nie zabiłam.

- Wiem. Byłem tam. Proszę o tym zapomnieć. Niech już pani o tym nie myśli.

- Ludzie zawsze mówią, żeby zapomnieć o przykrych rzeczach. Ale nie można zapomnieć? To głupio tak mówić.

- Dobra — powiedziałem niby urażony. — Niech będzie, że jestem głupi. Powinna pani teraz pospać.

Zwróciła głowę w moją stronę i spojrzała mi w oczy.

Usiadłem na brzeжку łóżka trzymając jej dłoń.

- Czy przyjdzie policja? — spytała.

- Nie przyjdzie. Niech pani tylko nie próbuje czuć się rozczarowana.

Skrzywiła się.

- Pan mnie pewnie uważa za strasznie głupią?

- Może.

W jej oczach błysnęły łzy, ześliznęły się w kąciaki oczu i spłynęły po policzkach.

- Czy pani Murdock wie, gdzie jestem?

- Jeszcze nie. Właśnie jadę, żeby jej powiedzieć.

- Czy będzie pan musiał powiedzieć jej... wszystko?

- Tak, a czemu by nie?

Odwróciła głowę w bok.

- Ona to zrozumie — rzekła cicho. — Ona wie, co zrobiłam przed ośmiu laty. O tej straszliwej rzeczy.

- Oczywiście. Dlatego cały czas płaciła Vannierowi.

- Boże — powiedziała, cofnęła rękę, wyjęła spod kołdry drugą i ścisnęła obie razem. — Jakżebym chciała, żeby pan nie musiał o tym wiedzieć, żeby pan o tym nie wiedział. Dotychczas wiedziała tylko pani Murdock. Rodzice nie wiedzieli. I chciałabym, żeby pan też nie wiedział.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich pielęgniarka patrząc na mnie srogo.

- Pani nie może tak dużo rozmawiać. Powinien pan już wyjść.

- Panno Lymington, pani zna tę dziewczynę dwie godziny, a ja dwa dni. Ta rozmowa bardzo dobrze jej robi.

- Ale może wywołać nowy... hm... spazm — odparła surowo unikając mego wzroku.

- Cóż, skoro to nieodzowne, to lepiej, jeżeli nastąpi teraz, póki pani jest. Niech pani idzie do kuchni i łyknie coś mocniejszego.

- Nigdy nie pijam podczas dyżuru — powiedziała zimno. Poza tym ktoś może poczuć ode mnie alkohol.

- Pani pracuje teraz dla mnie. A ja wymagam od wszystkich moich pracowników, żeby od czasu do czasu byli pod muchą.

Poza tym, jeśli zjadła pani dobry obiad i teraz przyzwicie zakąsi, nikt nic nie poczuje.

Uśmiechnęła się do mnie i wyszła z pokoju. Merle słuchała naszej rozmowy, jakby to była frywolna wstawka w poważnej sztuce.

- Chcę panu wszystko powiedzieć — rzekła z przejęciem. — Ja...

Położyłem swoje łapsko na jej zaciśnięte dłonie.

- Proszę nie mówić. Ja wiem. Marlowe wie wszystko... prócz tego, jak zarobić na przyzwoite utrzymanie. Ledwie wiązę koniec z końcem. A teraz proszę zasnąć i jutro zawiozę panią do Wichita... do rodziców. Na koszt pani Murdock.

- Ach, jaka ona jest dla mnie dobra! — wykrzyknęła i oczy jej zabłyśły. — Zawsze była dla mnie dobra.

Wstałem.

- To cudowna kobieta — powiedziałem. — Cudowna. Właśnie idę do niej i porozmawiamy sobie miło przy herbatce. A jeśli pani teraz nie zaśnie, nie pozwolę pani przyznać się do dalszych morderstw.

- Pan jest okropny — powiedziała. — Nie lubię pana. — Odwróciła głowę, schowała ręce pod kołdrę i zamknęła oczy.

Ruszyłem ku drzwiom. Przy drzwiach obróciłem się szybko i spojrzałem na nią. Patrzyła na mnie jednym okiem. Łypnąłem na nią srogo i oko się szybko zamknęło.

Wszedłem do saloniku, obdarzyłem pannę Lymington resztą srogości, która mi pozostała w oczach, wziąłem walizki i wyszedłem.

Pojechałem na bulwar Santa Monica. Lombard był jeszcze otwarty. Stary Żyd w czarnej mycce wydał się zdziwiony, że tak szybko przyszedłem wykupić zastaw. Powiedziałem, że tak właśnie bywa w Hollywood. Wyjął z sejfu kopertę, rozerwał ją, wziął ode mnie pieniądze i kwit i wydobył z koperty lśniąca złotą monetę.

- Cenna rzecz, oddaję ją panu z żalem — rzekł. — Taka piękna robota, pan rozumie, piękna robota.

- I samo złoto jest warte całe dwadzieścia dolarów — powiedziałem.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się, a ja wsunąłem monetę do kieszeni i powiedziałem mu dobranoc.

32

Światło księżyca okrywało białą płachtą trawnik przed domem i tylko pod cedrem ciemność zalegała aksamitną czernią. W dwóch oknach na parterze i jednym na górze, które było widoczne od frontu, paliły się światła. Podeszedłem po płytach ścieżki i zadzwoniłem. Nie spojrzałem nawet na malowanego M urzynka przy głazie z pierścieniem do przywiązywania koni. Nie pogłaskałem go tego wieczoru po głowie. Nie miałem ochoty do żartów.

Drzwi otworzyła mi nieznajoma siwowłosa kobieta o czerwonej twarzy.

- Jestem Philip Marlowe — powiedziałem. — Chciałbym się widzieć z panią Murdock. Panią Elizabeth Murdock.

Na jej twarzy ukazał się wyraz powątpiewania.

- Chyba już się położyła — odparła. — Obawiam się, że nie będzie mogła pana przyjąć.

- Jest dopiero dziewiąta.

- Pani Murdock bardzo wcześnie się kładzie. — Zaczęła zamykać drzwi.

Była miłą staruszką, więc nie chciałem pchnąć ich ramieniem. Oparłem się tylko o nie.

- Chodzi o pannę Davis — powiedziałem. — Sprawa jest ważna. Może jej pani to powiedzieć?

- Spróbuję.

Odstąpiłem, żeby mogła zamknąć drzwi.

Z ciemnego drzewa w pobliżu dobiegł mnie śpiew drozda. Ulicą przemknął samochód. Jechał o wiele za szybko i zarzuciło go na najbliższym zakręcie. Usłyszałem w głębi ciemnej ulicy cieniutki śmiech dziewczęcy, który jakby wysypał się z pędzącego samochodu.

Po pewnym czasie drzwi otworzyły się znowu i ta sama siwa kobieta powiedziała:

- Może pan wejść.

Poszedłem za nią przez wielki pusty salon. W jednej z lamp paliła się słaba żarówka, ledwie sięgająca blaskiem przeciwległej ściany. Pokój był za cichy i przydałoby się go przewietrzyć. Doszliśmy do samego końca korytarza, potem schodami z rzeźbionym słupkiem i poręczą na górę, do drugiego korytarza z otwartymi w głębi drzwiami.

Wszedłem i drzwi się za mną zamknęły. Był to duży salon z mnóstwem perkali, srebrno - niebieską tapetą, tapczanem, niebieskim dywanem i przeszklonymi drzwiami prowadzącymi na balkon. Nad balkonem była zaciągnięta markiza. Pani Murdock siedziała w głębokim fotelu za stolikiem do pasjansa. Miała na sobie pikowany szlafrok i włosy jej były troszeczkę zmierzwione. Układała pasjansa. W lewej ręce trzymała talię kart i zanim spojrzała na mnie, położyła jedną z kart, a drugą przesunęła na inne miejsce.

- No i co? — zapytała.

Podszedłem i spojrzałem na pasjans Canfieldzki.

- Merle jest w moim mieszkaniu — powiedziałem. Dostała lekkiej szajby.

- A cóż to jest ta „lekka szajba”, panie Marlowe? — spytała nie podnosząc wzroku. Przełożyła kartę na inne miejsce, a potem, nieco szybciej jeszcze dwie.

- Dawniej określano to mianem „waporów” — powiedziałem. — Nigdy nie przyłapała się pani w tej grze na szachrajstwie?

- Jak się oszukuje, przestaje być zabawna — powiedziała cierpkim tonem. — A jak się nie oszukuje, to też niezbyt bawi. Co z Merle? Nigdy nie pozostawała tak długo poza domem. Zaczęłam już się o nią niepokoić.

Przysunąłem sobie podnózek i usiadłem na nim po drugiej stronie stolika. Ale podnózek był za niski. Wstałem i poszukałem lepszego siedzenia.

- Niech pani się nie martwi — odrzekłem. — Sprowadziłem lekarza i pielęgniarkę. Teraz śpi. Była przedtem u Vanniera.

Pani Murdock odłożyła karty, splotła swoje wielkie szare dłonie na krawędzi stołu i popatrzyła na mnie z powagą.

- Panie Marlowe — rzekła — musimy sobie coś powiedzieć.

Po pierwsze, popełniłam błąd angażując pana. A to dlatego, że nie chciałam dać się naciąć, jak pan by to określił, tej zimnej bestii, jaką jest Linda. Byłoby jednak o wiele lepiej, gdybym w ogóle nie tykała tych spraw. Strata Dublonu byłaby dużo łatwiejsza dla mnie do zniesienia niż pana obecność. Choćbym miała nawet nigdy go nie odzyskać.

- Ale odzyskała go pani — powiedziałem.

Skinęła głową. Nie odrywała oczu od mojej twarzy.

- Tak, odzyskałam. Słyszał pan, w jaki sposób.

- Ale nie uwierzyłem.

- Ani ja — rzekła ze spokojem. — Mój durny syn po prostu wziął na siebie winę Lindy. Takie zachowanie uważam za dziecinne.

- Ma pani talent — powiedziałem — do otaczania się ludźmi, których cechuje takie zachowanie.

Wzięła ponownie karty i chciała położyć czarną dziesiątkę na czerwonego waleta, ale na walecie leżała już inna dziesiątka. Sięgnęła więc do masywnego stolika obok, na którym stało jej porto. Napiała się trochę, odstawiła kieliszek i spojrzała mi twardo w twarz.

- Odnoszę wrażenie, że usiłuje pan być obraźliwy, panie Marlowe.

Potrząsnąłem głową.

- Nie obraźliwy. Tylko szczery. Wcale nie spisałem się tak bardzo źle. Odzyskała pani monetę. I udało mi się, jak dotąd, uchronić panią przed policją. Nie zrobiłem nic w sprawie rozwodu, ale znalazłem Lindę... pani syn wiedział przez cały czas, gdzie ona jest... i niech się pani nie obawia, że będzie pani miała z nią jakiegokolwiek kłopoty. Wie, że popełniła błąd wychodząc za pani syna. Ale jeżeli pani sądzi, że nie uzyskała pani równowartości swoich...

Chrząknęła i odkryła nową kartę. Położyła asa karo na samej górze.

- Psiakość, as pikowy zagrzebany. Nie wydobędę go na czas.

- To niech go pani wysunie — poradziłem — jakby przez nieuwagę.

- Czy nie lepiej — rzekła bardzo spokojnie — żeby mi pan

powiedział coś więcej o Merle?

I niech się pan zbyt nie przechwala, jeśli pan odkrył kilka rodzinnych tajemnic.

- Ja się niczym nie przechwalam. Dziś po południu posłała pani Merle do Vanniera z pięciuset dolarami.

- Więc cóż z tego? — Nalała sobie trochę porto i popijając patrzyła na mnie nieporuszona znad kieliszka.

- Kiedy ich zażądał?

- Wczoraj. Ale dopiero dziś mogłam je podjąć z banku. Co się stało?

- Vannier szantażuje panią od ośmiu lat. A to w związku z pewnym zdarzeniem z dwudziestego szóstego kwietnia tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku.

Wydawało mi się, że w jej oczach mignęła trwoga, ale lak głęboko i tak mgliście, jakby przebywała tam od dawna i wyjrzała do mnie tylko na króciutką chwilę.

- Trochę mi wyjawiała Merle. A pani syn powiedział, jak zginął jego ojciec. Przejrzałem dziś gazety i raporty. Przypadkowa śmierć. Na ulicy pod jego biurem był jakiś wypadek i mnóstwo ludzi wychylało się z okien. On wychylił się po prostu za daleko. Mówiło się coś o samobójstwie, bo pan Bright stracił majątek, a rodzina była ubezpieczona na pięćdziesiąt tysięcy. Ale sędzia śledczy okazał się tak miły, że przymknął na to oczy.

- No więc? — Powiedziała to zimnym, twardym głosem, ani chrapliwym, ani jęklwym. Zimnym, twardym, całkowicie opanowanym głosem.

- Merle była sekretarką Horacego Brighta. Dziwna to dziewczyna, nazbyt nieśmiała, niedoświadczona, o mentalności małej dziewczynki, z bardzo przestarzalami poglądami na mężczyzn, skłonnością do dramatyzowania i tak dalej. Domyślam się, że mąż pani kiedyś sobie popił, zaczął się do niej zalecać i śmiertelnie ją przestraszył.

- No więc? — Znowu te zimne, twarde słowa naparły na mnie jak lufa rewolweru.

- Ciągle myślała o tym i rozbudziła w sobie mordercze instynkty. Wykorzystała okazję i stanęła za jego plecami.

Kiedy wychylał się z okna. Czy tak było?

- Niech pan mówi jasno, panie Marlowe. Ze mną można mówić bez ogródek.

- Wielkie nieba, czy to nie jest dostatecznie jasne? Wypchnęła swego pracodawcę z okna. Słowem, zamordowała go. I uszło jej to na sucho. Z pani pomocą.

Spojrzała na swą rękę ściskającą karty. Skinęła głową. Jej broda obniżyła się nieznacznie i znowu uniosła.

- Czy Vannier był w posiadaniu jakiegoś dowodu? — spytałem. — Czy tylko przypadkiem zobaczył, jak to się stało i zaczął panią szantażować, a pani płaciła mu niewielkie sumki od czasu do czasu, aby uniknąć skandalu... albo z czystej sympatii dla Merle.

Zanim odpowiedziała, zagrała jeszcze jedną kartę. Niewzruszona jak skała.

- Mówił coś o fotografii — rzekła. — Ale nie wierzyłam, że ją ma. Nie mógł jej zrobić. A gdyby nawet zrobił, to prędzej czy później by mi ją pokazał.

- Nie — odparłem. — Nie sądzę. Gdyby nawet miał w rękę aparat, ze względu na to, co działo się na dole, na ulicy, zdjęcie byłoby bardzo niewyraźne. Ale domyślałam się, że mógł się bać pokazać je pani. Jest pani bez wątpienia kobietą twardą. Mógł się obawiać, że pani go załatwi. To znaczy, w jego kanciastym mózgu mogła się taka myśl zrodzić. Ile mu pani zapłaciła?

- To nie pana... — zaczęła mówić, a potem wzruszyła ramionami. Potężna kobieta, mocna, szorstka, bezwzględna, kobieta, która wszystko zniesie. Zastanowiła się.

- Jedenaście tysięcy sto dolarów, nie licząc pięciuset, które posłałam dziś po południu.

- Ach. Zważywszy wszystko, to szalenie miłe z pani strony.

Poruszyła niezdecydowanie ręką i znów wzruszyła ramionami.

- To wina mego męża — powiedziała. — Był pijany, podły. Nie sądzę, by rzeczywiście zrobił jej krzywdę, ale jak pan mówi, śmiertelnie ją przestraszył. Nie mogę... nie mogę jej bardzo winić. Żyje z poczuciem winy przez te wszystkie lata.

- Musiała osobiście nosić te pieniądze Vannierowi?

- Taką zadała sobie pokutę. Dziwna to pokuta.

Skinąłem głową.

- Zgodna z jej charakterem. A później wyszła pani za mąż za pana Jaspera Murdocka, zatrzymała przy sobie Merle i opiekowała się nią. Czy ktoś o tym wie?

- Nikt. Tylko Vannier. A on na pewno nikomu nie powie.

- Nie. Chyba nie. W każdym razie teraz już nie. Vannier nie żyje.

Podniosła wolno oczy i spojrzała na mnie. Jej siwa głowa była jak skała na szczycie góry. Wreszcie odłożyła karty i oparła zaciśnięte mocno ręce o brzeg stołu. Knykcie jej palców lśniły.

- Merle przyszła do mnie, kiedy mnie nie było w domu — posiedziałem. — Poprosiła dozorcę, żeby ją wpuścił do mego mieszkania. Dozorca zadzwonił do mnie, a ja kazałem ją wpuścić. Przyjechałem, jak mogłem najszybciej. Powiedziała mi, że zabiła Vanniera.

Jej oddech był jak słabiutki szept w ciszy pokoju.

- Nosiła w torebce rewolwer. Bóg wie, po co. Chyba dla obrony przed mężczyznami. Ale ktoś... zapewne Leslie... unieszkodliwił ten rewolwer przez zablokowanie zamka nieodpowiednim nabojem. Merle wyznała mi, że zabiła Vanniera, i zemdląca. Sprowadziłem swojego przyjaciela, lekarza. Poszedłem do domu Vanniera. W drzwiach był klucz. Vannier leżał na fotelu martwy, od dawna, nieżywy, zimny, sztywny. Martwy na długo przed przyjściem Merle. Ona wcale go nie zabiła. Odegrała przede mną komedię. Doktor wytłumaczył mi, dlaczego to zrobiła, ale nie chcę pani tym nudzić. Myślę, że pani to i tak rozumie.

- Tak — odparła. — Myślę, że rozumiem. A teraz?

- Leży w moim mieszkaniu. Jest przy niej pielęgniarka. Dzwoniłem do ojca Merle. Chcę, żeby wróciła do domu. Myślę, że ją tam zawiozę. Uważam, że to teraz mój obowiązek. Będę potrzebował tych ostatnich pięciuset dolarów, których Vannier nie zdążył otrzymać... na koszty.

- Ale ile jeszcze? — spytała brutalnie.

- Proszę tak nie mówić. Pani przecież doskonale wie.

- Kto zabił Vanniera?

- Wygląda na to, że Vannier popełnił samobójstwo. Rewolwer koło prawej ręki. Kontaktowa rana w skroni. Kiedy tam byłem, przyszedł Morny z żoną. Ukryłem się. Morny próbował zrobić w to morderstwo swoją żonę. Ona się zabawiała z tym Vannierem. Prawdopodobnie więc sądzi, że to Morny go zabił. Ale sprawa wygląda na samobójstwo. Policja pewnie już tam jest i nie wiem, do jakich dojdzie wniosków. Pozostaje tylko siedzieć i czekać.

- Tacy jak Vannier — powiedziała ponuro — nie popełniają samobójstw.

- Równie dobrze można powiedzieć, że takie dziewczęta jak Merle nie wypychają ludzi z okien. To jeszcze o niczym nie świadczy.

Patrzyliśmy na siebie z wrogością, którą mieliśmy do siebie wzajem od początku. Po chwili odsunąłem krzesło i podszedłem do oszklonych drzwi. Otworzyłem je i wyszedłem na balkon. Na zewnątrz panowała noc, cicha i spokojna. Błede światło księżyca było zimne i przejrzyste, jak sprawiedliwość, o której na próżno marzymy. Drzewa w dole rzucały gęste cienie. W głębi znajdowało się coś jak ogród w ogrodzie. Dostrzegłem odbłask wody w ozdobionym basenie. Obok hamak. Na hamaku ktoś leżał i palił papierosa.

Wróciłem do pokoju. Pani Murdock dalej zajmowała się pasjansem. Podszedłem do stolika i popatrzyłem.

- O, wydostała pani asa pikowego — zauważyłem.

- Poszachrowałam — odparła nie podnosząc wzroku.

- Chcę panią o coś zapytać — powiedziałem. — Sprawa dublonu jest wciąż niejasna zważywszy na dwa morderstwa, które teraz, gdy odzyskała pani tę monetę, wydają się bez sensu. Zastanawiałem się, czy jest coś w dublonie Murdocka, co pozwoliłoby ekspertowi... takiemu jak stary Morningstar... na zidentyfikowanie go.

Zamyśliła się, siedząc nieruchomo, nie podnosząc wzroku

- Tak. Chyba jest. Inicjały twórcy monety, E. B., są na lewym skrzydle orła. Zwykle podobno bywają na prawym. Tylko to przychodzi mi na myśl.

- To mi wystarczy. I pani naprawdę odzyskała tę monetę? Czy powiedziała to pani tak tylko, żebym przestał się tym zajmować?

Podniosła na mnie szybko oczy i znowu je opuściła.

- Jest w tej chwili w opancerzonym pokoju. Jeżeli zechce pan poszukać mego syna, syn może ją panu pokazać.

- W takim razie dobranoc. Proszę kazać spakować rzeczy Merle i przysłać jutro rano do mego mieszkania.

Poderwała głowę i jej oczy błysnęły złowrogo.

- Jest pan dość despotyczny, młody człowieku.

- Proszę je kazać spakować — powiedziałem. — I przysłać. Teraz, gdy Vannier nie żyje, Merle nie jest już pani potrzebna.

Spojrzenia nasze się spotkały i długo nie rozłączały. Potem jakiś dziwny uśmieszek poruszył kąciki jej ust. Głowa pochyliła się, prawa ręka wzięła kartę z wierzchu talii i odwróciła. Pani Murdock spojrzała na nią i odłożyła na kupkę odrzuconych kart, po czym odwróciła następną, cicho, spokojnie, ręką tak pewną jak kamienne molo przy lekkim powiewie.

Wyszedłem z pokoju, zamknąłem za sobą cicho drzwi, zszedłem po schodach na dół, do dolnego hallu, minąłem drzwi na oszkloną werandę i drzwi do gabinetu Merle i znalazłem się w ponurym, dusznym, nie używanym salonie, w którym poczułem się jak zabalsamowany trup.

Oszklone drzwi w głębi otworzyły się i stanął w nich patrząc na mnie Leslie Murdock.

33

Ubranie miał zgniecione, a włosy zmierzwiłone. Jego rudawy wąsik wyglądał równie nieefektywnie jak zawsze. Cienie pod oczyma były niemal czarne. Trzymał w ręku swoją długą, czarną cygarniczkę i postukiwał nią o nadgarstek lewej dłoni, kiedy tak stał pełen niechęci do mnie, zły, że mnie spotkał, nie pragnąc ze mną rozmawiać.

- Dobry wieczór — powiedział sztywno. — Pan wychodzi?

- Jeszcze nie. Chciałbym z panem porozmawiać.

- Nie sądzę, abyśmy mieli o czym mówić. Poza tym mam dość wszelkich rozmów.

- Przeciwnie, mamy. O człowieku nazwiskiem Vannier.

- Vannier? Prawie go nie znam. Owszem, widywałem go. Ale z tego, co o nim wiem, ten człowiek mi się nie podoba.

- Zna go pan dużo lepiej — powiedziałem.

Wszedł do środka, usiadł na jednym z niewygodnych foteli, pochylił się, oparł głowę na lewej dłoni i wlepił wzrok w podłogę.

- Dobra — powiedział ze znużeniem. — Niech pan zaczyna. Czuję, że chce pan dać pokaz błyskotliwości. Wysiłić na nieubłagany potok logiki, intuicji i podobnych bzdur. Jak książkowy detektyw.

- Oczywiście. Zbierać po kawałku materiał dowodowy i dorzucając atuty z rękawa układać w piękny wzorek, analizować motywy i postacie, aby je wreszcie przedstawić całkiem inaczej, niż sam je do tej, jakże wspaniałej, chwili przedstawiałem, i w końcu rzucić się na kogoś najmniej podejrzanego.

Uniósł wzrok i niemal uśmiechnął się.

- Który wtedy błednie jak papier i z pianą na ustach wydobywa rewolwer z prawego ucha.

Usiadłem koło niego i wyjąłem papierosa.

- Właśnie. Powinniśmy to kiedyś razem zagrać. Ma pan rewolwer?

- Nie przy sobie. Ale mam. Pan o tym wie.

- Miał go pan wczoraj wieczorem u Vanniera?

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Doprawdy, byłem wczoraj u Vanniera?

- Sądzę, że tak. Dedukcja. Pan pali papierosy firmy Benson and Hedges. Pozostawiają po sobie popiół, który się łatwo nie rozsypuje. W popielniczce u Vanniera było tych szarych kuleczek co najmniej z dwóch papierosów. Ale nie było niedopałków. Ponieważ pan pali w cygarniczce, a niedopałki z cygarniczki wyglądają inaczej, więc usunął pan niedopałki. Dobre?

- Nie. — Powiedział to cicho i znów patrzył w podłogę.

- To tylko przykład dedukcji. Dość kiepski. Bo mogło w ogóle nie być niedopałków, ale jeżeli były i ktoś je usunął, to mógł zrobić to dlatego, że znajdowała się na nich szminka. Szminka o określonym odcieniu, który w najgorszym razie powiedziałby coś o typie urody palaczki. A pana żona ma oryginalny zwyczaj wrzucania niedopałków do kosza na śmieci.

- Proszę wyłączyć z tego Linde — powiedział chłodno.

- Pana matka nadal myśli, że to Linda wzięła dublon, a tę historyjkę z Alexem Mornym ułożył pan po to, aby ją osłonić.

- Powiedziałem, żeby pan wyłączył z tej sprawy Linde. — Stukot czarnej cygarniczki o zęby zadźwięczał ostro i szybko jak odgłos aparatu nadawczego.

- Bardzo chętnie — odparłem. — Ale nie uwierzyłem w pana historyjkę z innego powodu. Tego. — Wyjąłem dublon i podsunąłem mu przed oczy.

Patrzył z napięciem na monetę. Usta miał zaciśnięte.

- Tego ranka, gdy opowiadał mi pan swoją historyjkę, ta moneta ze względów bezpieczeństwa była w lombardzie na bulwarze Santa Monica. Przysłał mi ją detektyw z bożej łaski, niejaki George Phillips. Naiwny facet, który chcąc za wszelką cenę zdobyć pracę dał się nieopatrznie wciągnąć w brudną robotę. Silnie zbudowany blondyn w brązowym ubraniu, ciemnych okularach i kapeluszu z jaskrawą wstążką. Jeździł Pontiakiem koloru piaskowego, prawie nowym. Mógł go pan widzieć wczoraj rano w korytarzu przed moim biurem. Śledził mnie, a przedtem mógł śledzić pana.

Wyglądał na szczerze zdziwionego.

- Po cóż by to robił?

Zapaliłem papierosa i wrzuciłem zapalną do jaspisowej popielniczki, która wyglądała, jakby jej nigdy nie używano.

- Powiedziałem, że mógł. Nie jestem pewien, czy śledził. Mógł po prostu obserwować ten dom. Zaczął mnie śledzić, gdy stąd wyszedłem, bo nie sądzę, żeby mnie śledził przedtem. Trzymałem wciąż dublon na dłoni. Podrzuciłem go, żeby go odwrócić, zobaczyłem, że inicjały E. B. są wybite na lewym skrzydle, i schowałem dublon do kieszeni. — Mógł obserwować ten dom, bo go zaangażowano, by sprzedał

rzadką monetę kupcowi starych monet, Morningstarowi. A ów kupiec starych monet domyślał się, skąd ta moneta pochodzi, i powiedział o tym Phillipsowi albo dał mu do zrozumienia, że jest skradziona. Mylił się jednakże. Bo jeśli Dublon Brashera jest rzeczywiście w pokoju na górze, wówczas moneta, którą kazano Phillipsowi sprzedać, nie była kradziona. Była podrobiona.

Ramiona mu lekko drgnęły, jakby wstrząsane dreszczem. Siedział jednak dalej nieruchomo, w nie zmienionej pozycji.

- Obawiam się, że mimo wszystko będzie to długa opowieść — rzekłem łagodnie. — Przepraszam. Muszę ją trochę lepiej ułożyć. Nie jest piękna, bo są w niej dwa morderstwa, może nawet trzy. Niejaki Vannier i niejaki Teager wpadli na pewien pomysł. Teager jest technikiem dentystycznym w gmachu Belfonta, gmachu, gdzie mieści się biuro Morningstara. Szło o to, aby podrobić rzadką i cenną złotą monetę. Nie aż tak rzadką, żeby mogły powstać kłopoty z jej upłynięciem ale dostatecznie rzadką, by osiągnęła znaczną cenę. Metoda, którą obmyślili, była mniej więcej taka, jaką stosuje technik dentystyczny do wyrobu odlewów ze złota. Wymaga tych samych materiałów, tych samych przyrządów, tej samej umiejętności. To znaczy, że aby dokładnie odtworzyć model w złocie, trzeba zrobić matrycę z twardego, miążkiego białego cementu zwanego alabastorem, następnie, posługując się tą matrycą, wykonać z wosku modelarskiego replikę modelu, po czym zatopić wosk, jak to się określa, w innym gatunku cementu, zwanym krystobalitem, który nie ulega odkształceniu w wysokiej temperaturze. W cemencie robi się mały otworek przez ułożenie szpilki i wyjęcie jej, gdy cement zastygnie. Potem formę z krystobalitu rozgrzewa się nad płomieniem, żeby przez otworek wyciekł wosk, i tak otrzymuje się formę odlewniczą. Formę przymocowuje się do tygła umieszczonego na centryfudze i przy użyciu siły odśrodkowej napełnia płynnym złotem z tygła. Napełnioną i jeszcze gorącą formę umieszcza się pod strumieniem zimnej wody, krystobalit rozkłada się w wodzie i pozostaje sam złoty odlew ze złotą szpileczką z boku. Szpileczkę się obcina, odlew czyści

kwasem i poleruje i nowy Dublon Brashera gotowy. Szczerozłoty i dokładnie taki sam jak oryginał. Rozumie pan?

Kiwnął głową i ze znużeniem przesunął rękę po czole.

- Całe przedsięwzięcie wymaga takich umiejętności — ciągnąłem — jakie posiada technik dentystyczny. W zastosowaniu do monet obiegowych, gdybyśmy nawet używali złotych monet, sprawa byłaby nieopłacalna, bo praca i materiał przewyższałyby wartość tych monet. Ale gdy chodzi o monetę, która jest cenna przez swą rzadkość, rzecz może się opłacić. Więc zdecydowali się. Ale musieli zdobyć wzór. I tu na widownię wkracza pan. To prawda, że to pan wziął dublon, ale nie po to, żeby go dać Morny'emu. Wziął go pan dla Vanniera. Tak?

Patrzył w podłogę i nic nie mówił.

- Kiedy pana matka wynajęła detektywa, przestraszył się pan. Pomyślał pan, że zauważyła brak dublonu, i wpadł pan do biura, żeby pociągnąć mnie za język. Był pan bardzo jowialny, pełen sarkazmu i bardzo dbały o swoją żonę, ale również bardzo zaniepokojony. Nie wiem, czy panu się zdawało, że pan coś ode mnie wyciągnął, ale wiem, że skontaktował się pan z Vannierem. Musiał pan jak najprędzej zwrócić matce dublon i wymyślić jakieś wytłumaczenie. Spotkał się pan z Vannierem i on oddał panu monetę. Niewykluczone, że również fałszywą. Najprawdopodobniej Vannier zatrzymał sobie prawdziwą. Zorientował się jednak, że sprawa może spalić na panewce, bo Morningstar zadzwonił do pana matki, a pana matka zaangażowała mnie. Morningstar zaczął coś podejrzewać. Vannier udał się więc do mieszkania Phillipsa, zakradł się tylnym wejściem i porozmawiał z Phillipsem, aby stwierdzić, na czym stoi.

Phillips nie powiedział mi, że już wysłał dublon do mnie adresując przesyłkę drukowanym pismem, jakiego używał w swoim dzienniku znalezionym później w biurze. Wnioskuje to z tego, że Vannier nie próbował szukać dublonu u mnie. Nie wiem, oczywiście, co Phillips powiedział Vannierowi, ale prawdopodobnie mu wygarnął, że to nieuczciwa robota, że wie, skąd moneta pochodzi, i że zamierza udać się na policję

lub do pani Murdock. A wtedy Vannier wyciągnął rewolwer, trzasnął go kolbą w głowę i zastrzelił. Następnie przeszukał Phillipsowi kieszenie, przeszukał mieszkanie i nie znalazł dublonu. Udał się więc do Morningstara. Morningstar też nie miał fałszywego dublonu, ale Vannier zapewne myślał, że ma. Uderzył starego w głowę kolbą rewolweru i przeszukał jego sejf. Nie wiem, czy znalazł jakieś pieniądze, czy nie, w każdym razie biuro Morningstara wyglądało później jak po włamaniu rabunkowym. Pan Vannier wrócił do domu zirytowany, że nie znalazł dublonu, ale z poczuciem owocnie spędzonego popołudnia. Udało mu się zręcznie zamordować dwoje ludzi. Pozostał tylko pan.

34

Murdock spojrział na mnie z napięciem i skierował wzrok na czarną cygarniczkę, którą wciąż ścisnął w ręku. Następnie wsunął ją do kieszeni koszuli, wstał nagle, potarł jedną dłoń o drugą i znów usiadł. Wyjął chusteczkę i wytarł twarz.

- Czemu ja? — spytał głuchym, napiętym głosem.

- Bo pan za dużo wiedział. Może pan wiedział o Phillipsie, a może nie. Zależy, jak bardzo był pan w całą sprawę zaangażowany. Ale wiedział pan o Morningstarze. Plan się nie udał i Morningstar został zamordowany. Vannier nie mógł liczyć na to, że pan się o tym morderstwie nie dowie. Musiał panu zamknąć usta i to bardzo mocno. Ale nie musiał pana zabijać, żeby to zrobić. Zabicie pana byłoby w istocie błędnym posunięciem. Pana matka wyrwałaby się wówczas spod jego władzy. To chłodna, bezwzględna i zaborcza kobieta, ale wyrządzenie panu jakiegokolwiek krzywdy przemieniłoby ją w tygrysicę. Nie liczyłaby się wtedy z żadnymi konsekwencjami.

Murdock uniósł oczy. Starał się im nadać wyraz wielkiego zdumienia, ale zdołał tylko sprawić, że były tępe i wstrząśnięte.

- Moja matka... co...?

- Niech pan nie stara się mnie nabierać — powiedziałem. — Mam już dość tego ciągłego nabierania mnie przez rodzinę

Murdocków. Dziś wieczorem przyszła do mego mieszkania Merle. Jest tam w tej chwili. Jeździła do Vanniera z pieniędzmi. Wymuszonymi pieniędzmi. Pieniędzmi, które otrzymywał już osiem lat. Wiem, dlaczego.

Nie poruszył się. Siedział z zeszytwniałymi z napięcia rękami na kolanach. Oczy miał cofnięte w głąb czaszki. Były to oczy skazańca.

- Merle zastała Vanniera martwego. Przyszła do mnie i powiedziała, że go zabiła. Nie wchodźmy w to, czemu uważa, że powinna przyznawać się do cudzych morderstw. Poszedłem tam i stwierdziłem, że Vannier nie żyje od wczorajszego wieczora. Był sztywny jak figura woskowa. Na podłodze, przy jego prawej ręce, leżał rewolwer. Był to rewolwer znany mi z opisu, rewolwer należący niegdyś do niejakiego Hencha, który mieszkał po przeciwnej stronie tego samego korytarza, co Phillips. Ktoś podrzucił HENCHOWI rewolwer, z którego zabito Phillipsa, a zabrał rewolwer Hencha. HENCH i jego dziewczyna byli pijani i zostawili otwarte mieszkanie. Jeszcze nie zostało dowiedzione, że to rewolwer Hencha, ale będzie. Jeżeli to rewolwer Hencha, a Vannier popełnił samobójstwo, wówczas Vannier będzie powiązany ze śmiercią Phillipsa. W nieco inny sposób wiąże go z Phillipsem również Lois Morny. Jeżeli Vannier nie popełnił samobójstwa — a ja nie wierzę, że je popełnił — może być mimo to powiązany ze śmiercią Phillipsa. Albo ktoś inny, kto również zabił Vanniera. Z pewnych względów ta myśl nie bardzo mi się podoba.

Murdock podniósł głowę.

- Nie? — spytał nagle czystym głosem. Jego twarz miała teraz nowy wyraz, była jasna, a jednocześnie głupawa. Wyraz twarzy człowieka słabego, który jest z czegoś dumny.

- Myślę, że to pan zabił Vanniera — powiedziałem. Nie poruszył się i miał wciąż ten sam wyraz twarzy. — Poszedł pan tam wczoraj wieczorem. On pana wezwał. Powiedział panu, że jest w tarapatkach i jeśli stanie przed sądem, to się postara, żeby się tam pan znalazł razem z nim. Powiedział coś takiego czy nie?

- Tak — odparł Murdock cicho. — Właśnie tak powiedział.

Był pijany i podniecony, i jakby cieszył się poczuciem władzy. Niemal się nim rozkoszował. Powiedział, że jeśli znajdzie się w komorze gazowej, to ja będę siedział obok niego. Ale to jeszcze nie wszystko.

- Nie. Nie pragnął dostać się do komory gazowej i nie widział żadnego powodu dlaczego miałby się tam znaleźć, jeśli pan będzie trzymał język za zębami. Rozegrał więc swój atut. I choć obiecał panu pieniądze, pierwszym powodem, dla którego wziął pan dublon, nie były one, ale fakt, że miał pana we władzy. Miał pana we władzy dzięki czemuś, co zaszło między Merle i pana ojcem. Wiem o tym. Pana matka dopowiedziała mi to, czego sam nie zdołałem się domyślić. To było pierwszym powodem, dla którego miał pana we władzy i to silnej władzy. Ponieważ to panu pozwalało usprawiedliwić swój czyn we własnych oczach. Ale wczoraj wieczorem zapragnął czegoś więcej. Więc wyjawił panu całą prawdę i powiedział, że ma na to dowód.

Zadrżał, ale nie zmienił dumnego wyrazu twarzy.

- Wyciągnąłem rewolwer — rzekł niemal radośnie. — Ostatecznie ona jest moją matką.

- Nikt tego nie neguje.

Wstał, wyprostowany, bardzo wysoki.

- Podeszedłem do fotela, na którym siedział, i podsunąłem mu rewolwer pod nos. Miał swój w kieszeni szlafroka. Próbował go wyjąć, ale nie zdążył. Zabrałem mu go. Włożyłem swój z powrotem do kieszeni. Przyłożyłem mu lufę do skroni i powiedziałem, że go zabiję, jeśli nie odda mi tego dowodu. Zaczął się pocić i bełkotać, że po prostu żartował. Odwiodłem kurek rewolweru, żeby go jeszcze bardziej nastraszyć.

Urwał i wyciągnął rękę przed siebie. Ręka drżała, ale po chwili drzenie ustąpiło. Opuścił ją wzdłuż boku i spojrzał mi w oczy.

- Rewolwer musiał mieć upiłowany albo bardzo czuły spust. Wypalił. Odkoczyłem w tył i strąciłem jakiś obrazek ze ściany. Skoczyłem ze strachu, ale dzięki temu nie zostałem opryskany krwią. Wytarłem rewolwer, dotknąłem do palców Vanniera i położyłem na podłodze przy jego dłoni. Skonał

natychmiast. Prawie nie krwawił, jeśli nie liczyć początkowego wytrysku krwi. To był wypadek.

—, Po co psuć sprawę? — spytałem na wpuł z drwiną. — Czemu nie mówić, że było to czyste, uczciwe morderstwo?

- Było tak, jak powiedziałem. Nie mogę, oczywiście, tego udowodnić, ale sędzę, że gdybym nie zabił go niechcący, mógłbym go zabić rozmyślnie. Kiedy przyjedzie policja?

Wstałem i wzruszyłem ramionami. Czulem się zmęczony, zmordowany, wyczerpany. Gardło mnie rozboleło od gadania, a głowa od ustawicznego porządkowania myśli.

- Skąd ja mogę wiedzieć? — odparłem. — Nie jestem z nią w zbyt wielkiej przyjaźni, bo policja sądzi, że ukrywam przed nią jakieś fakty. I Bogiem a prawdą mają rację. Może dobiorą się do pana. Ale jeżeli nikt pana nie widział, jeżeli nie zostawił pan żadnych odcisków palców, a choćby nawet i zostawił i sprawdzą pana odciski, ale nie będą mieli żadnych powodów, aby pana podejrzewać, to może nawet o panu nie pomyślą. Natomiast jeśli dowiedzą się o dublonie i że to był fraserowski dublon Murdocka, to nie wiem, jak się sprawa potoczy. Wszystko będzie zależało, czy da się im pana zastraszyć.

- Gdyby nie chodziło mi o matkę — rzekł — byłoby mi wszystko jedno. Zawsze byłem do niczego.

- Az drugiej strony — powiedziałem ignorując tę dziecinadę — jeżeli rewolwer miał bardzo czuły spust, a pan postara się o dobrego adwokata i powie szczerą prawdę, żaden sąd przysięgłych pana nie skaże. Przysięgli nie lubią szantażystów.

- Tym gorzej — odparł. — Bo ja nie mogę zastosować tej linii obrony. Nie wiem nic o szantażu. Vannier pokazał mi, jak zarobić trochę pieniędzy, a ja ich bardzo potrzebowałem.

- Aha — powiedziałem. — Gdy panu udowodnią, że w grę wchodzi szantaż, zastosuje pan tę linię na pewno. Zmusi pana do tego matka. Gdy będzie szło o jej lub pana głowę, wszystko powie.

- To okropne — rzekł. — To okropne, co pan mówi.

- Miał pan szczęście z tym rewolwerem. Wszyscy nasi wspólni znajomi manipulowali przy nim ścierając jedne odciski palców a nakładając inne. Ja też to zrobiłem, żeby nie

pozostać w tyle. Kiepsko wychodzą, kiedy dłoń jest sztywna. Ale musiałem, bo Morny zmusił żonę do pozostawienia swoich. On myśli, że to ona zabiła Vanniera, a ona zapewne, że on.

Patrzył na mnie wytrzeszczonymi oczyma. Zagryzłem wargę. Wydała mi się sztywna jak z drewna.

- No, chyba już na mnie czas — powiedziałem.

- To znaczy, że pan mi to puści płazem? — W jego głosie pojawiła się znów lekka podejrziwość.

- Nie oddam pana w ręce policji, jeżeli panu o to chodzi. Ale poza tym nic nie gwarantuję. Jeżeli zostanę wmieszany w tę sprawę, będę się musiał nagiąć do sytuacji. Zagadnienie moralności nie wchodzi tu w rachubę. Nie jestem ani policjantem, ani donosicielem, ani sędzią. Pan mówi, że to był wypadek. Dobrze, niech będzie wypadek. Ja przy tym nie byłem. Nie mam żadnych dowodów ani za, ani przeciw. Pracowałem dla pana matki i jeśli matka pana ma prawo żądać ode mnie milczenia, to niech będzie spokojna co do tego. Nie lubię jej, nie lubię pana, nie lubię tego domu. Nie mam powodu lubić również pana żony. Ale lubię Merle. Merle to głuptas, miły głuptas. Wiem, co wasza cholerna rodzinka jej zrobiła przez tych osiem lat. Wiem, że Merle nikogo nie wypchnęła z okna. Czy mówię jasno?

Przełknął ślinę, ale nie wydobył z siebie żadnego artykułowanego dźwięku.

- Zabieram Merle do jej rodziców — powiedziałem. — Prosiłem matkę pana, aby przysłała jutro rano jej rzeczy do mego mieszkania. Gdyby się zdarzyło, że zajęta pasjansem zapomni, niech pan sam o to zadba.

Kiwnął głową w milczeniu. A potem rzekł śmiesznym słabiutkim głosikiem:

- I pan tak po prostu... odchodzi? Ja nawet... nawet nie podziękowałem panu. Człowiekowi, którego prawie nie znam...

- Odchodzę tak jak zawsze — odparłem. — Z beztroskim uśmiechem i niedbałym machnięciem dłoni. A także z głęboką nadzieją, że nie spotkamy się za kratkami. Dobranoc.

Odwróciłem się na pięcie i wyszedłem. Zamknąłem za sobą drzwi z cichym, ale energicznym trzaśnięciem zamka. Ładne, gładkie wyjście, mimo brzydkiego charakteru całej tej sprawy. Podszedłem i pogłaskałem ostatni raz malowanego Murzynka po główce i ruszyłem długim trawnikiem obok oblanych światłem księżycowym krzewów i cedru himalajskiego w stronę ulicy i swego samochodu.

Wróciłem do Hollywood, kupiłem pół litra, wynająłem pokój w hotelu Plaża, usiadłem na brzeżku łóżka i patrząc na własne stopy popijałem wprost z butelki.

Jak zwykły pijak, który bez alkoholu nie może zasnąć.

Kiedy napiłem się tyle, że mi zaszumiło w głowie i mogłem przestać o tym wszystkim myśleć, rozebrałem się, położyłem do łóżka i po chwili, ale nie od razu, zasnąłem.

35

Była trzecia po południu i w przedpokoju mojego mieszkania stało na dywanie pięć walizek. Moja żółta ze skóry wołowej, podrapana z obu stron od suwania w bagażnikach samochodów. Dwie lotnicze z literkami L. M., bardzo ładne. Stary czarny sakwojaż z imitacji skóry morsa z literkami M. D. i jedna z tych małych weekendowych walizeczek, jakie kupuje się w drugstore'ach po dolarze i czterdzieści dziewięć centów sztuka.

Doktor Carl Moss już wyszedł przeklinając mnie, bo spóźnił się na wykład o hipochondrii, który miał wygłosić. Słodkawy zapach jego cygara jeszcze zatruwał powietrze. Zastanawiałem się nad tym, co powiedział, kiedy spytałem go, jak wiele trzeba czasu, żeby Merle wydobrzała.

- Zależy, co przez to rozumiesz. Nerwy będą u niej zawsze górowały nad namiętnościami. Zawsze wdychając powietrze będzie czuła śnieg. Byłaby doskonałą zakonnica. Religijne mrzonki, ich ciasnota poglądów, stylizowane emocje i bezzwzględna czystość byłyby dla niej wyzwoleniem. A tak prawdopodobnie zostanie jedną z tych zgorzkniałych dziewic, które stemplują datownikiem książki w bibliotekach.

- Nie jest z nią tak źle — powiedziałem, ale on tylko uśmiechnął się do mnie i zniknął za drzwiami. — A poza tym, skąd wiesz, że to dziewczica? — rzuciłem w stronę zamkniętych już drzwi, ale nie posunąłem się przez to dalej.

Zapaliłem papierosa i podszedłem do okna, a po chwili z drzwi sypialni wyszła Merle i stanęła patrząc na mnie podkrążonymi oczyma w bladej twarzyczce, na której oprócz szminki nie było makijażu.

- Proszę nałożyć trochę różu na policzki — powiedziałem. — Wygląda pani jak Królowna Śnieżka.

Wróciła do sypialni i poróżowiła policzki. Kiedy znów się zjawiała, spojrzała na bagaż i powiedziała cicho:

- Leslie pożyczył mi dwie walizki.

- Aha — odparłem i przyjrzałem się jej. Wyglądała bardzo ładnie. Miała na sobie obcisłe spodnie rdzawego koloru, pantofle Bata, białą bluzkę w brązowy drukowany wzorek i pomarańczową apaszkę. Była bez okularów. Jej wielkie, jasne, kobaltowe oczy miały wyraz lekkiego odurzenia, ale było jej z nim dobrze. Włosy szesała ciasno w tył głowy, ale nie mogłem już na to poradzić.

- Sprawiam panu straszny kłopot — rzekła. — Okropnie mi przykro.

- Nonsens. Rozmawiałem z rodzicami pani, i ojcem, i matką. Ogromnie się cieszą. W ciągu tych ponad ośmiu lat widzieli panią tylko dwa razy i mieli wrażenie, jakby już panią utracili.

- Bardzo się cieszę, że pobędę z nimi trochę — powiedziała patrząc w dywan. — Jaka pani Murdock miła, że mi pozwoliła jechać. Nigdy dotąd nie mogła mnie puścić na dłużej. — Poruszyła nogami, jakby nie wiedząc, jak je ma w tych spodniach trzymać, chociaż to były jej własne spodnie i musiała się już kiedyś zetknąć z tym problemem. Wreszcie ścisnęła kolana i splotła na nich rękę.

- Jeżeli mamy o czymś porozmawiać — rzekłem — albo jeżeli pani chce jeszcze coś powiedzieć, to niech się to stanie teraz. Bo nie zamierzam jechać samochodem przez pół Stanów z kimś, kto przeżywa kryzys nerwowy.

Ugryzła się w palec i rzuciła na mnie kilka ukradkowych spojrzeń.

- Wczoraj wieczorem... — zaczęła i zaczerwieniła się.

- Wczoraj wieczorem powiedziała mi pani najpierw, że zabiła pani Vanniera, a potem, że nie. Wiem, że go pani nie zabiła. To pewne.

Opuściła rękę i spojrzała mi w oczy, spokojna, opanowana i już nie ścisłała rąk kurczowo na kolanach.

- Vannier był martwy na długo przed pani przyjściem. Chodziła pani do niego z pieniędzmi od pani Murdock.

- Nie od pani Murdock, tylko... ode mnie — odparła. Chociaż to były, oczywiście, pieniądze pani Murdock. Jestem jej tak wiele dłużna, że nie wiem, czy kiedykolwiek w życiu zdołam się jej odplacić. Dostawałam od niej, oczywiście, bardzo skromną pensję, ale to nie...

- To bardzo charakterystyczne — przerwałam jej szorstko — że dostawała pani od niej bardzo skromną pensję, a w tym, że jest jej pani bardzo wiele dłużna, kryje się więcej prawdy niż poezji. Trzeba by było nie lada osiłka i to z tęgim kijem, żeby oddać to, co pani jej zawdzięcza. Ale to w tej chwili nieważne. Vannier popełnił samobójstwo, ponieważ przyłapano go na pewnych ciemnych sprawkach. Z tym koniec i nie będziemy do tego wracali. Pani natomiast odegrała coś w rodzaju komedyjki. Na widok jego martwej twarzy w lustrze doznała pani wstrząsu nerwowego i ten wstrząs złał się z innym sprzed lat, a pani udramatyzowała go po prostu na swój niedorzeczny sposób.

Spojrzała na mnie nieśmiało i kiwnęła miedziano-blond główką, jakby potakując.

- I wcale nie wypchnęła pani Horacego Brighta z okna — powiedziałem.

Twarz jej drgnęła i zrobiła się straszliwie blada.

- Ja... ja... — Uniosła dłoń do ust, a przerażone oczy utkwiała we mnie.

- Nie robiłbym tego — ciągnąłem dalej — gdyby doktor Moss mi nie pozwolił, a chcę już raz z tym wszystkim skończyć. Może pani rzeczywiście myśli, że zabiła pani

Horacego Brighta. Miała pani motyw i okazję i przez ułamek sekundy mogła pani chcieć skorzystać z tej okazji. Ale to nie leżało w pani charakterze. W ostatniej chwili wstrzymała się pani. Ale w tej ostatniej chwili pani zemdląła. Bright rzeczywiście wypadł z okna, ale to nie pani go wypchnęła.

Urwałem na chwilę i patrzyłem, jak ręka jej opadła, splotła się palcami z drugą i obie się zacisnęły mocno.

- Wmówiono w panią, że to pani go wypchnęła — powiedziałem. — Zrobiono to ostrożnie, rozmyślnie i ze spokojnym okrucieństwem, na jakie stać tylko pewien typ kobiet wobec innych kobiet. Patrząc na panią Murdock w tej chwili, trudno uwierzyć, że mogła się powodować zazdrością, ale zapewne to był jej motyw. Miała też lepszy — ubezpieczenie na pięćdziesiąt tysięcy dolarów — wszystko, co pozostało z utraconego majątku. Żywiła ów dziwny, szalony, zaborczy rodzaj miłości dla swojego syna, jaki te kobiety posiadają. Jest zimna, zawzięta, bez skrupułów i wykorzystała panią niemiłosiernie, bezlitośnie jako zabezpieczenie, na wypadek, gdyby ją Vannier sypnął. Była pani dla niej kozłem ofiarnym. I jeżeli chce się pani wyrwać z tego żalosego stanu, w jaki panią wtrącono, musi pani zdać sobie sprawę z tego, co teraz mówię i uwierzyć mi. Wiem, że to niełatwe.

- To zupełnie niemożliwe — powiedziała ze spokojem patrząc na mój nos. — Pani Murdock zawsze była dla mnie cudowna. Prawda, że nigdy nie mogłam sobie przypomnieć, jak do tego doszło... ale nie powinno się mówić takich okropnych rzeczy o innych ludziach.

Wyjąłem białą kopertę, która była za obrazkiem Vanniera. Dwie odbitki i negatyw. Stałem przed nią i położyłem odbitkę na jej kolanach.

- Dobrze, niech pani spojrzy na to. To zdjęcie zrobił Vannier z okna po drugiej stronie ulicy.

Obejrzała zdjęcie.

- Przecież to pan Bright — powiedziała. — Niezbyt wyraźne zdjęcie, prawda? A to pani Murdock... wtedy była panią Bright... stoi tuż za nim. Pan Bright wygląda jak oszalały. Spojrzała na mnie z lekkim zaciekawieniem.

- Jeżeli tutaj tak wygląda — zauważyłem — to cóż dopiero w kilka chwil później, gdy wywinął kozła.

- Gdy co zrobił?

- Niech pani spojrzy — powiedziałem, już teraz z rozpaczą w głosie — ta fotografia ukazuje, jak pani Elizabeth Bright Murdock wypycha swego męża z okna jego biura. On spada. Niech pani spojrzy na pozycję jego rąk. On krzyczy ze strachu. Ona stoi za nim i ma twarz stężoną z wściekłości... czy czegoś w tym rodzaju. Czy pani tego nie rozumie? To tę fotografię Vannier trzymał przez tyle lat u siebie jako dowód zbrodni. Murdockowic nigdy jej nie widzieli, nigdy nie wierzyli w jej istnienie. Ale ona istniała. Znalazłem ją wieczorem tak samo przypadkowo, jak przypadkowo zrobił ją Vannier. Co stanowi sprawiedliwe zakończenie sprawy. Czy zaczyna pani to rozumieć?

Spojrzała znów na fotografię i odłożyła ją na bok.

- Pani Murdock zawsze była dla mnie przemiła.

- Zrobiła z pani kozła ofiarnego — powiedziałem opanowanym, lecz pełnym napięcia tonem reżysera na spartaczoną próbę. — To bystra, twarda i cierpliwa osoba. Zna swoje kompleksy. Potrafi nawet wydać dolara, aby zarobić dolara, na co stać niewiele kobiet jej typu. Muszę jej to przyznać. Wygarnąłbym to jej z grubej rury, gdyby mi na to pozwalało moje wychowanie.

- No, cóż — powiedziała i wiedziałem, że dotarło do niej ledwie co trzecie moje słowo, a na dobitkę nie uwierzyła mi. — Niechaj pan nigdy nie pokazuje tego pani Murdock. To by ją strasznie zdenerwowało.

Wstałem, wziąłem od niej fotografię, podarłem ją na kawałeczki i wrzuciłem do kosza na śmieci.

- Może pani kiedyś będzie żałowała, że to zrobiłem — powiedziałem przemilczając, że mam jeszcze jedną i negatyw. — Może któreś nocy, za trzy miesiące, trzy lata od dziś, obudzi się pani w ciemności i zrozumie, że mówiłem prawdę. I może pani wtedy zapragnie znów popatrzeć na tę fotografię. A może się mylę. Może poczuje się pani bardzo rozczarowana, że nie zabiła pani nikogo. Dobra jest. Niech i tak będzie. Teraz

idziemy na dół, siadamy do mojego samochodu i jedziemy do Wichita, w odwiedziny do pani rodziców. I nie sądzę, że pani kiedykolwiek wróci do Murdocków, ale i w tym mogą się z powodzeniem mylić. Nie będziemy jednak już o tym mówili. Koniec.

- Nie mam zupełnie pieniędzy — powiedziała.

- Ma pani pięćset dolarów, które pani Murdock przysłała. Są u mnie w kieszeni.

- To bardzo, bardzo miło z jej strony.

- Piekło i szatani! — wykrzyknąłem i wszedłem do kuchni, żeby wypić jednego szybkiego przed podróżą. Nie poprawiło to mego samopoczucia. Sprawilo tylko, że gotów byłem łązić po ścianach i gryźć sufit.

36

Nie było mnie dziesięć dni. Rodzice Merle — mili, poczciwi ludzie — mieszkali w drewnianym domku przy cichej, cienistej ulicy. Popłakali się, kiedy im opowiedziałem to, co moim zdaniem powinni byli wiedzieć. Cieszyli się, że Merle wróciła, otoczyli ją troskliwą opieką i obwiniali siebie za to, co się stało, a ja im nie zaprzeczałem.

Kiedy wyjeżdżałem, Merle miała na sobie fartuszek i walcowała ciasto na szarlotkę. Wyszła przed drzwi ocierając ręce o fartuch, pocałowała mnie w usta, rozplakała się i uciekła, pozostawiając po sobie w progu pustkę, póki jej nie zapełniła pani Davis z szerokim serdecznym uśmiechem na twarzy, aby popatrzeć, jak odjeżdżam.

Odniosłem dziwne wrażenie, kiedy ten dom znikł mi z oczu, jakbym napisał wiersz i to bardzo dobry wiersz, a ja go zgubiłem i ani rusz nie mogłem sobie przypomnieć.

Po powrocie najpierw zatelefonowałem, a potem poszedłem do porucznika Breeze'a, aby go zapytać, jak postępuje sprawa Phillipsa. Rozwiązali ją bardzo zgrabnie z odpowiednią dawką inteligencji i szczęścia, które zawsze trzeba posiadać. Państwo Morny ostatecznie nie zgłosili się na policję, tylko ktoś

zadzwoił i powiedział, że słyszał strzał w domu Vanniera, po czym odłożył szybko słuchawkę. Specjaliście od daktyloskopii nie bardzo się podobały odciski na rewolwerze, więc poddano dłoń Vanniera próbie na azotan. Kiedy je znaleźli, stwierdzili, że to było jednak samobójstwo. Potem jakiś detektyw nazwiskiem Lackey z Centralnego Biura Kryminalistyki popracował trochę nad owym rewolwerem i odkrył, że jego opis został rozesłany do komisariatów, bo właśnie takiego rewolweru poszukiwano w związku z zabójstwem Phillipsa. Hench zidentyfikował rewolwer, ale co więcej, znaleziono odcisk jego kciuka na języczku spustowym, który, jako że nie był używany, bo rewolwer miał upiłowany spust, nie został dokładnie wytarty.

Mając te dane w ręku oraz lepszy zestaw odcisków Vanniera, niż ja zdołałem zrobić, udali się jeszcze raz do mieszkania Phillipsa i Hencha. Znaleźli odcisk lewej dłoni Vanniera na łóżku Hencha i odcisk jednego palca na dolnej części przycisku do spuszczenia wody w ubikacji Phillipsa. Potem pokazali w sąsiedztwie fotografie Vanniera i stwierdzili, że widziano go przed domem Phillipsa dwa razy, a kilkakrotnie w bocznej uliczce. Ciekawa rzecz, że nikt z lokatorów domu go nie widział, a może tylko nie chciał się przyznać.

Teraz brakowało im tylko motywu. Dostarczył go im Teager, dając się przyłapać w Salt Lake City na próbie sprzedaży Dublonu Brashera pewnemu antykwariuszowi, który uznał dublon za prawdziwy, lecz skradziony. Teager miał ich jeszcze kilkanaście w pokoju hotelowym i jeden tylko okazał się prawdziwy. Powiedział policji wszystko i pokazał miniaturowy znaczek pozwalający zidentyfikować prawdziwy dublon. Nie wiedział, skąd Vannier wytrzasnął tę monetę. Gazety wystarczająco dużo o tym pisały, aby właściciel monety mógł się po nią zgłosić, ale nie zgłosił się, więc policja nie wie, komu ją skradziono. Poza tym policja przestała przejmować się śmiercią Vanniera z chwilą odkrycia, że popełnił on morderstwo. Przyjęli, że to było samobójstwo, choć mieli trochę wątpliwości.

Po pewnym czasie zwolnili Teagera, ponieważ ich zdaniem nie wiedział o żadnym morderstwie i mógł być jedynie oskarżony o usiłowanie oszustwa. Kupił złoto lega lnie, a podrobienie starej monety stanu Nowy Jork nie podpada pod federalne prawa dotyczące fałszerstw. Stan Utah nie chciał zawracać sobie Teagerem głowy.

Nigdy nie uwierzyli w bajeczkę Hencha. Breeze powiedział, że wykorzystał ją tylko do wywarcia nacisku na mnie, gdybym się chciał migać. Wiedział, że nie milczałbym, gdybym był przekonany o niewinności Hencha. Nie wyszło to Henchowi na dobre. Ustawili go w rzędzie innych podejrzanych celem rozpoznania i okazało się, że wraz z pewnym Włochem nazwiskiem Gaetano Prisco brał udział w pięciu włamaniach do sklepów alkoholowych. W jednym z tych włamań zastrzelili pracownika sklepu. Nie wiem, czy ów Prisco był krewnym pana Palermo, ale i tak go nie złapali.

- Podoba ci się? — spytał Breeze, opowiedziawszy mi to wszystko.

- Dwie rzeczy pozostają niejasne. — odparłem. — Dlaczego Teager uciekł i dlaczego Phillips mieszkał na Court Street pod przybranym nazwiskiem?

- Teager uciekł, bo windziarz powiedział mu o zamordowaniu starego Morningstara. Przestraszył się, że mogą go przy okazji zwinąć. Phillips używał nazwiska Anson, bo towarzystwo kredytowe chciało mu zająć samochód, a on był bez grosza. To tłumaczy, czemu ten młody bubek dał się wciągnąć w coś, co od samego początku musiało wyglądać podejrzanie.

Kiwnąłem głową na potwierdzenie, że może tak być w istocie.

Breeze odprowadził mnie do drzwi. Położył swoje twarde łapsko na moim ramieniu i ścisnął.

- Pamiętasz tę sprawę Cassidy'ego, którą nudziłeś mnie i Spranglera tego wieczoru, kiedy byliśmy u ciebie?

- Tak.

- Powiedziałeś wtedy Spanglerowi, że takiej sprawy w ogóle nie było. Otóż była... tylko pod inną nazwą. Sam ją prowadziłem. — Zdjął rękę z mego ramienia, otworzył drzwi i

uśmiechnął się do mnie. — Właśnie ze względu na tę sprawę Cassidy'ego — rzekł — i mój stosunek do niej, daję czasem komuś szansę, na którą być może nie zasługuje. Mały procencik od brudnych milionów dla takich ciężko pracujących ludzi jak ty... albo ja. Trzymaj się.

Był wieczór. Poszedłem do domu, przebrałem się w stare domowe ubranie, ustawiłem figury na szachownicy, przygotowałem sobie koktajl i rozegrałem jeszcze jedną Capablankę. Wymagała pięćdziesięciu dziewięciu posunięć. Piękne, zimne, bezlitosne szachy, niemal wywołujące ciarki swą nieustępliwością.

Kiedy skończyłem, nasłuchiwałem chwilę u otwartego okna i wdychałem noc. Potem zaniósłem szklankę do kuchni, wypłukałem, nalałem do niej wody z lodem i stałem nad zlewem popijając wodę drobnymi łykami i przyglądając się własnej twarzy w lustrze.

- Akurat się nadajesz do tej Capablanki! — powiedziałem.

KONIEC

- Panie Marlowe. Jestem kobietą twardą. Ale niech to pana nie przeraża. Bo w przeciwnym razie nie na wiele mi się pan przyda... A oto, jak wygląda sytuacja. Skradziono mi rzecz przedstawiającą znaczną wartość. Była to pewna moneta. Niezwykle rzadka moneta zwana Dublonem Brashera. Szacuje się ją podobno na ponad dziesięć tysięcy dolarów. Jest to okaz numizmatyczny. Była chlubą kolekcji mego męża. Mnie na takich rzeczach nie zależy, ale jemu zależało bardzo. Trzymam tę kolekcję nietkniętą od czterech lat, to jest od daty jego śmierci. Jest na górze w ognioodpornym pokoju, w ogniotrwałych kasetkach. Ubezpieczona, ale nie meldowałam jeszcze o kradzieży. Chcę tę rzecz odzyskać, ale chcę też czegoś jeszcze. By nikt nie został aresztowany...

